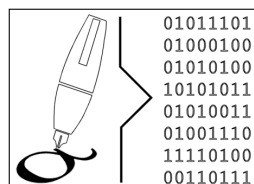


# Janusz A. Zajdel

## Lalande 21185

Data wydania : 1966 r.



LALANDE 21185 — to oznaczenie katalogowe jednej spośród gwiazd Galaktyki. Jest ona stosunkowo bliską sąsiadką naszego Słońca: odległość do niej wynosi niewiele ponad osiem lat światła. Na próżno jednak poszukiwalibyśmy jej wzrokiem na nocnym niebie. Gwiazda ta dostrzegalna jest bowiem dopiero za pomocą małej lunety, skierowanej w obszar pogranicza gwiazdozbiorów Małego Lwa i Wielkiej Niedźwiedzicy. Jest mniejsza od Słońca, a w jej optycznym widmie więcej jest barwy czerwonej — nie wyróżnia się więc spośród wielu podobnych do niej przeciętnych gwiazd Galaktyki. W czasach, gdy astronomowie starożytni nadawali okazałym i jasnym gwiazdom nieba pięknie brzmiące nazwy, ta nie była jeszcze w ogóle znana. Dlatego też ma tylko skromny numer pozycji w katalogu...

LALANDE 21185 pozostałaby, być może, nieznana i zapomniana, gdyby nie fakt, iż w połowie XX wieku astronomowie stwierdzili, że gwiazda ta posiada — podobnie jak Słońce — własny układ planetarny.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## W KTÓRYM ZAPADAJĄ WAŻNE DECYZJE, A CEL WYPRAWY ZACZYNA RYSOWAĆ SIĘ NADER WYRAŹNIE

Budząc się zadawali wszyscy to samo pytanie. Usłyszawszy odpowiedź uśmiechali się z radosną satysfakcją, upewnieni o celowości swych trudów. Potem ćwiczyli uparcie swe osłabione mięśnie i zeszywniałe stawy.

Normalny stan organizmu powracał po kilku dniach, lecz już po upływie godziny można było poruszać się bez trudu.

Har Adler obudził się jako ostatni. Gdy otworzył oczy i odzyskał przejrzystość widzenia, dostrzegł w kolistej szybce na wprost swej twarzy dwa wesołe oblicza. Pamięć wracała w ślad za świadomością. Te dwie twarze — choć bardzo zmienione i dojrzałe po trzech prawie latach anabiotycznego snu Hara — powiedziały mu od razu wszystko. Spośród wszystkich obudzonych tylko on jeden nie musiał zadawać owego sakramentalnego pytania. . .

Miny Ewy i Teda były zawsze najczulszym wskaźnikiem, najlepszym barometrem nastrojów panujących na pokładzie astrolotu. Odmalowywała się na nich, w równym stopniu nuda długich okresów kosmicznej jednostajności, jak i każde najdrobniejsze nawet zdarzenie naruszające tę jednostajność.

Odzyskawszy panowanie nad mięśniami twarzy, Har uśmiechnął się na znak, że ich poznaje. Po kilkunastu minutach mógł już opuścić komorę hibernatora, choć nogi działały jeszcze niezbyt sprawnie. Odbywając przepisową porcję gimnastyki, rozmawiał z Ewą i Tedem. Nie omylił się czytając w ich twarzach. Cel podróży — odległy teraz zaledwie o tydzień lotu — spełniał pokładane w nim nadzieje: układ Czerwonego Słońca składał się z czterech planet! Tak więc, wbrew przewidywaniom pesymistów, dwie znane jeszcze przed wyruszeniem z Ziemi planety-olbrzymy nie były jedynymi ciałami krążącymi wokół docelowej gwiazdy. Dwie znacznie mniejsze, krążące bliżej macierzystej gwiazdy i dlatego niedostępne dla obserwacji z Ziemi, ujawniły swoją obecność dopiero w siedemnastym roku podróży. W porównaniu z dwiema pozostałymi stanowiły po prostu znikome okruchy materii, których oddziaływania grawitacyjne nie wnosiły istotnych zakłóceń do ruchu całego układu. Z odległości połowy roku świetlnego dostrzeżono je jako małe punkciki słabego światła, a w miarę zbliżania się „Cyklopa” do

celu podróży rejestrowano coraz to nowe dane o obu planetach.

Pierwszą (licząc od środka układu) nazwano Florą. Była nieco większa od Ziemi, a skład widmowy odbitego od niej światła wskazywał na obecność tlenu w atmosferze i — co było niezmiernie ważne — obecność chlorofilu na jej powierzchni. Dowodziło to ponad wszelką wątpliwość istnienia na planecie dość obfitej roślinności zielonej.

Druga, Orfa, była nieco mniejsza i przedstawiała się — z tej odległości, w jakiej obecnie znajdował się astrolot — mniej korzystnie. Wszystko przemawiało za tym, że jest ona sucha i chłodna, posiada dość rzadką atmosferę i nie stanowi zbyt dogodnego środowiska dla rozwoju form żywych. Obie jednak leżały w obrębie ekosfery, nawet więc i w przypadku Orfy nie można było istnienia jakiejś specyficznej wegetacji z góry wykluczać.

Pozostałe dwie zewnętrzne megaplanety, z których każda rozmiarami wielokrotnie przewyższała Jupitera, były jak on puste i mroźne. Największe zainteresowanie wywoływały oczywiście Orfa i Flora. Zbudzeni z letargicznego snu członkowie zmiany „odpoczywającej” przez ostatnie trzy lata, pytali właśnie o ich istnienie: „są czy nie ma?” Dowiedziawszy się, że istnienie „małych” planet jest już niezbłą rzeczywistością, zabierali się ze zdwojoną energią do ich obserwacji, do przygotowań przed zbliżającym się końcem wielkiej podróży.

„Cyklop”, astrolot z napędem stellatronowym typu epsilon, wraz z siedemnastoosobową załogą dziś właśnie przeciął orbitę najbardziej zewnętrznej z planet układu. Moment ten oznaczał wejście do „wnętrza” układu. Od sześciu już miesięcy silniki astrolotu pracowały na pełnym ciągu, by wytracić ogromną, równą prawie połowie prędkości światła, szybkość podróży.

Zadowolenie załogi z istnienia „małych” planet łatwo zrozumieć: każdy zdawał sobie sprawę, że na wielkich planetach nie można by było lądować, ba, nawet wejść na orbitę dostatecznie bliską powierzchni planety, by przeprowadzić bardziej szczegółowe badania. Orfa, a w jeszcze większym stopniu Flora — rokowały nadzieje na lądowanie, budowę bazy i możliwość szeroko zakrojonych prac badawczych.

Nim Har ukończył ćwiczenia gimnastyczne i jako tako pewnie stanął na nogach, Ewa i Ted, przekrzykując się nawzajem, zrelacjonowali mu ze szczegółami wyniki najnowszych obserwacji i opowiedzieli pokrótce o wydarzeniach ostatnich tygodni.

— Najważniejsze, że będziemy lądować! — powiedział na koniec Ted.

— Byłabym niepokieszona, gdyby nam przyszło poprzestać na księżycach Ardy i Beorii — dodała Ewa.

Har uśmiechnął się tylko. Doskonale rozumiał uczucia obojga: przecież ani Ewa, ani Ted nie opuszczali dotąd „Cyklopa”, nie byli dotąd na żadnej planecie...

Po prostu urodzili się w astrolocie.

W czasie lotu przez próżnię nie jest konieczne, by wszyscy członkowie załogi równocześnie pracowali na statku. Jest to nawet z wielu względów niepożądane. Ograniczony zapas środków odżywczych, problem zaopatrzenia w powietrze do oddychania i dostarczania świeżej wody — wszystko to przemawia za wyłączeniem na czas podróży z czynnego życia tych, którzy nie są w danej chwili niezbędni. Sprawę rozwiązuje radykalnie zastosowanie anabiozy, polegającej na głębokim uśpieniu poprzez obniżenie temperatury ciała i wprowadzenie do organizmu pewnych środków chemicznych. W tym stanie funkcje życiowe ulegają prawie całkowitemu zahamowaniu. Metoda ta — oprócz korzyści czysto „gospodarczych” — przynosi również inne, ważne dla każdego uczestnika wyprawy: po pierwsze bowiem, anabioza praktycznie wstrzymuje starzenie się organizmu, a po wtóre, chroni psychikę człowieka przed zmęczeniem jednostajnością i beczynnością, trudnymi do zniesienia w tym samym wciąż otoczeniu, w tych samych, choćby najwygodniej i najpiękniej urządzonych, wnętrzach kabin i laboratoriów.

Każdy z członków załogi przesyPIał więc znaczną część trwającej prawie osiemnaście lat podróży. Ewa, która urodziła się w pierwszym roku podróży, została uśpiona wraz ze swą matką, Sellą Berd, kiedy miała pół roku. W czasie gdy przebywała w hibernatorze, urodził się Ted. Ewę zbudzono po upływie dwóch lat i w ten sposób stała się biologicznie młodsza o rok od chłopca, mimo że on urodził się o rok później. Teda bowiem ominął sen anabiotyczny. Po naradzie postanowiono, że dzieci powinny przed dotarciem do celu podróży osiągnąć wiek i wiedzę niezbędną dla uczestniczenia w pracach ekspedycji.

Pierwszy pokaz „prawdziwego” nieba był dla Teda wielkim przeżyciem. Miał wtedy zaledwie sześć lat. Ojciec zaprowadził go do obserwatorium, skąd poprzez przejrzystą kopułę widać było gwiazdy.

Niebo było czarne. Punkciki gwiazd, jak ostrza srebrnych szpileczek wwierały się zewsząd w patrzącego chłopca. Przestraszył się nieco tej przytłaczającej czarnej płachty, otulającej ich statek ze wszystkich stron. Nie odczuwał wtedy ani tego, że astrolot zawieszony jest w środku ogromnej pustki, ani też tego, że jest on tylko małym atomem materii zagubionym w oceanie próżni. Pojęcia przestrzeni i rozmiarów były dla chłopca nieznane. Wydawało mu się raczej, że statek jest potężnym kolosem wobec tych mrowiących się kropelek światła, które wyglądały jak przyklepione do szyb kopuły obserwacyjnej. Przestrzeń była czymś niewyobrażalnym i nie dającym się odczuć dla dziecka wychowanego w zamkniętym wnętrzu astrolotu, wielkiego co prawda, lecz zawsze dającego się obejść we wszystkich możliwych kierunkach, od końca do końca. Człowiek urodzony i wychowany pod ziemskim niebem, oglądając codziennie jego sklepienie nad głową, bardzo szybko oswaja się z niewyobrażalną głębią Kosmosu, z perspektywą wi-

dzenia krajobrazu, z widokiem otwartej przestrzeni. Ted znał to wszystko jedynie ze stereofilmów, nie potrafił więc odczuć świata oglądanego z zewnątrz, spoza skorupy astrolotu, z powierzchni planety. . .

Wtedy, w obserwatorium, chłopiec odczuł tylko dziwne pomieszanie zaskoczenia, ciekawości i odrobiny strachu przed tym czymś zupełnie nowym i nieznanym. Najsilniejsza była jednak ciekawość i odtąd nikt na statku nie miał spokoju: Ted pytał o wszystko, co miało związek z gwiazdami, niebem, przestrzenią. . . Pod kierunkiem najlepszych specjalistów zaczął systematycznie gromadzić wiedzę o Kosmosie. Bo przecież załoga „Cyklopa” składała się z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie wiedzy.

Ewa nie ustępowała chłopcu pod względem ciekawości i postępów w nauce, choć zainteresowania jej przyjęły odmienny kierunek. Wcześniej niż Ted, bo mając pięć lat, zauważyła, że poza astrolotem istnieje jeszcze coś innego. Natury tego „czegoś” nie potrafiła na razie zgłębić, jednak pewien fakt wrył się w jej pamięć dość silnie. Kojarzył się z bolesnym stłuczeniem kolana, gdy pod wpływem silnego wstrząsu, naruszającego niczym dotąd nie zmacony, pozorny bezruch statku, upadła na podłogę. Nawet nie płakała zbyt długo, tak ją ten fakt zafrapował. Z rozmów dorosłych dotarło do niej wówczas, że przyczyną wstrząsu był „meteor, który zareagował z polem osłonnym”. Nie mogła oczywiście wiedzieć, co to znaczy, odtąd jednak przysłuchiwała się uważnie rozmowom, z których wśród wielu innych nieznanym słów wyłowiała jedno, często powtarzane.

— Co to jest „Ziemia”? — spytała kiedyś ojca.

Geon nie od razu odpowiedział, zaskoczony tym niespodziewanym pytaniem. Potem popatrzył na żonę, uśmiechnął się i poważnie wyjaśnił:

— Widzisz, Ziemia. . . to jest. . . jak ci to powiedzieć? To jest taka ogromna kula, gdzie żyją ludzie, tacy, jak my wszyscy. . .

— W środku? W tej kuli? — dopytywała się ciekawie. — Czy to jest taki statek kosmiczny, jak nasz?

— Ach, nie! — roześmiał się Geon. — To zupełnie coś innego. . . Tam jest niebo nad głową, drzewa, rzeki, zwierzęta. . .

— I ludzie? Dużo ludzi? Tyle, co tu, czy więcej? A co to są „drzewa”?

Ewa chciała wszystko wiedzieć od razu, a Geon mimo całego ogromu swej wiedzy planetologicznej poczuł się bezradny wobec pytań małej dziewczynki. Zupełnie nie potrafił wyjaśnić jej rzeczy na pozór najprostszych i oczywistych. Odwołał się do pomocy filmoteki, pokazał jej kilka filmów o Ziemi dostępnych dla jej dziecięcego umysłu. Ale zdawał sobie sprawę, że wszystko to jest jakimś niedoskonałym przybliżeniem. Zapewnił więc Ewę, że gdy zobaczy pierwszy raz w życiu prawdziwą planetę, gdy stanie na jej powierzchni, wówczas potrafi pojąć nieco lepiej te wszystkie sprawy. Pojmie je jednak do końca dopiero wtedy, gdy zobaczy tę właśnie planetę, o którą chodzi — Ziemię. Na koniec poradził jej żartem, by poczytała sobie trochę książek o Ziemi, których autorzy na pewno lepiej

niż on potrafią o niej opowiadać. Ewa potraktowała tę radę bardzo poważnie i już w wieku lat siedmiu potrafiła czytać zgromadzone w bibliotece mikrofilmy. Nie wiele z nich rozumiała, lecz i to wystarczyło, by odkryć przed nią zaczarowany świat książki. Chciwie pochłaniała wszystko, co na temat Ziemi i jej mieszkańców zawierały zasobniki informacyjne. To, czego nie potrafiła sobie odtworzyć z opisu i nielicznych filmów o Ziemi, uzupełniała wyobraźnią, stwarzając w ten sposób swój własny obraz tego, jak go sobie w myślach nazwała, „prawdziwego” świata, Ziemi jej rodziców i... swojej, bo czuła się z nią związana bardziej niż ze statkiem, na którym przysłała na świat, niż z nieznanymi planetami, ku którym on zmierzał.

Na odprawie u dowódcy obecni byli wszyscy. W napięciu oczekiwano decyzji, która miała za chwilę zapaść. Zespół obliczeniowy zakończył właśnie pracę, a jej wyniki przeanalizowane przez Radę Naukową miały być za chwilę podane do wiadomości ogółu załogi.

— Nasze zaufanie do teorii Biełowa-Rocksa — zaczął Atros Lund — okazało się słuszne i uzasadnione: wbrew obawom pesymistów mamy przed sobą układ planetarny, zawierający obiekty o charakterze zbliżonym do planet ekosfery naszego Słońca. Badanie ich uznajemy za możliwe i ze wszech miar celowe. Chodzi jedynie o wybór schematu postępowania.

Wydaje nam się, że najkorzystniejszym manewrem będzie sprowadzenie statku na orbitę parkingową wokół Orfy, lądowanie na niej wszystkich małych rakiet i członu międzyplanetarnego z ładunkiem sprzętu; w następnej kolejności — start członu międzyplanetarnego w kierunku Flory, niestety, tylko z częścią załogi. Za wariantem tym przemawia szereg korzystnych jego stron: możemy rozdzielić się na dwie grupy dla prowadzenia prac na obu planetach, co przy niezmiernie ograniczonym czasie przeznaczonym na badania jest dla nas ogromnie ważne; na orbicie parkingowej możemy zostawić statek bez załogi, co zwalnia nam trzy osoby, które możemy zatrudnić na planetach. Istnieje oczywiście pewne ryzyko. Zużycie materiałów napędowych będzie tu znacznie większe niż przy zastosowaniu innych spośród branych pod uwagę schematów postępowania. Wiąże się to z koniecznością manewrów w silnym stosunkowo polu grawitacyjnym w bezpośrednim sąsiedztwie planety...

— To znaczy — wtrącił Max — że o wejściu na orbitę wokół Flory nawet mowy być nie może?

— Niestety! — powiedział Atros. — Kosztowałyby nas to zbyt wiele paliwa...

— O ile dobrze rozumiem — powiedział Har — to na Florę wystartowałyby samodzielny człon międzyplanetarny z kilkoma osobami załogi. Jak przedstawiałby się wobec tego program ratunkowy w wypadku awarii członu na Florze i niemoż-

ności samodzielnego powrotu?

— Otóż to właśnie stanowi ryzyko, o którym wspomniałem uprzednio — powiedział Atros z uśmiechem. — W takiej sytuacji musielibyśmy jednak polecieć tam „Cyklopem” i zabrać załogę za pomocą małych rakiet.

— Czym ryzykujemy? — spytał Ted.

— Strata paliwa uniemożliwi nam rozwinięcie pełnej szybkości w drodze powrotnej. Nasz powrót wydłuży się o kilka lub nawet kilkanaście lat! — wyjaśnił Atros.

— Ależ... to jest przecież bez znaczenia... — zaczął Ted, lecz dostrzegł lekki uśmieszek na twarzy dowódcy i zamilkł. Zrozumiał, że nie wszyscy myślą tak samo, jak on.

— Ryzyko jednak, biorąc pod uwagę duży stopień niezawodności członu międzyplanetarnego, jest praktycznie niezmiernie małe — ciągnął Atros. — Jest jeden minus: grupa badająca Florę będzie praktycznie zdana na własne siły. Sygnał stamtąd wysłany dotrze na Orfę, do reszty załogi, dopiero po kilku minutach, a przyście z pomocą „Cyklopem” zajmie kilkadziesiąt godzin... .

— Czy sądzisz, że czekają tam na nas jakieś poważne niebezpieczeństwa? — mruknął z kąta Edi Satt.

— Nie sądzę. Wszystko jednak braliśmy pod uwagę.

Wśród zebranych podniósł się głośny szmer, a potem wszyscy, jeden przez drugiego, dawali wyraz swym poglądom. Schemat postępowania przedstawiony przez Atrosa przyjęto prawie jednogłośnie, bo tylko Har Adler wstrzymał się od głosu, zaznaczając przy tym, że jest mu zupełnie wszystko jedno, co się postanowi, byle tylko obie planety zostały zbadane jak najdokładniej. Stwierdził, że jako niespecjalista zdaje się w sprawach technicznych na zdanie fachowców i w pełni ufa ich decyzjom.

— Zatwierdzamy więc ten wariant programu — podsumował Atros. — Na koniec chcę jednak przypomnieć, że czas naszego przebywania w układzie Lalande 21185 jest bardzo ograniczony rozmiarami rezerw energii i środków odżywczych. Ze względu na to proszę wszystkich o zredukowanie poszczególnych prac badawczych do najistotniejszego minimum. Nie zapominajmy, że wyprawa nasza ma charakter ogólnego rekonesansu. Nie należy więc koncentrować się na szczegółach, choćby były one najciekawsze! Naszym zadaniem jest przygotowanie materiałów dla zorganizowania wyprawy zakrojonej na znacznie szerszą skalę.

Czasu było rzeczywiście niewiele. Niespełna trzy tygodnie miały wystarczyć na najogólniejsze poznanie obu planet! Początkowo dziwiło to Teda. Nie mógł się pogodzić z faktem, że trwająca tyle lat podróż w obie strony, przebycie tylu lat świetlnych przestrzeni miało być uwieńczone zaledwie tymi krótkimi tygodniami pobytu. „Użyteczny” czas stanowił tylko nikły ułamek czasu straconego na podróż. Przestał się dziwić dopiero wtedy, gdy dowiedział się o innych pozornych paradoksach takiej podróży. Każdy kilogram masy przeniesionej tu, do układu



planetarnego obcej gwiazdy, wymagał wielu tysięcy kilogramów paliwa, każdy litr czystego tlenu uzyskany z obcej atmosfery dla ludzkich płuc kosztował mnóstwo cennej energii. . . Podczas podróży nic nie mogło się marnować; żaden odpadek, żadna kropla wody. Wszystko wracało do nieprzerwanego cyklu regeneracji. Niemordowany Tuo Tai, chemik i doktor nauk rolno-spożywczych, znajdował zastosowanie dla każdej odrobiny nieużytecznej na pozór materii. Jego laboratoria były ogromną fabryką żywności i powietrza do oddychania, czystej wody i syntetycznych witamin. Pod sztucznymi słońcami promienników wegetowały wspinałe okazy ziemskich jarzyn i owoców, w sztucznych wylęgarniach wykluwały się kurczęta, a każdy posiłek był arcydziełem sztuki kulinarnej. Tedowi chciało się śmiać na wspomnienie żałosnych past i przetworów żywnościowych, którymi — jak wyczytał w Historii Kosmonautyki — żywiono ongiś pierwszych zdobywców przestrzeni. Owszem, na krótką metę odżywianie takie dawało zupełnie dobre efekty. Z chwilą jednak gdy czas podróży — nawet po odjęciu okresów uśpienia — liczyło się na lata, pożywienie takie przestawało wystarczać. . . Tak więc zapobiegliwość doktora Tai podtrzymywała w znacznym stopniu stan psychiczny załogi, bądź co bądź zachwiany znacznie trybem życia na statku.

Nad wyprawą jednak — jak zmora jakaś — ciążył ten bezwzględny i nieubłagany bilans energetyczny, który kazał długo ważyć każdą decyzję, każdy wydatkowany gram paliwa, każdy erg energii. Tam, w próżni, astrolot był zdany na własne jej zapasy i wszystko, do ogrzewania i oświetlenia włącznie, zasilane było z centralnych siłowni. Tu, w pobliżu Czerwonego Słońca, można było czerpać pewne ilości energii z jego promieniowania, lecz rezerw paliwa napędowego nie sposób było uzupełnić. Chyba że. . .

Inżynierowie robili czasem pewne aluzje do tego „chyba”: być może uda się odnaleźć na którejś z planet złoża surowców, nadających się do wykorzystania przy syntezie paliwa jonowego. . . Były to jednak tylko blade nadzieje, na które nie wolno było w ostatecznym rozrachunku liczyć. Dowódca mawiał zwykle: „Nie sztuka dotrzeć do celu. Trzeba jeszcze wrócić!”

Po zapadnięciu decyzji o lądowaniu na Orfie zabrał głos Igen Utero, który w krótkich słowach przekazał najważniejsze dane, jakie dotychczas udało się zebrać o tej planecie. Gdy skończył, nastąpiło kilka rzeczowych pytań i wyjaśnień. Wśród innych również i Ted wtrącił swoje pytanie — raczej z chęci zabrania głosu na równi z innymi niż z nieznajomości przedmiotu. Igen był bowiem ojcem Teda i wszystkie nowiny relacjonował synowi na bieżąco.

Inżynier Max Bodin przedstawił na koniec projekt budowy bazy, która miała stanąć na Orfie. Nad nią, na orbicie synchronicznej z obrotem planety, zawisnie „Cyklop”, pozornie nieruchomy dla obserwatora stojącego na powierzchni planety. Statek — pozostawiony bez załogi — będzie jednak utrzymywał automatyczną łączność z bazą i służył równocześnie za przekaźnik dla fal radiowych, rozszerzając tym samym promień skutecznej łączności w szerokim obszarze wokół bazy.

— Czy są jeszcze pytania? — rzucił Atros, zgarniając swe notatki.

— Chciałabym wiedzieć — zaczęła nieśmiało Ewa — jaką barwę będzie miało... niebo oglądane z powierzchni Orfy?

Pytanie wprowadziło Teda w osłupienie. Skąd jej to przyszło do głowy? On sam nigdy nie zastanawiał się nad czymś podobnym. Owszem, wiedział, że atmosfery planet rozpraszają światło i nadają niebu wygląd mniej lub bardziej jasnej kopuły, nie usiłował sobie jednak tego wyobrazić. Dla niego niebo było zawsze po prostu czarną płachtą podziurawioną iskierkami gwiazd...

— Sądząc ze składu atmosfery i widma słonecznego — odpowiedział Igen — niebo powinno mieć barwę błękitnofioletową, nieco ciemniejszą niż na Ziemi...

## ROZDZIAŁ DRUGI

### O AUTOMATACH, INTUICJI I STĄPANIU PO PIASKU

Na kilka dni przed zamierzonym wejściem na orbitę stacjonarną zdarzył się wypadek. Szczęściem skutki jego nie dotknęły całej załogi, choć mogło się skończyć znacznie gorzej.

Jeden z przewodów chłodzenia stellatronu z niewiadomych przyczyn nagle pękł i płynące w nim ciekłe powietrze zaczęło zalewać sekcję zabezpieczeń. Automatyka oczywiście przestała działać, blokada nie zareagowała i gdyby nie szybka decyzja jednego z inżynierów, Ediego Satta, który na szczęście był obecny w pobliżu miejsca awarii, mogłaby nastąpić poważna katastrofa wskutek przegrzania pomocniczego stosu termojądrowego. Edi, zaskoczony i pozbawiony innych możliwości, dłonią osłoniętą tylko niezbyt grubą rękawicą zamknął awaryjny zawór, zalewany co chwila strumieniami cieczy o temperaturze kilkunastu stopni Kelvina. Skutek był taki, że przez dwa dni obie lekarki — Wera i Juno, żona Ediego — nie potrafiły powiedzieć, czy uda się uratować dłoń inżyniera. Ostatecznie okazało się, że po dłuższej kuracji ręka powróci do normalnego stanu. Na razie jednak, przynajmniej przez okres najbliższych tygodni, a więc w czasie najbardziej gorączkowych przygotowań, jeden inżynier był z nich praktycznie wyłączony.

Zdarzenie to wstrząsnęło niezachwianą dotąd wiarą Teda w potęgę i niezawodność automatów. Od tej chwili przestał o nich myśleć, jako o samodzielnych i skończenie doskonałych maszynach zastępujących człowieka. Rozmawiając na ten temat z matką, specjalistką w dziedzinie automatyki, zagadnął ją:

— Mamo, czy nie można skonstruować takiego... robota, o jakim piszą w fantastycznych opowiadaniach? Takiego, który mógłby zastąpić człowieka w trudnej i niebezpiecznej podróży do gwiazd?

— Robota? — uśmiechnęła się Anna. — Owszem, można skonstruować taką maszynę, ale to będzie zawsze tylko maszyna...

— Jednak maszyna bywa zazwyczaj doskonalsza od człowieka?

— Zależy, co uznamy za doskonałość. Jeśli precyzję i refleks — to niewątpliwie maszyna górować będzie w tym zakresie nad człowiekiem. Ale w dziedzinie niezawodności i wszechstronności nie osiągnie ona nigdy tego poziomu, jaki re-

prezentuje mózg ludzki. . . W fantastycznych opowiadaniach powtarza się zazwyczaj wciąż ta sama niekonsekwencja: z jednej strony autorzy piszą o ogromnych, a mimo to ograniczonych i niedoskonałych „mózgach elektronowych”; z drugiej strony — stwarzają „roboty” o rozmiarach człowieka i zamykają w tej mizernej objętości intelekt niemal równy ludzkiemu, ba, czasem nawet przypisując tym fantastycznym twórcom właściwości niemalże psychiczne. . . Jednym słowem, największa nawet ze znanych dziś maszyn „myślących” — postawiona w warunkach zupełnie nie znanych jej konstruktorom i programistom — nie zdoła ani w setnej części osiągnąć tego stopnia przystosowania się do warunków, jakie wykazuje umysł przeciętnie zdolnego człowieka. Dlatego tu jesteśmy my, ludzie. Automaty stanowią tylko przedłużenie i usprawnienie naszych dłoni.

— Mamy przecież automaty budowlane, samoczynne stacje badawcze. . .

— Tak, ale i one nie potrafią niczego dokonać bez narzuconego przez nas programu i bez kontroli ze strony centralnego koordynatora, który, jak ci wiadomo, zajmuje trzecią część masy użytkowej statku. Czyżbyś poczuł się tu niepotrzebny wobec istnienia tych wszystkich urządzeń automatycznych?

Wypadek z Edim i rozmowa z matką utwierdziły Teda w przekonaniu, że muszą liczyć głównie na samych sobie, na swoją wiedzę i własne decyzje w niebezpieczeństwach. Ucieszyło go to bardzo, bo w skrytości ducha — jak każdy zresztą z uczestników wyprawy — liczył na niespodzianki, oczekiwał ich i wyobrażał sobie swoje śmiałe czyny, godne zdobywcy przestrzeni. Marzenia dorosłych i bardziej doświadczonych członków załogi były może odrobinę trzeźwiejsze i głębiej ukryte, lecz na pewno nie różniły się zasadniczo od marzeń pełnego entuzjazmu szesnastolatka.

Dzień wejścia na orbitę wypełniły pospieszne i gorączkowe przygotowania. Manewr odbył się zgodnie z planem — pod tym względem nie spodziewano się zresztą żadnych nieprzewidzianych przeszkód. Orbita była wysoka, przebiegała z dala od atmosfery i pasów radiacji, których spodziewano się w otoczeniu planety.

Sporządzone z tej odległości zdjęcia kartograficzne nie dawały jeszcze pojęcia o szczegółach powierzchni, lecz wystarczyły dla ustalenia miejsca pod budowę bazy. Miała stanąć wśród piasków rozciągającej się wzdłuż równika pustyni.

Pierwsze lądowały kolejno wszystkie trzy małe rakiety towarowe. Pilotował je Max, lecz nie opuszczał kabiny; tam, na dole, cały ładunek przenosiły na miejsce budowy automaty. Sterowane zdalnie maszyny budowlane uformowały z przetopionego piasku gładką płytę lądowiska. Odtąd transporty szły sprawnie, na dole przybywało sprzętu, a maszyny w krótkim czasie wzniosły pierwsze zabudowania: w centrum placu budowy wyrosły ściany budynku głównego, pokrytego półkulistą kopułą, a obok niego, niby szare ćmy — płaskie dachy hangarów i maga-

zynu.

Choć tylko Max bywał na placu budowy, postępy robót śledzili wszyscy za pośrednictwem samoczynnych kamer telewizyjnych, wędrujących pośród automatów budowlanych.

Dzień lądowania — oczekiwany przez wszystkich z nie tajonym podnieceniem — rozpoczął się dla Teda niepomyślnie: wyznaczono go do załogi „Suma”, owego stateczku międzyplanetarnego, który miał później posłużyć dla wyprawy na Florę. Teraz jednak „Suma” należało sprowadzić na Orfę.

Lot dużym stosunkowo i ciężkim statkiem był bardziej emocjonujący i ciekawszy, ale całą przyjemność stąd wypływającą psuła Tedowi myśl, że na planetę zejdzie jako... ostatni z załogi. „Sum” bowiem miał wylądować w ostatniej kolejności. W skład jego załogi weszła, oprócz pilota Maxa, również i Ewa. Tak więc — przy opuszczaniu statku — jej, jako kobiecie, będzie przysługiwało pierwszeństwo, a i Maxa Ted będzie musiał przepuścić ze względu na wiek.

O Orfie wiadano dostatecznie dużo, by nie oczekiwać jakichś wielkich niespodzianek. Wobec całkowitej niemal pewności, że na planecie nie żyją żadne inteligentne istoty, lądowanie nie przedstawiało specjalnych trudności natury... dyplomatycznej. Trudności technicznych też nie należało się spodziewać, biorąc pod uwagę wspaniałe kwalifikacje pilotów i drobiazgowo dokładne przygotowanie rakiet. A jednak wszyscy byli zemocjonowani. Lecieli tutaj przez osiemnaście długich lat, przez osiemnaście lat nie czuli pod stopami „twardego gruntu”! O Ewie i Tedzie lepiej w ogóle nie mówić, miejsca sobie nie mogli znaleźć z podniecenia.

Na godzinę przed wyznaczonym czasem startu, gdy łapa transportera zgarniała z wózków w czeluść „Suma” skrzynki ładunku, Ted zbliżył się do Maxa, który pieczołowicie doglądał rozmieszczenia bagaży w ładowni.

— Czy wszystkie rakiety wystartują równocześnie? — spytał.

— Tak. Dzięki temu „Cyklop” pozostanie na niezmienionej orbicie.

— Aha! To znaczy, że małe rakiety wystartują w jedną, a „Sum” w drugą stronę?

— Jasne! — powiedział Max z uznaniem. — Widzę, że pamiętasz prawo zachowania pędu. Wobec tego policz, z jaką prędkością musimy startować. Pamiętasz, jakie są masy poszczególnych rakiet?

— Pamiętam. Zaraz policzę! — Ted odwrócił się na pięcie i chciał pobiec do kabiny obliczeniowej.

— Zaczekaj! — zatrzymał go Max. — Nie można z każdym drobiazgiem biegać do kalkulatora.

Z chytrym uśmieszkiem wydobył z kieszeni biały, wydłużony przedmiocik. Ted wyciągnął niepewnie dłoń.

— Co to jest? Suwak logarytmiczny? — spytał zaskoczony.

— Właśnie. Spróbuj na tym policzyć. Tam, na planecie, nie będzie można w każdej chwili korzystać z maszyny matematycznej.

— Hm... — Ted podrapał się z zakłopotaniem w głowę, jakby chciał z niej wskrobać tę odrobinę wiedzy o prymitywnych metodach rachunkowych, którą kiedyś wbito mu tam wśród innych wiadomości z historii matematyki.

— No i co będzie? — mruknął Max, wciąż się uśmiechając. — Przypuśćmy, że znalazłeś się na pustyni, bez łączności z bazą i masz obliczyć współrzędne swego położenia...

— Zaraz! — Ted zagryzł wargi i mozolnie przypominając sobie zasadę liczenia na suwaku, wyprowadził wreszcie wynik i wynotował na kartce rezultat.

— No, niezupełnie tak! — powiedział Max, rzuciwszy okiem na papier. — Drobnym błędem, ale istotnym. Mniejsza o to, nie twoja wina — dodał widząc zmarkotniałą minę chłopca. — Doskonale to rozumiem. Kalkulator jest dla was, wychowanych na statku, tym, czym dla mnie były kiedyś w dzieciństwie liczydła. Wy nawet swoje pierwsze „dwa-razy-dwa” obliczaliście na maszynie. Bo, widzicie, na Ziemi... dziecko zaczyna liczyć przy pomocy własnych palców... No, wy też przy pomocy palców, ale... na klawiaturze maszyny.

Machnął ręką i pchnął dźwignię transportera. Lawina paczek popłynęła znowu w głąb luku.

— Nie miejcie mi za złe tego, co powiem — dodał po chwili, zwracając się do Teda i stojącej obok Ewy. — Wychowaliście się w zupełnie innych warunkach niż ktokolwiek z załogi. Można by powiedzieć, że otrzymaliście od razu drugi tom powieści do przeczytania, nie znając pierwszego. Żyliście w świecie pozbawionym niespodzianek, choć nie powiem, by nie mogło ich być. Na szczęście jednak nie było... Ale nie o tym chcę mówić. Chodzi mi jedynie o to, byście pamiętali, że nie znacie wielu spraw najprostszych, znając równocześnie wiele rzeczy skomplikowanych i trudnych. Nie nabyliście pewnych odruchów i przyzwyczajzeń, jakie posiada każdy człowiek żyjący na Ziemi. Tam, na planetach, pamiętajcie o tym, by nie ufać wyłącznie swej wiedzy i urządzeniom technicznym. Nie posiadacie w dostatecznym stopniu tego, co nazywamy intuicją i doświadczeniem, a co jest po prostu zespołem utrwalonych praktycznie przyzwyczajzeń, pewnych umiejętności stosowania wiedzy i techniki. Z tym jest jak z jazdą na rowerze lub pływaniem: trzeba się nauczyć praktycznie, zautomatyzować ruchy. Nawet najlepiej wyłożona teoria nic tu nie pomoże.

Ostatnie skrzynki zniknęły we wnętrzu „Sumy”. W ślad za nimi podążył Max.

— Też sobie wybrał czas na prawienie morałów! Jakby to teraz było najważniejsze! Na dodatek zupełnie nie wiem, o co mu chodzi. Może ty coś z tego rozumiałaś? — spytał Ted, wciąż jeszcze podrażniony swą porażką rachunkową.

— Wydaje mi się, że tak... — powiedziała Ewa niepewnie.

— Więc. proszę, wytłumacz mi to w dwóch słowach...

— Zdaje się, że tak w dwóch to się nie da streścić. Gdybyś przeczytał kilka

książek... Nie tych o fizyce i astronomii, a tych o Ziemi i ludziach, może nie musiałabym ci tego wyjaśniać...

— Niestety, nie mam teraz czasu na uzupełnianie swego wykształcenia humanistycznego! — burknął Ted niezbyt uprzejmie.

W tej samej chwili z wnętrza „Suma” wyrzwał Max Bodin.

— Za dwadzieścia minut chcę was widzieć w fotelach. Skafandry B-4 z podwójnym zapasem powietrza.

— Tak jest! — odpowiedzieli oboje z przejęciem i pobiegli do kabin.

Ted był z powrotem po ośmiu minutach. Przez ramię miał przewieszoną torbę z osobistymi rzeczami, a w dłoni dźwigał nowiutki, lśniący miotacz plazmowy. Dowódca, przydzielając Tedowi tę broń, powiedział: „Miotacz służy przede wszystkim do tego, by go mieć. To doskonale wpływa na samopoczucie”. Miało to oznaczać, że w miarę możliwości nie należy go używać. Ted miał jednak ogromną ochotę wypróbować miotacz, z czystej ciekawości...

Ewa zjawiła się dokładnie po dwudziestu minutach. Spora i na oko dość ciężka walizka objęła jej nogi, w lewej ręce dźwigała jeszcze jakąś paczkę. Ted miał ochotę zapytać złośliwie o ilość zawartych w walizce sztuk garderoby, lecz w otworze luku pojawił się Max, również w pełnym stroju podróżnym. Podeszedł do nich i wprawnymi ruchami sprawdził stan skafandrów.

— Można! — powiedział wreszcie i zagarnął ich obiema rękami w kierunku włazu. Potem podeszedł do jednej ze ścian korytarza i nacisnął taster. Ze ścian zaczęły powoli wysuwać się grodzie odcinające człon „Suma” od reszty statku.

Nareszcie!

Rakieta wyszła z warstwy chmur i płaskim lotem szybowała nad pustynią. Równy teren, tu i ówdzie nakrapiany grupkami wzgórz, sięgał aż po kraniec widocznego na przednich ekranach zachodniego horyzontu. Miejscami jak atole na tym suchym oceanie widniały ostre i regularne koliska kraterów przypominających pierścieniowe góry Merkurego. Nagle środek ekranu zalśnił białą iskrą światła. To z bazy, której z tej wysokości nawet nie było widać, wystrzelił w kierunku „Suma” mgnienie oka trwający laserowy strumień naprowadzający. Autopilot zareagował, zanim jeszcze powieki patrzących w ekran odemknęły się po tym błysku. Ekran oślepił od niebiesko-białych płomieni dysz hamujących, fotele przechyliły się stosownie do zmiany kierunku pionu.

Po kilku sekundach płomień dysz zgasł jak zdmuchnięty. Dysze kierunkowe syknęły krótkim podmuchem sprężonego gazu. Obraz pustyni zniknął z ekranów w dół, a jego miejsce zajęło ołowianoszare niebo. Fotele zakolebały się, przyjmując normalne położenie. Rufowe dysze zagrały na połowie ciągu. „Sum”, jakby zawieszony na wysięgniku ogromnego dźwigu, zawisł na chwilę nieruchomo, a potem powoli osunął się w dół.

Ładowali na piasku, by nie zniszczyć zbyt słabej dla tak ciężkiej rakiety powłoki lądowiska.

Prawa dłoń Maxa, spoczywająca na dźwigni regulacji ciągu, przesuwała się prawie niedostrzegalnie ku przodowi. Rakieta, stojąc na płomieniu, opadała z wolna. Przez kulę hełmu widać było ostry profil Maxa, nieruchomo patrzącego w mrowie rozedrganych wskaźników na desce rozdzielczej. Ziemia nacierała na statek pionową ścianą w tylnych ekranach. Szum silników przerodził się w wycie, płomień gorącym oddechem sięgnął piasku i rozmiótł błyskawicznie jego lotną warstwę powierzchniową, wygrzebując w tym miejscu kolisty lej, obwałowany pierścienistym nasypem. Długie, pajęczne nogi wsporników utkwily płaskimi stopami w dnie leja, zapadając się nieco. Po chwili jednak odnalazły oparcie w twardszych warstwach gruntu, amortyzatory ugięły się ciężko, mlaskając przetłaczanym w ich wnętrzu olejem. Dysze, które zamilkły w chwili zetknięcia się wsporników z gruntem, plunęły raz jeszcze słabym podmuchem, by rozkołysać raketę w pionie dla sprawdzenia stateczności. Wreszcie rakieta znieruchomiła. Pilot trwał jednak wciąż w skupionym napięciu. Z dłonią na dźwigni śledził jeszcze świetliste słupki dynamometrów wskazujących obciążenie wszystkich trzech wsporników. Było równomierne. Wskaźnik pionu — czerwony świetlik wśród pajęczyny koncentrycznych okręgów — ani o włos nie odchyłał się od punktu zerowego.

Napięcie zniknęło powoli z twarzy Maxa. Nad jego głową zamrugał zielony sygnał. Teraz dopiero Max przekręcił maleńki kluczyk blokady rozrządu i schował go do kieszeni skafandra.

— Po co ten kluczyk? — zapytał Ted.

— Przepisy... — zaśmiał się Max. — Ktoś tam pomyślał sobie, że lepiej by było, gdyby nam tubylcy nie ukradli rakiety.

— Wierzysz w tubylców? — wtrąciła Ewa.

— Gdyby to cokolwiek pomogło, na pewno gotów byłbym uwierzyć. Tu jednak chyba ich nie spotkamy.

Minąwszy służbę, wydostali się do komory wyjściowej. Max uruchomił wyciąg i po chwili krzeselko windy kołysało — się tuż za progiem wyjazdu. Ewa jako pierwsza zajęła w nim miejsce i krzeselko zaczęło powoli wędrować w dół wzdłuż kratowej konstrukcji jednego ze wsporników.

Spojrzała najpierw w dół, w trzydziestometrową przepaść pod stopami, a potem w niebo.

Igen miał rację. Niebo miało lekki odcień fioleto, nad widnokrzem różowiło się nieco, oświetlone niskim purpurowym słońcem. W niewielkiej odległości srebrzyła się gładka, jakby wprost z piasku wyrastająca kopuła bazy. Nieco w lewo od niej sterczały w niebo trzy ostre sylwety raket. Poza tym nic nie naruszało monotonii otoczenia.

Stopy Ewy zetknęły się z gruntem łagodnie, lecz niespodziewanie. Podziwiając panoramę zapomniała na chwilę, że zjeżdża wyciągiem. Odruchowo podkurczyła nogi, lecz krzeselko zatrzymało się już na dole. Odpięła klamrę i zeskoczyła



na ziemię.

Ted, stojąc na progu wyłazu, odczuł nieprzyjemny zawrót głowy. Przed nim rozpościerała się jasna przestrzeń, czerwone słońce oślepiało. To, co ujrzał, zaskoczyło go. Poczul się nagle jak zamknięty pod ogromnym, nieprzejrzystym kłosem, odcinającym go od tak dobrze znanych gwiazd i konstelacji. Wobec próżni, do której tak się przyzwyczyił, ta niebieskawa kopuła wydawała się czymś namacalnie ciężkim i gęstym. I tyle swobodnej, przestrzeni... W porównaniu z ciasnym i do maksimum wykorzystanym wnętrzem statku ten nadmiar pustej przestrzeni wydał się chłopcu jakimś straszliwym marnotrawstwem!

Ewa przebrnęła przez wał piasku usypanego podmuchem dysz. Czekając na towarzyszy, przyglądała się, jak ziarna osypują się po zboczach wału, porywane ostrymi podmuchami wiatru. Prawie nie zastanawiając się, przyklekła i nabierając w obie dłonie piasku, podrzuciła go w górę. Wiatr porwał ziarna i rozwiął je sypkim warkoczem. To było zabawne. Ewa raz jeszcze puściła na wiatr garść piasku, a potem otrzepała rękawice i spojrzała w kierunku bazy, skąd zbliżało się właśnie coś na kształt komety wlokącej ogon szybko opadającego pyłu. „Głową” komety okazał się pełzak, gąsienicowy pojazd pustynny. Zatrzymał się w odległości kilkunastu metrów. Kopułka uniosła się, z kabiny wyskoczył Adam Wroński. W dłoni niósł pęk jakichś suchych badyli. Z uroczystą miną zbliżył się do Ewy i składając niski ukłon, wręczył jej rosochaty bukiet.

— Witam na Orfie. Ponieważ przybyliśmy o dziesięć minut wcześniej, czujemy się gospodarzami. A to najpiękniejszy — bo jak dotąd jedyny — okaz miejscowej roślinności: miotłowiec Wrońskiego, na cześć odkrywcy.

Do bazy było niedaleko, lecz jechali dość długo, bo pełzak nie mieścił czterech osób w kabinie. Ewa i Adam zajęli miejsca wewnątrz, a Ted z Maxem uczepili się z tyłu pojazdu.

Pozostawiona w pustyni rakieta stała, podobna do olbrzymiego kraba, na trzech szeroko rozstawionych nogach wsporników. Ted przyglądał się przez chwilę jej strzelistej sylwetce.

— Okazale wygląda, prawda? — powiedział Max z dumą. — Pierwszy raz możesz popatrzeć na nią z zewnątrz. Prawdziwy sum. Nawet wąsami porusza.

U tępego dzioba rakiety wachlowały miarowo dwa półkola anten radarowych.

— Sum to taka ryba? — upewnił się Ted.

— Owszem. Najsmaczniejsza z ryb! — zapewnił Adam zza steru. — A przy tym jaka mądra! Kiedy byłem ostatnio na jeziorach, przytrafił mi się w takiej zarośniętej rzeczce sum... To była sztuka! Taaaka!

Tu Adam pokazał, jaki był ten sum.

— Uhm... — mruknął wąpiąco Max i mrugnął okiem do Teda. — Uwóżaj, Adasiu, nie puszczaj steru, bo na latarnię wpadniemy!

Latarń co prawda w pustyni nie było, lecz wjeżdżali właśnie między zabudowania bazy.

Wrzała tu gorączkowa praca. Tylko Edi z markotną miną siedział w fotelu, piastując na temblaku swą chorą dłoń. Ewa przyłączyła się natychmiast do doktora Tai, który przy gastromacie programował właśnie inauguracyjną kolację. Ted zajrzał we wszystkie kąty, wypróbował wszystkie urządzenia automatyczne, zajrzał do hangarów, a potem zasiadł w odosobnionym kąciku kabiny radiowej i przez dłuższy czas coś tam dłubał, schylony nad stołem. Ewa, która zajrzała mu po godzinie przez ramię, spostrzegła, że Ted... liczy uparcie na suwaku logarytmicznym!

## ROZDZIAŁ TRZECI

### W KTÓRYM ORFA DEMONSTRUJE SWOJE MOŻLIWOŚCI, A AUTOMATY — SWOJE

Następnego dnia odbyła się narada robocza. Ustalamy główne kierunki badań — mówił Atros Lund znad barwnej fotomapy rozpostartej na stole. — Na razie rozdzielamy się na dwie grupy. Pierwsza, w skład której wejdą: Wera i Adam Wrońscy, Geon Berd oraz Max Bodin jako pilot batyskafu, opuści się jutro na dno oceanu i pozostanie tam, zależnie od potrzeby, od trzech do pięciu dni; grupą dowodzi Geon. Liczymy na waszą samodzielność. W razie alarmu musicie posługiwać się kodem detonacyjnym przez odstrzał ładunków podwodnych. Pozostali będą prowadzić prace na łodzi oraz tu, w bazie. Szczegóły planu każdy otrzyma na piśmie. Jeszcze raz proszę o sprawne działanie i trzymanie się programu. Czasu mamy niewiele. Trzy tygodnie na zbadanie dwóch planet to nawet w naszym kosmicznym stuleciu okres bardzo krótki. Pomyślcie — zwrócił się do Ewy i Teda — przez ile wieków ludzie musieli badać swój własny glob, by jako tako go poznać...

— Mam nadzieję, że nie będziesz wymagał tak dokładnych danych, jakie mamy o naszej Ziemi — udając przerażenie spytał Har Adler, szef informacji i dokumentacji naukowej (czyli — jak go w skrócie i nieco archaicznie nazywano — „bibliotekarz”) oraz archeolog, historyk i właściciel czarnej brody w jednej osobie.

— Przeciwnie! — uśmiechnął się Atros. — Nawet bardzo proszę o powściągliwość i nieprzesadzanie ze szczegółami. Wiem wprawdzie, że trudno się ograniczyć, gdy na każdym kroku spotyka się rzeczy nowe i nieznanne, lecz trzeba zatrzymywać się tylko nad najistotniejszymi sprawami. „Jedną ręką wziąć dwie dynie — choćbyś chciał, nie można”, jak mówi chiński aforyzm.

Atros popatrzył do trzymanej w dłoni kartki, jakby chciał sobie coś jeszcze przypomnieć. Potem spojrział w kierunku Ediego i zapytał:

— Jak ręka?

— Nieźle... — mruknął inżynier, zezując z ukosa na lekarki.

— Nie tak znowu nieźle!

— Jeszcze nie jest zdrowa!

Obie lekarki protestowały zgodnym chórem. Atros uśmiechnął się nieznacznie.

— Wiem, Edi — powiedział — że chciałbyś być przydatny na równi z innymi. Jeśli więc poradzisz sobie jedną ręką, to przygotuj stacje automatyczne. Wyślemy je na Pustynię Zachodnią. A Ted niech ci pomoże.

Ted skinął głową bez entuzjazmu. Spodziewał się, że zostanie przydzielony do którejś z ekip terenowych — jeśli już nie do oceanicznej, to przynajmniej do grupy mającej badać dalsze tereny pustyni.

— Na pustynię wyrusza grupa w składzie: Igen Utero, Tuo Tai i Pollo Trevi. Dowodzi Igen. Zabierzecie dwa pełzaki. Trasa: na południowy wschód i południe od bazy, do granic strefy nadmorskiej. Pozostali w bazie mają za zadanie opracowanie napływających danych oraz dalsze próby nawiązania łączności z Florą.

Gdy dowódca skończył i wyszedł, Edi zbliżył się do Teda i poufale skubnął go w łokieć.

— Chodź, chłopcze — powiedział. — Nie martw się. Mnie też nie chcą ze sobą zabrać. Trzeba to jakoś przeżyć.

Ted pomyślał, że to bardzo uprzejmie ze strony Ediego, iż chce mu dodać otuchy, ale równocześnie zdawał sobie sprawę z istotnej różnicy w ich sytuacjach: gdyby nie chora ręka, Edi na pewno zasiadłby za sterami batyskafu. . . A on? Cóż, widocznie uważają go za smarkacza.

Poszli przebrać się w robocze skafandry. Po drodze Edi, jakby czytając w myślach chłopca, mówił:

— Buntujesz się, no nie? To od razu widać, niełatwo ukryć taki rozsadzający człowieka zapał do czynu. . . Ale nie mamy czasu na popełnianie błędów, do wszystkiego potrzebni są specjaliści.

Wyszli przed bazę. W pobliżu hali montażowej stało sześć gotowych do drogi automatów. Samopasy połyskiwały pancierzami jak szereg wielkich żółwi. Wiał silny wiatr, nawiewało piasku w każdą szczelinę, w każde załamanie odzieży.

— Znowu dmie — powiedział Edi z niezadowoleniem. — A my musimy jeszcze zajrzeć im do środka. Nie możemy otworzyć pokryw tutaj, bo wszystko się zapiaszczy. Sprawdzimy na razie zdalne sterowanie, a potem wprowadzimy maszyny do hali.

Włączyli trzymane w dłoniach małe nadajniki sterujące.

— Weź dwójkę — powiedział Edi — a ja wezmę jedynekę. Niech się trochę przeleca po piasku.

Skierował wijkę anteny w stronę pierwszego samopasa. Pojazd gwałtownym skokiem ruszył przed siebie, a potem posłuszny ruchom palców Ediego, który regulował nadajnik, skręcił w stronę otwartej pustyni i pomknął po powierzchni piasków ze zdumiewającą chyżością. Gdy się oddalił o trzysta metrów, zawrócił nagle i jak dziecinna zabawka ze zdalnym sterowaniem zaczął zbliżać się ku bazie.

— Wypuść dwójkę — powiedział Edi. — Prosto na tamten!

Ted spojrział z wahaniem, nie rozumiejąc polecenia.

— Nie bój się, puść swój automat w kierunku mojego — zachęcił go Edi z uśmiechem. — Dodałem im jeden warunek ograniczający. . .

Drugi samopas wystartował w kierunku pierwszego. Pędziły teraz naprzeciw siebie i wydawało się, że za chwilę roztrzaskają się nawzajem. Gdy jednak odległość zmalała do kilkudziesięciu metrów, oba pojazdy prawie równocześnie zastopowały, a potem ostrożnie i powoli, jakby skradając się, zatoczyły wokół siebie szerokie półkola, wyminęły się i odnalazszy pierwotny kierunek, popędziły dalej, każdy w swoją stronę. Edi zaśmiał się cicho i z zadowoleniem.

— Widziałeś, jakiej ostrożności je nauczyłem? To na wypadek spotkania jakichś ruchomych obiektów. Po co mają straszyć zwierzynę? Niech lepiej omijają z dala wszystko, co się porusza. No, te dwa sprawne, zaprowadź je do hali i odkręć tylne pokrywy.

Ted stał jeszcze przez chwilę, podziwiając sprawność musztrowanych przez Ediego maszyn. Nagle spojrział w kierunku zachodniego krańca horyzontu i zaniepokoił się.

— Popatrz — trącił inżyniera — co to? Tam!

Od zachodu nadciągał czarny tuman, jakby zwały piasku powstały nagle i uniosły się w górę zwartą masą. Czarna, stożkowato rozszerzająca się ku górze chmura zbliżała się z ogromną szybkością. Pociemniało nagle.

— Wygląda to na burzę — powiedział Edi na wpuł do siebie. Włączył mikrofon interkomu, zainstalowany w hełmie. — Baza, widzicie, co się dzieje?

— Widzimy — odezwał się głos Atrosa. — Gdzie jesteście? Ukryjcie się!

— Dobrze, już się chowamy! — mruknął Edi, wciąż wpatrując się w nadciągający tuman.

— Skierować samopasy do hali? — dopytywał się gorączkowo Ted.

— Nie — Edi machnął ręką. — Nie trzeba, dadzą sobie radę.

Wpadli do hali. Ted zaryglował właz i podbiegł do iluminatora. Na zewnątrz rozpętało się niesamowite piekło. W zapadłym nagle zmroku ukazały się pierwsze fale piasku i runęły na kopułę głównego budynku. Równocześnie cała powierzchnia roziskrzyła się drobnymi igielkami wyładowań elektrycznych. Potem zrobiło się zupełnie ciemno. Tylko dachy zabudowań świeciły ciągłym bladym światłem iskrzenia.

— Piaskowa burza z wyładowaniami! — zawołał Edi z zachwytem. — Przyroda zawsze sobie poradzi! Nie ma wody — może być piasek. Byle gnębić biedne stworzenia. . .

Widać było, że z satysfakcją obserwuje bezskuteczne ataki piasku na zagubiony w pustyni skrawek cywilizacji.

— To pierwszy kontratak, odpowiedź Orfy na nasze wtargnięcie — powiedział po chwili. — Jak dotąd my jesteśmy górą. Ale przeciwnika nigdy nie należy lekceważyć!

Trąba powietrzna przeszła równie szybko, jak się pojawiła. Pozostawiła po sobie wały nawianego wokół budynków piasku. W miejscu gdzie przed chwilą stały samopasy, sterczały tylko pręty anten.

— Teraz patrz! — powiedział Edi uroczyście, gdy wyszli ponownie na zewnątrz.

Nacisnął klawisz sterowania. Przed halą zakotłowało się, jakby nowa, mniejsza burza wybuchła nagle w tym miejscu. Po chwili piasek opadł, a sześć samopasów triumfalnie kołysząc czułkami anten powędrowało sznureczkiem do hali.

— Jedno niebezpieczeństwo udało się nam z góry przewidzieć — powiedział Edi. — Te automaty przeszły swój bojowy chrzest na Marsie, w głębi Czerwonej Pustyni. Jakie jeszcze niespodzianki mogą je spotkać tu, na Orfie?

— Mamo... — zaczął Ted, gdy zasiedli wieczorem do kolacji w kabinie mieszkalnej.

Spojrzała na syna, jakby przeczuwając, że chce ją spytać o coś bardzo ważnego. Zachęciła go ciepłym spojrzeniem.

— Mamo, czy ty... i ojciec... jesteście zadowoleni ze swej pracy? Z tego, że jesteście tutaj, z dala od Ziemi i innych ludzi?

— Oczywiście! — odpowiedziała natychmiast. — Przecież nikt nas do tego nie zmuszał. Chcieliśmy sami, wybraliśmy... A dlaczego pytasz? Czy ty jesteś niezadowolony? Ciebie nikt nie pytał, więc miałbyś prawo do niezadowolenia...

— Ależ nie, nie! — zaprotestował gwałtownie. — Ja bardzo, bardzo chcę. Chciałbym nawet jeszcze więcej... Chciałbym być przydatny... wydaje mi się jednak, że nie jestem tu bardzo potrzebny, czuję się tu jakoś... ponadplanowo.

— A ty jesteś przekonany, że stać cię na dokonanie wielkich rzeczy, tylko my ci nie pozwalamy?! — dokończyła Anna z uśmiechem.

— Nno... tak! — bąknął Ted. — Skąd wiesz, że tak właśnie pomyślałem?

Roześmiała się wesoło, biorąc go za rękę.

— Znam to już skądś... Twój ojciec, gdy miał tyle lat, co ty, myślał zupełnie tak samo.

— Znałaś go już wtedy?

— Nawet wcześniej!

— Na Ziemi?

— Nie, na Ganimedzie. Jak wiesz, ojciec się tam urodził, a ja przyjechałam z rodzicami, mając dziesięć lat. Igen miał wówczas trzynaście. Był bardzo pewien siebie, zupełnie jak ty. Prowadził mnie na karkołomne wycieczki w góry Ganimeda i zwierzał się ze swych planów i... kłopotów. Największym kłopotem było oczywiście to, że dorośli nie dopuszczają go do niebezpiecznych prac i wypraw. On już wtedy chciał lecieć do gwiazd. No i poleciał...

Ted słuchał z ciekawością. Nieczęsto się zdarzało, żeby miał czas na dłuższą rozmowę z matką, ona także była wiecznie czymś zajęta albo zmęczona.

— Mamo, ale jeśli się już wybrało tę drogę badacza przestrzeni... to chyba trzeba oddać się całkowicie tej pracy? Atros wciąż podkreśla, że jest nas mało i mało mamy czasu...

— Oczywiście! Widzisz przecież, jak wszyscy sumiennie spełniają swe obowiązki.

— Mamo — ciągnął Ted — bo taka na przykład Ewa... Właściwie to ją lubię, choć jest jeszcze taka dziecinna... Ale ona tylko pozornie jest tu, z nami. Tak naprawdę to ona jest bardziej tam, na Ziemi, niż tutaj. Nigdy nie widziała Ziemi, ale wydaje mi się, że ona bardziej ją kocha niż nasz statek, naszą pracę, no w ogóle naszą całą terażniejszość... To chyba nie tak powinno być! Powinniśmy bardziej żyć tym, co mamy, niż tym, co zostało daleko...

Anna spojrzała na syna z powagą.

— Ja też najbardziej ze wszystkiego kocham Ziemię — powiedziała dobitnie. — Atros, Geon, twój ojciec, który się na niej nie urodził — oni wszyscy także ją kochają, każdy na swój sposób. To dobrze, że Ewa interesuje się Ziemią. Dla was jest ona planetą tak samo nieznaną, jak Orfa i Flora. Powinniście ją poznawać i kochać.

— Może, gdy wrócimy... — zaczął Ted niepewnie.

— Nie! — przerwała Anna. — Teraz musisz ją pokochać, a przynajmniej zrozumieć jedno: że my wszyscy jesteśmy tu nie dlatego, że znienawidziliśmy Ziemię i uciekliśmy z niej, lecz dlatego właśnie, że ją kochamy. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale to nie paradoks. Ziemia to nie tylko glob krążący wokół Słońca. Ziemia — to również i przede wszystkim ludzie, ich życie, historia, kultura... Tak trzeba rozumieć słowo: Ziemia.

Ted patrzył w talerz, ważąc w myślach słowa matki. Miała rację: nie rozumiał wielu rzeczy...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### W KTÓRYM POWSTAJE PYTANIE, CZY BOLOTY ŻYWIĄ SIĘ AUTOMATAMI

Trzy dni upłynęły jednostajnie i bez rewelacyjnych Wydarzeń.

Zespół Geona wystartował „Sumem”. Tylko tak duża rakieta mogła podźwignąć spory batyskaf. Wylądowali na wysepce w środku oceanu i jeszcze tego samego dnia weszli w zanurzenie. Od tej chwili nie można było porozumiewać się z nimi normalnymi kanałami łączności. Dopiero następnego dnia w południe sejsmografy zarejestrowały cztery kolejne wstrząsy, co oznaczało, że załoga batyskafu nie napotyka na żadne poważne trudności. Odtąd codziennie dochodziły od nich jedynie regularne sygnały sejsmiczne.

Grupa Igena penetrowała południowo-wschodnie rejony pustyni, na zachodzie szeroką ławą przeczesywała ją samopasy. Na tablicy kontrolnej w bazie można było w każdej chwili sprawdzić prawidłowość funkcjonowania automatów. Codzienne komunikaty z pustyni nie przynosiły nic prócz danych geologicznych i fizycznych.

Grupa łącznościowa miała nieustający kłopot: za wszelką cenę usiłowała zwrócić na siebie uwagę przypuszczalnych mieszkańców Flory. Sygnały wysyłane na wszystkich częstotliwościach pozostawały jednak bez odpowiedzi.

Lon Rahme, który był psychologiem („specjalistą od psychologii istot pozaziemskich”, jak go złośliwie nazywali współtowarzysze) i wchodził w skład grupy łącznościowej, nazywał to ciągłe nadawanie sygnałów „wywoływaniem duchów”. Jediną osobą, wobec której nie upierał się przy swojej niewierze w istnienie floryjskiej cywilizacji, była Mais Proat (socjolog, zwana także „specjalistką od społeczeństw galaktycznych”, a ponadto językoznawca, ma się rozumieć także w skali kosmicznej, czego nieomieszkiwali podkreślać koledzy w chwilach dobrego humoru). Wobec Mais jednak nie tylko Lon tracił pewność siebie. Dziewczyna była po prostu niezwykle ładna.

Worek sensacji rozpruł się czwartego dnia.

Pollo zgłosił się o zwykłej porze. Przez kilka minut przekazywał dane — mnóstwo cyfr i symboli, które kierowano od razu do pamięci analizatorów. Najciekawszą wiadomość zachował „na deser”.



— Dziś w nocy czujniki zarejestrowały ruchy na pustyni w pobliżu pełzaków. Tai, który miał właśnie dyżur, obudził mnie i Igena. Poszliśmy zobaczyć, co to jest. Okazało się, że żywe obiekty. Nie wiem, czy wolno mi je nazwać zwierzętami, nie chcę się narażać biologom i wchodzić w ich kompetencje. Igen mówi, że to mu przypomina trylobity powiększone do rozmiarów hipopotama. Ja nie znam się na tym i raczej porównałbym je do czaszy rozpiętego parasola. Ocenicie zresztą sami, zrobiłem zdjęcia. Żywych okazów nie podejmujemy się dostarczyć — ważą pewnie po kilkaset kilogramów. Pamiętasz, Atros, naszego starego przyjaciela Bolota, tego z centrali namiarowej na Deimosie? On ważył chyba niewiele mniej. . . To znaczy, na Ziemi ważyłby, bo na Deimosie nie ważył prawie nic. Otóż właśnie ten przemiły grubas mi się przypomniał, gdy zobaczyłem te ociążałe stwory. Zaproponowałem, by na jego cześć nazwać je bolotami. Dobra nazwa?

— Doskonała! — zaśmiał się Atros. — Należy się Bolotowi upamiętnienie na wieczne czasy. . . Postarajcie się zebrać jak najwięcej danych o tych. . . bolotach. To będzie miało duże znaczenie.

Ted przysłuchiwał się tej rozmowie z drugiego końca kabiny łącznościowej, od pulpitu kontroli samopasów. Nie wiedział, jak wygląda parasol, a trylobita też nie widział. Nie potrafił sobie zatem wyobrazić bolota. Postanowił zapytać kogoś, co to jest parasol. . .

— Wydaje się nam — ciągnął Pollo — że boloty są roślinożerne. Stado, które napotkaliśmy, liczyło kilka sztuk. Nie próbowały nas atakować, nawet się nami nie zainteresowały. Z inteligencją u nich, zdaje się, nietęgo. Chciałem upolować jednego i zrobić sekcję, ale Igen się sprzeciwił; powiedział, że będzie na to czas później. Tai natomiast odgraża się, że potrafi zrobić pyszny befsztyk z bolota. Ofertę, ma się rozumieć, odrzuciliśmy. . .

Ledwie zamilkł głos Polla, zabrzączał wywoławczy sygnał grupy oceanicznej. Zgłaszał się Max.

— Wyszliśmy z zanurzenia o sto kilometrów od wysepki, gdzie pozostawiliśmy „Suma”. Za godzinę, gdy zbiorniki wypełnią się ciekłym tlenem, zanurzamy się z powrotem. Przekazuję dane oceaniczne.

Tu nastąpiła seria sygnałów kodu, tak szybka, że najwprawniejsze ucho nie potrafiłoby ich rozróżnić. Maszyna przyjęła je jednak bez mrugnienia „magicznym okiem”, którego światło oznaczało: „Wszystko zrozumiano”.

— A teraz niespodzianka — podjął Max tak tajemniczo, że Atros, Ted i Anna spojrzeli po sobie z lekkim niepokojem. — Na głębokości dwóch tysięcy metrów, w mule dennym, znaleźliśmy przedmiot, który może być szczątkiem sondy głębinowej, a z całą pewnością nie jest dziełem przyrody. Badamy to obecnie dokładnie. Przeszukaliśmy jeszcze raz dno w okolicy.

Atros zamyślił się. Max już dawno skończył, a dowódca trwał w upartym milczeniu. Potem, jakby zbudzony nagle, spojrział na Annę i rzucił z uśmiechem:

— No, teraz tylko brakuje, żeby łącznościowcy wystąpili z jakąś niespodzian-

ką!

— Żałuję, ale nie możemy służyć rewelacjami — powiedziała, rozkładając ręce. — Od jutra zaczniemy nadawanie i nasłuch na krótszych pasmach. Może to da jakieś rezultaty...

— Nie martw się! — pocieszył Annę dowódca. — Na dziś mamy i tak dość rewelacji. Ted, co słysząc u samopasów?

Ted, który siedział tyłem do pulpitu sterującego automatami terenowymi, odwrócił się i sięgnął do klucza sygnałowego.

Ręka zamarła mu w pół drogi. W szeregu światełek kontroli zwrotnej brakowało jednego.

— Czwórka nie odpowiada! — krzyknął. — Przed minutą było jeszcze wszystko w porządku.

Atros rzucił okiem na tablicę, a potem sięgnął po mikrofon.

— Edi Satt, do kabiny radiowej! — zawołał.

Edi przybiegł natychmiast. Kilkoma dotknięciami miernika sprawdził stan tablicy kontrolnej.

— Tu wszystko w porządku. Awaria musiała nastąpić w samym automacie.

— Nadajnik?

— Niemożliwe. Wszystkie obwody są dublowane, zasilanie również...

— Więc? — dopytywał się Atros niecierpliwie. Edi wyprostował się i spojrzał na dowódcę.

— Wygląda na to — powiedział powoli — że automat został zniszczony, wyłączony lub...

Edi zamilkł, wpatrując się nieruchomo w tablicę. Bez słowa wyciągnął dłoń w jej kierunku.

— To już zupełnie wyklucza możliwość przypadku... — powiedział cicho.

W rzędzie światełek kontrolnych brakowało d w ó c h...

— Więc... coś albo ktoś... świadomie lub nie, poluje na nasze automaty? — powiedział Atros, chwytając mikrofon. — Nie możemy dopuścić do zniszczenia następnych. Uwaga! Ogłaszam pogotowie pierwszego stopnia. Wszyscy do mnie.

W ciągu kilku minut kabina radiowa zapełniła się. Dowódca krótko wyjaśnił przyczynę alarmu.

— Jeśli nie pośpieszymy tam natychmiast, możemy stracić resztę samopasów.

— Sądysz, że to jakieś żywe istoty dostały się do nich? — zagadnął Lon ostrożnie.

— Nic nie sądzę i nie zamierzam bawić się w zgadywanie. — Atros był nieco podenerwowany. — Przygotować pełzaki, za kwadrans wyruszamy śladem automatów. Ewa i Ted zostaną w bazie, tu najbezpieczniej. Nie wiadomo, jak długo potrwa ta wyprawa. Zaopatrzenie należy zabrać na trzy dni.

Gdy Ted usłyszał, że dowódca nakazał uzbroić pojazdy w miotacze, zupełnie stracił humor. Takie polowanie ma się odbyć bez niego! W bazie musiały pozostać

co najmniej dwie osoby, to jasne. — Ale dlaczego właśnie on?

— Ekspedycja karna? — zagadnął Edi dowódcę domyślnie.

— Nie pleć głupstw! — zgromił go Atros. — O żadnych działaniach zaczepnych nie ma mowy. Nie przyjechaliśmy tu na podboje planet! Mamy tylko zabezpieczyć nasze automaty i zbadać przyczynę uszkodzeń.

Teraz do was — Atros zwrócił się do Teda. — Na czas naszej nieobecności dowodzisz bazą. W razie wątpliwości szukaj informacji w pamięci Centinu. W ostateczności alarmuj pełną mocą nadajnika, będziemy na ciągłym nasłuchu. Nie chciałbym jednak, byśmy musieli się z wami łączyć w czasie drogi, to wymaga rozwijania radiostacji. Myślę, że poradzicie sobie sami.

Nominacja pocieszyła trochę Teda.

— W porządku, dowódco! — powiedział przybierając tak poważną minę, że Ewa musiała się odwrócić, żeby nie parsknąć.

Kolumna pojazdów ruszyła na zachód, a Ted pogрузił się w lekturze instrukcji bezpieczeństwa. Tak się wczuł w swą rolę komendanta bazy, że mimo woli snuł już marzenia o swych bohaterskich czynach. Niebezpieczeństwa wprawdzie na razie nie było widać, ale niewytłumaczone zamknięcie samopasów dawało pole do domysłów i przypuszczeń.

Rozmyślenia przerwała mu Ewa przypomnieniem o kolacji. Kolacja była zresztą umowna, bo wypadła akurat w połowie krótkiego orfijskiego dnia. Względy zdrowotne nakazywały zachowanie dwudziestoczterogodzinnego cyklu dobowego, choć na Orfie doba trwała czternaście godzin.

Kolację jedli w milczeniu. Ted z oczami utkwionymi w talerzu przeżywał dalej swe wspaniałe przygody.

Gdy w pewnej chwili podniósł wzrok znad nakrycia, dostrzegł obok talerza Ewy jakiś mały, włochaty kłębuszek.

— Co to jest? — spytał, wyciągając rękę, lecz Ewa ukryła w dłoni kosmatą kulkę.

— Maskotka... — powiedziała niechętnie, opuszczając oczy i przytulając do twarzy owo puchate „coś”.

— Pokaż! — nalegał Ted. — Przecież ci nie zabiorę!

Z wahaniem rozchyliła palce. To był maleńki, kudłaty pluszowy miś!

— Przedstaw się, misiu — powiedziała.

— Ojej! — zaśmiał się Ted. — A ja myślałem, że już z tego wyrosłaś... Nie wiedziałem, że jeszcze masz zabawki.

— To moja jedyna prawdziwa zabawka. Innych nigdy nie miałam. Tego misia dostałam od mamy, kiedy byłam jeszcze zupełnie mała.

— Niewiele od tego czasu wydorosłaś — zakpił Ted. — No, no! Zostawiono mnie w bazie z dziecięcą załogą!

— Powiedziała ci, że to maskotka! — powiedziała Ewa urażona.  
— Ale... do czego ona służy?  
— Jak to: „do czego”? Po prostu: jest. A ponadto przynosi szczęście.  
— Ty w to wierzysz?  
— Maskotki przynoszą szczęście tylko tym, którzy w to wierzą. Zapytaj Maxa. On ma świnkę przy kluczu do uruchamiania silników „Suma”. O nim chyba nie powiesz, że jest dziecinny? A jednak ma świnkę, na szczęście... Nie tylko zresztą on. Tu każdy coś ma, coś z Ziemi. Dla ciebie to zaraz wszystko musi być „do czegoś”! Lon na przykład ma takiego maleńkiego, białego słonia. Poproś, to ci pokaże. On mówi, że mu to przypomina Indie.  
— Dziwactwa... — mruknął Ted, wzruszając ramionami. — Jakiś tam kawałek szmatki...  
— Co? — oburzyła się Ewa. — Mój misio, to jest misio, a nie kawałek szmatki. On jest też z Ziemi i nie wolno go obrażać. Zobacz, pogniewał się na ciebie! — dodała, odwracając misia tyłem od Teda.  
— Strasznie się z tego powodu martwię! — zakpił Ted.  
— To się dopiero okaże! Nie można bezkarnie obrażać mojego misia — powiedziała żałośnie Ewa. — Chodź, misiu, nie przejmuj się tym niedobrym chłopakiem. — To mówiąc, schowała misia do kieszeni kombinezonu.  
Tedowi zrobiło się trochę głupio. Nie patrząc na dziewczynę, powoli podszedł do pulpitu programowego i zaczął rozwiązywać jakiś wymyślony problem.  
To, że powierzono mu dowodzenie bazą, przestało go już zupełnie cieszyć.  
„Jeśli tak dalej pójdzie — myślał — to cały pobyt na Orfie przesiedzę w bazie!”  
Zdawał sobie sprawę, że ktoś musi tu zostać, gdy inni zajęci są w terenie. A któż był najmniej potrzebny przy pracach na zewnątrz, jeśli nie oni właśnie, Ewa i Ted?  
Spojrzał na Ewę. Siedziała nad jakimś atlasem zoologicznym. Wyglądało na to, że się zupełnie nie przejmuje pozostaniem w bazie. Zezłościło to Teda. Chciałby mieć w niej sprzymierzeńca, a tu masz! Ona wcale się nie pali do odkrywczych wypraw.  
— No i zostawili nas... — powiedział niby do siebie, ale tak, by usłyszała.  
Podniosła głowę i spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.  
— Gryzie cię to? — spytała po chwili, wracając do książki. — Nie ma wyboru. Decyzja dowódcy... Najlepiej zrobisz, jeśli się czymś zajmiesz. Na przykład nauką.  
— Mało było tego przez dziesięć lat? — spytał drwiąco. — I po co? Oni i tak nie uznają, że wiem wystarczająco dużo, by razem ze wszystkimi prowadzić samodzielną pracę naukową!  
— Widocznie doszli do wniosku, że nie nadajemy się jeszcze do tych prac. Musimy oswoić się z nowym otoczeniem, z pobytym na planecie...

— Siedząc w bazie?! — zaperzył się Ted. — Powinni nas zabierać na wszystkie wyprawy, powierzać trudne zadania. . .

— Nie pomyślałeś, że może. . . boją się o nas. Nasi rodzice. . . — powiedziała Ewa, wpatrując się w twarz chłopca.

— Przecież. . . — powiedział Ted — przecież byli na to przygotowani. Lecieli na spotkanie nowego i nieznanego. Musieli zdawać sobie sprawę, że i my będziemy mieli w tym swój udział!

— Na pewno o tym myśleli, ale to wcale nie wyklucza niepokoju. . . Jesteśmy przecież ich dziećmi!

— Ale i członkami załogi! — upierał się Ted. — Poza tym nie wydaje mi się, by czyhały tu na nas jakieś groźne niebezpieczeństwa!

— A znikanie samopasów?

— To nie ma nic wspólnego z niebezpieczeństwem dla ludzi — powiedział Ted z przekonaniem — samopasy były zupełnie bezbronne. . .

— Ale ktoś musiał je uszkodzić lub. . . porwać.

— Dlaczego nie „coś”?

— Atros kazał uzbroić pełzaki. . .

— Na pewno z myślą o zwierzętach. Przeciwno rozumnym istotom nie użyłby broni. — Ted zapalał się coraz bardziej. — Pomyśl sama: jakie niebezpieczeństwo może nam grozić ze strony istot rozumnych, których zresztą, moim zdaniem, nie ma na tej planecie? Jeśli przyjmiemy, że są one prymitywne, na niższym szczeblu rozwoju, to poradzimy sobie z nimi bez trudu, nie używając broni; jeśli natomiast są wyżej od nas rozwinięte, to nie użyją siły przeciw nam. . .

— Żelazna logika! — uśmiechnęła się Ewa.

— No widzisz!

— Powiedziałam: żelazna. A żelazo, jak wiadomo, metal sztywny i. . . kruchy! Ty każde zagadnienie sprowadzasz do sztywnych regułek. Gdyby można było wszystko z góry przewidzieć, nasza wyprawa nie miałaby sensu ani celu. Urodziłbyś się na Ziemi i może miałbyś zupełnie inne zainteresowania. . .

— Nieprawda! — zaprotestował ostro. — Na pewno interesowałyby mnie nauki ścisłe.

— Niekoniecznie. Mógłbyś na przykład grać na trąbce albo na gitarze, latać za dziewczynami. . .

— Za dziewczynami? — Ted szczerze się zdziwił. — Po co?

Zrobił przy tym taką minę, że Ewa parsknęła śmiechem.

— Nie wiem, po co — powiedziała — ale wiem, że na Ziemi chłopcy w twoim wieku interesują się. . . dziewczętami.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

— Prowokacja? — spytał złośliwie, a ona zaczerwieniła się i schowała nos w książkę.

— Jeśli chodzi o rodziców i dowództwo — ciągnął Ted po chwili — to widzę tylko jeden sposób przekonania ich o naszych możliwościach: trzeba się czymś wykazać. Może wtedy zrozumieją, że jesteśmy już dostatecznie przygotowani do samodzielności. . .

Ewa nic nie odpowiedziała, może nawet nie słuchała, pogrążona w czytaniu. Ted pokręcił się bez celu po radiokabinie, sprawdził aparaturę odbiorczą, a potem zasiadł przy lornecie. Urządzenie peryskopowe, umieszczone na szczycie kopuły dachowej, umożliwiała obserwację okolic bazy, aż po kraniec widnokregu. Ted pobieżnie przepatrzył horyzont, ale wokół rozciągała się tylko monotonna pustynia. Żeby choć jakaś burza piaskowa, jakieś ciekawe zjawisko meteorologiczne, nic, nawet wiatru nie ma. Pisaki barografu i termografów ciągną na taśmie prościutkie linie, nic nie zapowiada zmian pogody. Ted ziewnął. „Oto, jak można się nudzić na obcej, pełnej tajemnic planecie — pomyślał. — We wszystkich książkach pisze się o nudzie kosmicznej. Ja wynalazłem nudę planetarną, ale to za mało, by zostać sławnym. — Zaśmiał się w duchu. — Żeby tak wyrwać się na wyprawę, wszystko jedno dokąd. Byle nie siedzieć na tej pustyni!”

Byłby znowu ziewnął, lecz zabrzączał właśnie sygnał radiostacji. Ted zamknął wizjer lornety, zeskoczył z wysokiego, obrotowego stołka i podszedł do mikrofonu.

— Tu baza, na odbiorze! — powiedział, wciskając w ucho miniaturową słuchawkę. Słuchał uważnie przez chwilę, kilka razy przytaknął, potem wyłuskał z ucha słuchawkę i wrócił do lornety.

— Co tam nowego? — zagadnęła Ewa.

— Niedobrze — mruknął. — Tych dwóch automatów po prostu nie ma! Zniknęły!

Przelotnie spojrzął w wizjer lornety i natychmiast przywarł oczami do szkła. Poprawił ostrość, zwiększył zbliżenie. Uwagę jego zwróciły jakieś ciemniejsze od piasku plamki daleko, prawie na krańcu pola widzenia. Przyglądał się im uważnie.

— To chyba boloty! — powiedział głośno.

— Gdzie, pokaż! — zainteresowała się Ewa.

Ustał jej miejsca przy wizjerze.

— Tak, to na pewno one — powiedziała po chwili. — Szkoda, że nie możemy ich z bliska obejrzeć. . .

Teda nagle olśniło. Zaczął gorączkowo:

— Posłuchaj: tamte automaty zaginęły w pustyni. Jedynymi mieszkańcami pustyni są boloty. Jeśli to nie one porywają automaty, to może. . . Matka mówiła, że natrafili na ślady bolotów w okolicy, gdzie zaginęły samopasy. . . Gdybym tak pojechał pełzakiem i. . . sprowokował tych. . . porywaczy? Może boloty to takie ich było hodowlane? A nasze automaty traktują jak napastników?

— Głupstwa opowiadasz! Przecież wiesz, jak zachowują się samopasy wobec nieznanymi ruchomych obiektów. Widzę, że zaczynasz wierzyć w tajemniczych

Orfitów!

— Jeśli nie istnieją, to nic mi nie grozi, a jeśli to oni, wyjaśnię zagadkę.

— Nie chcę, żebyś jechał! Nie mogę tu zostać sama.

— Boisz się?

— Nie o siebie.

— Nic mi się nie stanie. Pełzak ma miotacze. Ewa umilkła. Ted zakręcił się niepewnie po kabinie.

— Będziesz mnie miała w polu widzenia. Nie oddalą się zbyt. Będę ci meldował przez radio o wszystkim. O co ci jeszcze chodzi?

Nie odpowiedziała, więc wyszedł i wrócił po chwili w skafandrze i hełmie.

— Wychodzę — powiedział.

Lampka na tablicy zasygnalizowała otwarcie śluzy. Ewa podeszła do iluminatora. Ted poprowadził szybko pełzak w kierunku, gdzie na horyzoncie znaczyły się nieliczne kępy suchej roślinności.

— Tu P-4, czy mnie słyszysz? — odezwał się głośnik.

— Słyszę cię dobrze, tu baza. Uważaj! — odpowiedziała szybko.

— Mam nadzieję, że mnie nie zjedzą! No, nie złość się już, Ewka!

Próbowała wrócić do rozłożonej na stole książki, lecz nie mogła się skupić. Podeszła do lornety. Na ciemniejszym horyzoncie nie było już widać bolotów — widocznie przeszły nieco dalej.

„Za kilkanaście minut będzie ciemno — pomyślała — i stracę go z oczu”. Przypomniała sobie jednak o radarze i to ją uspokoiło.

— P-4 do bazy — zabrzmiało z głośnika. — Mam je o kilkaset metrów przed sobą. Jeśli nie uciekną, zaraz do nich dotrę. Nie, jakoś nie uciekają — relacjonował Ted. — Wyglądają zabawnie. Takie spłaszczone, niemrawe cielska. Po obu stronach tułowia mają jakby odnóża, chyba ze trzydzieści par. A z przodu — to chyba musi być ich przód — mają takie wydłużone ryjki, którymi chwytają łodygi roślin i pakują je sobie gdzieś pod szyję... a właściwie, to one nie posiadają szyj...

Jestem już w środku stada. One nie zdradzają żadnych oznak zaniepokojenia. Może po prostu biorą pełzak za jednego ze swych współtowarzyszy? Są strasznie niemrawe i cały czas jedzą. O, teraz ruszyły się nieco żywiej. Zaraz, co one robią? Poczekaj, muszę zapalić reflektor...

Głos Teda zamarł nagle, szum w głośniku urwał się ostrym trzaskiem.

— P-4, tu baza, odpowiadaj! Co się stało? — Ewa nerwowo przełączała kanały odbiornika. Na wszystkich pasmach panowała głucha cisza. „Może ma uszkodzenie nadajnika? Może zaraz się odezwie?” Przypomniała sobie o lokalizatorze radarowym. Włączyła go, lecz musiała odczekać długie minuty, nim generatory ustabilizowały się i zielony sygnał obwieścił gotowość aparatury. „Gdybym włączyła go wcześniej, byłby już od dawna gotów! — pomyślała z rozpaczą. — To o tym chyba mówił Max: brak nam wyrobionych odruchów!”

Zielonkawa smuga promienia omiotła ekran, pozostawiając po sobie świetlisty kontur. Na kierunku, w którym oddalił się pełzak, zamajaczyło kilka ciemnych punktów. Stożek fal — emitowany z umieszczonej na wysokim maszcie anteny — sięgał nieco dalej niż pole widzenia lornety.

Wśród bolotów nie było widać metalowego pudła pojazdu — wszystkie punkty świeciły niepełnym odbiciem fal.

„Co robić? Zawiadomić dowódcę? A jeśli Ted wróci za chwilę?”

Gorączkowo wcisnęła klawisz informatora.

— Centin! Podać instrukcję na wypadek zaginięcia pojazdu załogowego!

— Centin gotów do przyjęcia danych — zgłosił się automat.

— Zanalizować drogę pojazdu P-4, zbadać możliwość zaginięcia, podać wnioski!

Przez wygaszoną płytę czołową elektromózgu przebiegł świetlisty dreszcz, wskaźniki i ekrany ożyły nagle, na bocznym ekranie zapłonęła obrysowana zieloną linią szkicowa mapa okolic bazy. Od wejścia do śluzy w kierunku wschodnim popęzł czerwony wężyk — to była droga pojazdu.

Wężyk urwał się nagle w jakimś punkcie, obok którego wyskoczyły dwie białe liczby. Były to współrzędne tego punktu. Równocześnie dał się słyszeć głos automatu:

— Koniec łączności radiowej.

— A radar?

— Pojazd nie był śledzony radarem. Brak danych. Radar nie wykazuje obecności pojazdu w zasięgu lokalizacji.

— Jakie wnioski? — spytała niecierpliwie.

— Wnioski: pojazd zniknął z zasięgu śledzenia. Alternatywa: albo został uniesiony ponad powierzchnię, albo został rozłożony na części mniejsze od proggu lokalizacji.

— Pojazd był w ruchu w chwili zaniku łączności! — dorzuciła dodatkową informację, choć nie była tego pewna.

— Uzupełnienie: trzecia możliwość — szybkie oddalenie się poza pole obserwacji radaru — powiedział beznamiętnie automat.

Tak. To możliwe... Ale po co... Po co Ted miałby pognać pełną szybkością, i to z wyłączonym nadajnikiem? Gdyby uciekał przed czymś, kierowałby się w stronę bazy... Chyba więc... Chyba pogonił za czymś albo... za kimś...

— Informacja! — zawołała w mikrofon. — Podać schemat działania w bieżącej sytuacji: zaginał pojazd z człowiekiem. W bazie jeden człowiek, reszta w terenie. Co należy przedsięwziąć?

Z lewej strony pulpitu zapłonęły dwa napisy:

Zadanie zrozumiane i Informacja niepełna, na środkowym ekranie pojawił się napis: Podać dane osobowe.

— Zaginiony: karta siedemnaście. W bazie: karta szesnaście.



Decyzja: zawiadomić dowódcę — odpowiedział ekran.  
— To niepotrzebna strata czasu, ja muszę go szukać...  
Nie wolno opuszczać bazy.  
— Jeśli zawiadomię dowódcę, to będzie tu musiała przybyć przynajmniej część załogi, przerwą pracę, Ted będzie miał okropną awanturę... — wykrzyknęła Ewa.  
Maszyna skwitowała to oczywiście krótko:  
Argumentacja niejasna.  
Miała niewątpliwie rację. Dla niej pojęcie „okropnej awantury” było zupełnie niezrozumiałe...  
„Jeśli zaalarmuję Atrosa, a okaże się, że Tedowi nic nie grozi — myślała Ewa szybko — będzie miał za swoje... Może jestem przewrażliwiona? Może on po prostu odjechał nieco dalej i zaraz wróci?”  
Wahała się przez chwilę. Nie. Musi mu pomóc sama! Zanim tamci ściągną tu, do bazy, upłyną długie godziny...  
— Wychodzę! — rzuciła wyzywająco w kierunku Centinu.  
Nie wolno opuszczać bazy — upierała się maszyna.  
— Muszę go ratować! Ja... go... bardzo lubię! — wykrzyknęła rozpaczliwie.  
Informacja nieistotna — odpowiedział napis.  
— Jesteś bezmyślne, bezduszne i głupie pudło! — wykrzyknęła, zaciskając pięści, i wybiegła.  
Gdyby w tej chwili spojrziała na ekrany, mogłaby na nich odczytać:  
Informacja fałszywa: jestem maszyną informacyjno-sterującą typu Centin-300.  
Ewa wróciła po chwili, już w skafandrze, lecz bez hełmu.  
— Dlaczego śluza wyjściowa nie chce się otworzyć? — rzuciła z pretensją i zniecierpliwieniem.  
Blokada zaworu — odpowiedziała informacja.  
— Jak odblokować?  
Podać hasło.  
— Jakie?  
Informacja zastrzeżona.  
— Kto zna hasło?  
Dowódca.  
„Więc to tak? Nie dowierzają nam jednak... Chcieli w ten sposób uniemożliwić pozostawienie bazy bez dozoru”.  
Myślała intensywnie: „Informacja — choćby ją rozebrać na sztuki, zastrzeżonego hasła nie ujawni... Trzeba alarmować dowódcę... Zaraz, a gdyby tak...”  
— Informacja! Czy istnieje inny sposób otwarcia śluzy?  
Tak.  
— Jaki?

Informacja zastrzeżona.

Maszyna była nieubłaganie konsekwentna, lecz Ewa już wiedziała, jaki to sposób. Dla własnej tylko satysfakcji rzuciła pytanie:

— Czy wyłączenie głównej rozdzielni energetycznej pozwoli na otwarcie śluzy?

Informacja zawahała się jakby, lecz odpowiedziała zgodnie z prawdą:

Tak.

— Widzisz, głupia jesteś! — krzyknęła Ewa i pobiegła do głównego wyłącznika. Ściągnęła jednym ruchem czerwoną dźwignię. Gdzieś za ścianą huknął wyłącznik, pomieszczenia bazy pograżyły się w ciemności.

Ewa zbiegła na dolny poziom. W pośpiechu nałożyła hełm i wyregulowała dopływ powietrza z butli. Teraz należało się uporać z zaworem. Odsunięcie ciężkich wierzei nie należało do rzeczy łatwych. Wyłączając główną rozdzielnię, odcinało się dopływ energii zarówno do układu blokady zamka, jak i do silnika poruszającego zasuwę. Ewa całym ciężarem napała na masywny uchwyt zaworu.

Drzwi drgnęły, powietrze z sykiem wdarło się do wnętrza komory.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

KTO ŻYWI SIĘ BOLOTAMI

ORAZ

JAK DALEKO MOŻNA ZAJECHAĆ MIMO WOLI

Ewa zatrasnęła przejrzystą kopułkę i zacisnęła dłonie na sterze. Zaszumił silnik, pojazd ruszył ostro, przetaczając się po sypkich wzgórkach i zapadając co chwila przodem w szerokie bruzdy. Reflektor wydobył z piasku iskrzące się ziarenka jakiegoś minerału, rozsiane gęsto jak kropelki rosy. Powierzchnia pustyni rysowała się wyraźnie, usypane wiatrem fałdy wyglądały jak ostre krawędzie skalne — lecz pod gąsienicami rozplływały się łagodnie. Pełzak, kołyszając się i podrywając co chwila przód swego dyskowato spłaszczonego cielska, pruł powierzchnię pustyni jak statek fale morza. Ewa prowadziła pojazd szybko i pewnie.

Słońce zaszło. Ewa ogarnęła spojrzeniem widnokrąg. Z tyłu, na tle nieba, rysowały się ostro kontury bazy. Horyzont przed pojazdem był pusty. Zwiększyła szybkość. To już niedaleko, gdzieś w pobliżu powinno żerować stado.

Przed pojazdem wyrósł nagle pagórek o kształcie ściętego stożka. Równocześnie nieco w prawo linia widnokręgu poszarpała się jakby, wyskoczyły na niej jeden po drugim ciemne punkciki. „To one” — pomyślała Ewa i skierowała się prosto w tamtą stronę. Unieruchomiła ster i sięgnęła po lornetę. Z trudem wymierzyła ją w kierunku stada. Podskakujący pojazd utrudniał obserwację, wśród gromady bolotów nie sposób było dostrzec żadnych szczegółów.

Gąsienice zachręściły na kępach twardych łądyg. Serce Ewy zabiło mocno, oddech stał się krótki i szybki. Odczuła duszność, oderwała więc oczy od lornety i odkręciła nieco zawór butli. Dopływ powietrza orzeźwił ją trochę.

Bolotów było około piętnastu. Ich płaskie grzbiety połyskiwały w świetle reflektora. Ewa zatoczyła krąg światłami, skrzętnie przeszukując okolicę w promieniu kilkuset metrów. Nigdzie ani śladu pojazdu Teda... Dokoła tylko naga pustynia, piasek, tu i ówdzie kępy badyli, wokół których wiatr usypał niskie kopczyki.

Ewa zahamowała gwałtownie w odległości pięćdziesięciu metrów przed stadem. Przypomniała sobie nagle, że kierując się wprost na boloty, przestała uważać na ślady gąsienic. Rozejrzała się dokoła. Oprócz kolein pozostawionych przez jej

pełzak, żadnych innych nie było widać.

Wykonała skręt tak gwałtowny, że lewa gaśienica zaryła się w piasku. Cofnęła pojazd o kilka metrów i pomknęła z powrotem własnymi śladami. W miejscu, gdzie poprzednio zoczyła w prawo, odnalazła bez trudu dość wyraźny szlak kolein. Podążyła tym śladem. Urywał się u stóp stożkowego pagórka, który minęła poprzednio.

Natarła na ten pagórek. Gaśienice zaryły się w piachu, lecz pokonały opór i pojazd powoli, uparcie sunął ku wierzchołkowi. Przód pełzaka dotarł do górnej krawędzi zbocza. Szczyt pagórka nie był płaski, jak mogłoby się wydawać oglądającemu go z dołu, lecz dość głęboko zakłęsnięty. Ewa przejechała przez środek tego zakłęsnięcia na przeciwległą krawędź. Zatrzymała pojazd i wyskoczyła na piasek.

Spojrzała w dół. W kręgu światła reflektora widniały tylko ślady bolotów.

„Koleiny nikną u stóp pagórka — pomyślała. — A powinny iść przecież dalej, chyba że...” Skierowała wylot metalowskazu w środek pagórka — strzałka nie drgnęła nawet. „Nie, nie mógł zostać zasypany... Więc gdzie się podział?” Powoli podeszła do pojazdu, wsiadła i uruchomiła silnik. Reflektory pełzaka oświetlały wciąż spokojnie pasące się w odległości dwustu metrów boloty.

Nagle wśród ospale poruszających się zwierząt dało się zauważyć zaniepokojenie. Z niebywałym jak na nie pośpiechem rozpełzły się w niezdarnej ucieczce. W samym środku stada strzelił nagle w górę strumień piasku sięgający kilkudziesięciu metrów wysokości. Piasek opadł osypując się w kształt stożkowej pryzmy. Z jej wierzchołka wystrzelił ku niebu wydłużony, ciemny kształt, niby ogromny rękaw sterczący pionowo nad pustynią. Poruszenie wśród bolotów przerodziło się w panikę — rozłaziły się we wszystkie strony, depcząc się nawzajem. Czarny rękaw zakołysał się jak słup dymu za podmuchem wiatru, górny jego koniec nagiął się gwałtownie ku ziemi, chwycił jakiegoś opóźnionego w ucieczce bolota, porwał w górę i prostując się, wessał do wnętrza. Przez kilka sekund kołysał się miarowo. Znowu nagły skłon, drugi bolot poszybował w górę przyssany do końca czarnej macki i po chwili zniknął w jej wnętrzu.

Pchnięta pierwszym odruchem Ewa nacisnęła przyspiesznik i runęła w dół po pochyłości. Boloty rozłaziły się tymczasem na tyle, że znajdowały się poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Ewa wymierzyła z dziobowego miotacza, lecz nie zastopowała w porę i podrzucony na nierówności pojazd przechylił się trochę na bok. Trysnął strumień rozżarzonego gazu, minął czarne cielsko może o metr, ale to wystarczyło. „Potwór” niemile musiał odczuć bliskość ognistej smugi, bo czarna macka znieruchomiła na chwilę, a potem nagle, jak wciągnięta, zniknęła we wnętrzu ziemi. Na jej miejscu pozostał tylko piaszczysty kopiec.

Ewie, w chwili gdy strzelała do potwora, wydawało się, że to on porwał pojazd Teda, jak przed chwilą, na jej oczach, pochłonął dwa boloty. Teraz zwątpiła w realność takiej możliwości. Przecież pełzak — mimo podobieństwa kształtu

i rozmiarów — był wykonany z metalu i musiał ważyć kilkakrotnie więcej niż bolot. . . Z drugiej strony jednak — kto wie, jaką siłą dysponuje ten stwór? Może to, co wystawia z piasku dla schwywania bolota, to tylko jeden jego „palec”, i to najmniejszy?

Trapiona takimi myślami Ewa objeżdżała szerokim łukiem miejsce zniknięcia pełzaka. Jeśli ślady nie wychodzą z tego rejonu, to. . .

Nie bardzo wiedziała, co wtedy. Nie musiała jednak zbyt długo się nad tym zastanawiać: nieco dalej na północ natrafiła na wyraźny, prosty ślad gąsienic, wiodący prawie dokładnie na północny wschód, a więc oddalający się od bazy.

Ewa wahala się przez chwilę, czy nie należy zawrócić tym śladem i sprawdzić, w którym miejscu się pojawił.

Zrezygnowała jednak z tego i pognała pełną mocą silnika w kierunku, w którym oddalił się pojazd Teda.

„Dokąd on popędził? — próbowała wytłumaczyć sobie to dziwne zachowanie chłopca. — Czyżby rzeczywiście kogoś ścigał? Ten. . . potwór piaskowy nie ucieka przecież, a zagrzebuje się. Musi to być dobrze bolotom znany wróg, jeśli tak szybko reagują na jego pojawienie się. Naszych pojazdów wcale się nie obawiały, przed tamtym niebezpieczeństwem ostrzega je widocznie jakiś specjalnie wyczułony zmysł. Tylko. . . gdzie i po co popędził ten szalony chłopak? I jaki to może mieć związek z bolotami i ich żarłocznym wrogiem?”

Ewa z niepokojem spjrzała na zegarek. Od chwili wyjazdu Teda z bazy upłynęło półtorej godziny. Koleiny wiodły wciąż prosto na północny zachód. Ewa usiłowała sobie przypomnieć mapę tych okolic. Ta, którą sporządzono ostatnio, była jeszcze niezbyt dokładna.

„Tam, w tym kierunku, w odległości kilkuset kilometrów, znajduje się jakaś grupa wzniesień z dużym kraterem. . .” — zdołała sobie uprzytomnić.

Snop reflektora przepoławiał ciemność. Po obu jego stronach czaiła się czerń. Gdy Ewa przenosiła wzrok na deskę rozdzielczą, na wnętrze kabiny — czuła się o wiele lepiej. Światła kontrolne miały ciepły, kojący blask, dawały choć przez chwilę odpocząć oczom. A tam, przed pojazdem — niekończące się morze piasku. Niewielkie nawet wzgórki, podświetlone reflektorem, podkreślone atramentowym cieniem wyglądały jak straszliwe, ostre wyboje.

Przez boczne i tylne szyby Ewa nie miała odwagi patrzeć. Ciemność — rozcięta smugą światła — jak czarna galareta ocierała się niemal o pojazd i zamykała tuż za nim, jakby odcinając odwrót. Jednostajny szum gąsienic usypiał, Ewa co kilka minut zmieniała pozycję w fotelu, by nie dać się zmóc senności. Wyteęzała wzrok, patrząc wzdłuż smugi światła. Równoległe bruzdy kolein wiodły na przełaj przez wydmy i zagłębienia. Zdawało się, że nigdzie się nie kończą. Spjrzała na zegar. Już ponad godzinę jedzie, a ślady wiodą niezmiennie na północny wschód.

Reflektor zamrugał nagle i zgasł. Ciemność, jakby korzystając z tego, natychmiast przylgnęła do szyb pojazdu, oblepiła go zewsząd. Przykry dreszcz przebiegł po plecach Ewy. Zahamowała gwałtownie. „Pewnie lampa się przegrzała” — pomyślała. Sięgnęła pod fotel i wydobyła pudełko z nową lampą. Nacisnęła zawór, kopułka uniosła się. Wskoczyła na piasek i obeszyła przód pojazdu. Tu, na zewnątrz, ciemność nie wyglądała już tak groźnie. Na niebie widać było kilka jaśniejszych gwiazd. Inne ginęły w mglistych obłokach. Ewa starała się nie patrzeć na boki, choć wiedziała, że tylko pustynia rozściela się wokół niej. Szybko zmieniła lampę. Niebieskawy snop oślepił ją na chwilę, do kabiny dotarła po omacku, mając w oczach czerwone, pulsujące kręgi. Zamknęła na chwilę powieki, lecz otworzyła je natychmiast, czując w całym ciele kołysanie senności. Zacisnęła dłoń na sterze, drugą uruchomiła silnik i ruszyła.

W szum gąsienic wplótł się jakiś nowy, obcy dźwięk. To niesione wiatrem ziarna piasku sypnęły o pancierz pojazdu. Spojrzała przed siebie i rozpaczliwym ruchem zacisnęła dłoń na przesuniętej do oporu dźwigni przyspiesznika. Silny podmuch wiatru rozmiatał ślady!

„Szybciej, szybciej!” — powtarzała gorączkowo w myślach.

Niestety, to były granice możliwości pełzaka. Wiatr wzmagął się, koleiny znaczyły się coraz słabszą linią, dwoma płyciutkimi zakłębieniami.

Niespodziewanie w dali, u krańca zasięgu reflektora zamajaczyła ciemna kępa. Równocześnie pojazd przechylił się nieco do przodu, zjeżdżając łagodnie w dół. Kępy sypnęły się teraz jedna za drugą, jak wyskakujące z ciemności kosmate zwierzątka. Dojeżdżając do nich Ewa zwolniła. Były rozrzucone dość rzadko, porośnięte niską i drobną roślinnością. Grunt pomiędzy nimi był twardszy i lepiej zachowywał odciski gąsienic. Widać było, jak przejeżdżający tędy pojazd Teda zaczepiał o nierówności, zataczał łuki, ślizgał się na przemian to lewą, to prawą gąsienicą. . . Tak może zachowywać się tylko pojazd z luźno puszczonej sterem!

Teren wciąż łagodnie opadał, pojawiły się ubogie krzewy, oplecione długimi łodygami bezlistnych pnączy, wśród których pojazd Teda wygniół szeroką ścieżkę. Niektóre popodnosiły się już, zablizniając przesiekę. Ewa jechała coraz wolniej i ostrożniej, bo grunt stawał się twardy i kamienisty. Teren zaczął się podnosić, zarosła zrzędły, Ewa zrozumiała, że przebyła w poprzek jakąś dolinę, wilgotniejszą widać od reszty terenu.

Pełzak piał się teraz coraz stromiej pod górę, lawirował między odłamkami skał. Niektóre z nich nosiły ślady świeżych otarć i zarysowań — widomy znak przejścia tędy ciężkiej maszyny.

Co chwila któraś z gąsienic ślizgała się, wyrzucając spod siebie strumień piasku, żwiru i drobnych okruchów skalnych, a pojazd obracał się i zataczał. Ewa czuła, jak ramiona ujarzmiające rozedrgany ster zaczynają jej omdlewać. Zmniejszyła prędkość. Z lewej strony piętrzyły się coraz potężniejsze bloki skalne, po prawej rozpościerało się ostro opadające osypisko. W pewnej chwili Ewa pomy-

ślała, że zgubiła ślad. Zatrzymała maszynę i wysiadła. Na pochyłym zboczku odnalazła po chwili ślady otarć i kilka rozkruszonych brył. Gdy oddaliła się o kilkanaście kroków od pojazdu, jakiś odgłos dobiegł ją nagle poprzez hełm. Włączyła mikrofon i teraz usłyszała wyraźnie odgłos pracy silnika. „Jest tu, gdzieś niedaleko!” — pomyślała. Silnik wył na najwyższych obrotach. Odgłos ten wydał się Ewie jakiś nienaturalny — nie oddalał się ani przybliżał, trwał w niezmiennym natężeniu. Brzmiało to tak, jakby silnik pracował bez obciążenia, na jałowych obrotach.

„Stoczył się ze skały! — pomyślała z przerażeniem. — Zsunął się, przewrócił gaśnicami do góry!”

Dopadła swojego pełzaka i zatrzasnęła kopułkę. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że to prawie niemożliwe: dyskowaty pojazd nie mógłby przewrócić się podczas osuwania po zboczku. Chyba... chyba że spadł w przepaść.

Szarpnęła dźwignię i gwałtownie ruszyła. Pojazd skoczył do przodu, prawa gaśnica zakopała się w żwir. Ewa poczuła, jak pełzak gwałtownie zwraca dziób w prawo i zaczyna się osuwać, zrazu powoli, bokiem, potem coraz szybciej. Próbowwała jeszcze hamować, lecz dało to jedynie taki skutek, że pojazd obrócił się tyłem do kierunku osuwania.

Ewa wyrzuciła amortyzatory zderzeniowe i wtuliła się w fotel. Elastyczne uderzenie zatrzymało pełzak, kamienie bębniły jeszcze przez chwilę po pancerzu, potem ucichły. Uchyliła właz. W tej samej chwili jakiś spóźniony kamień trafił prosto w sterzący ku górze reflektor. Światło zgasło.

Przyświecając ręcznym reflektorem, wyszła z kabiny. Jazgot silnika brzmiał teraz głośniejszy. Ogarnęła światłem zbocze. Półka, z której stoczył się pojazd, widniała o kilkadziesiąt metrów wyżej. Niżej, w odległości kilkunastu kroków, widać było gładkie, równe dno kotliny. Nieco dalej po lewej stronie, między kilkoma sporymi odłamami skał, smuga reflektora trafiła na lśniącą metalicznie bryłę. Pojazd Teda tkwił w wąskim przesmyku między dwoma blokami skalnymi. Gaśnice obracały się. Wyrzyły dwie bruzdy, odrzucając piasek i kamienny gruz. Teraz bezradnie wierzgały w powietrzu.

Ewa pobiegła w tamtą stronę. Kopułka była pęknięta. Na fotelu kierowcy leżał Ted, zgięty w przód, z głową przewieszoną poniżej kolan. Ramieniem napierał na dźwignię przyspiesznika.

Ewa przez chwilę mocowała się z uszkodzonym zamkiem, wreszcie kopułka odskoczyła. Uniosła głowę leżącego. Twarz Teda była blada, oczy zamknięte. Drżącymi rękami odszukała zawór powietrzny i oświetliła skalę manometru. Świetlny punkcik stał nieruchomo na jedyńce. Odetchnęła.

Powoli wywindowała Teda z kabiny i z trudem dowlokła do swego pojazdu. Odpoczęła chwilę, zanim spróbowała podsadzić go do kabiny. Udało się. Ewa zatrzasnęła kopułkę i włączyła pompy, które wyssały powietrze z kabiny. Napełniła ją powietrzem z butli, potem rozłożyła oparcie fotela i ułożyła na nim nieprzy-

tomnego Teda. Pośpiesznie rozpięła mu skafander i zdjęła hełm. Nie poruszał się, był blady, wargi miał sinawe. Opanowała się całym wysiłkiem woli. Zwiększyła dopływ tlenu, aż sama odczuła mrowienie w końcach palców i poszarzało jej w oczach, a skronie rozpulsowały się gwałtownie. Otworzyła apteczkę. Zdjęła hełm i wcisnęła w ucho słuchawkę stetoskopu. Dotknęła sondą przegubu Teda i wsłuchiwała się przez chwilę. Tętno było słabiutkie, ledwo uchwytnie — ale było. Rzuciła się do apteczki — iniektor odnalazła natychmiast, przez chwilę szukała właściwej fiolki — jest! Nabrała kilka mililitrów przejrzystego płynu, obnażyła po łokieć rękę chłopca.

Działała jak automat. Zupełnie niespodziewanie przypomniała sobie teraz czytane kiedyś zalecenia instrukcji pierwszej pomocy. Ściągnęła z nieprzytomnego ciągle Teda skafander i obmacała dokładnie wszystkie kości. Były całe, nie znalazła również śladu potłuczeń. Więc to tylko wstrząs i głębokie omdlenie. Ułożyła go równo na fotelu i przykryła kocem. Policzki Teda zaróżowiła się, wargi nabrały żywszej barwy.

Ewa uśmiechnęła się. Ujęła w obie dłonie twarz chłopca i patrzyła z radością, jak odzyskuje przytomność. Przyglądała mu włosy, pochyliła się i lekko dotknęła ustami jego policzka. Zawstydzona tym odruchem, odwróciła się i włączyła radiostację. Przez chwilę nasłuchiwała, potem wyłączyła aparaturę.

Baza wciąż jeszcze milczała.

Ted otworzył oczy, lecz światło oślepiło go i zamknął je natychmiast z powrotem. Chciał przewrócić się na bok, ostre klucie przeszło mu plecy. Poruszył ręką, napiął mięśnie karku. Czuł ból w całym ciele. Otrzeźwiał nieco, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

— Ted. . . — usłyszał nad sobą. Poznał głos Ewy.

Otworzył powoli oczy — światło skierowane teraz w bok nie raziło go. Poznał wnętrze kabiny, wciągnął w nozdrza ostry zapach lekarstw. Obok siedziała Ewa. Trzymała go za rękę. Jej zmęczona, blada twarz pochylała się nad nim troskliwie.

— Co. . . się. . . stało? — powiedział szeptem, z wysiłkiem wydobywając każde słowo. Bolały go żebra przy każdym oddechu.

— Jak się czujesz? Co cię boli? — odpowiedziała pytaniem.

— Ciężko oddychać. Wszystko mnie boli. . . Gdzie jesteśmy?

— W pełzaku, którym wyruszyłam na pomoc. Twój pełzak tkwi unieruchomiony między skałami.

— A baza?

— O jakieś trzysta kilometrów stąd. Nie wiem zresztą, jechałam wciąż twoimi śladami. . . Niczego nie pamiętasz?

— Zaraz. . . przypomnę sobie. Boloty. Pojechałam. . . Potem. . . Potem coś mnie zaatakowało. . .



— Uniosło w górę?  
— Chyba tak! A potem? Nie, nie pamiętam.  
— Straciłeś przytomność od upadku.  
— Możliwe... Ale to nie było aż tak daleko od bazy!  
— Silnik widocznie pracował przez cały czas i pełzak pojechał dalej. A przy upadku zerwał się pewnie kabel zasilania radiostacji.  
Teraz dopiero Ted zorientował się, że leży bez skafandra, rozebrany do spodek i przykryty kocem.  
— Musiałś się okropnie namęczyć! Przecież ja ważę ponad sześćdziesiąt kilogramów!  
— Na tej planecie tylko pięćdziesiąt — sprostowała skromnie.  
Popatrzył na nią z uznaniem i ścisnął jej dłoń.  
— Dziękuję ci. Byłem okropnie nieostrożny wyruszając na tę eskapadę. To mogło się znacznie gorzej skończyć.  
Spuściła oczy, chciała cofnąć dłoń, ale przytrzymał ją mocno.  
— To się jeszcze nie skończyło — powiedziała. — Nie mamy mapy. Na bazę też nie możemy liczyć...  
— Dlaczego?  
— Musiałam wyłączyć całe zasilanie, żeby się wydostać. Atros tak dowcipnie zaprogramował Centin.  
— Ojej! — westchnął Ted. — To pachnie grubą awanturą, jeśli nie zdążymy wrócić w porę.  
— Mam nadzieję, że nie będą próbowali się z nami łączyć wcześniej niż dziś po południu.  
— Ile do świtu?  
— Dwie godziny... Nie, nawet mniej; jesteśmy na wschód od bazy. Nie miałam odwagi ruszać nocą. Zupełnie nie wiem, gdzie się znajdujemy. — Ewa mówiła słabym głosem, oczy same się jej zamykały.  
Ted uniosł się na łokciu, potem ostrożnie usiadł. Głowa Ewy opadała coraz niżej, wreszcie dziewczynka dotknęła czołem oparcia fotela. Ted powoli wstał i przewyciężając ból pleców, odchylił oparcie fotela do tyłu. Ułożył jej głowę na gąbkowej poduszce. Włosy Ewy rozsypały się dokoła twarzy. Ted poczuł nieprzepartą chęć dotknięcia tych włosów. Nie pierwszy raz przyłapywał się na tym, ale nigdy nie starczało mu odwagi... Jeszcze trzy lata temu śmiało ciągnął ją za warkocze, ale to było zupełnie co innego.  
Z bijącym sercem pochylił się nad śpiącą, wsłuchany w równy rytm jej oddechu. Poruszyła się i westchnęła, a on cofnął się gwałtownie. Potem, przerażony własną odwagą, pocałował ją w policzek.  
Długo nie mógł zasnąć — serce waliło mu mocno, skronie pulsowały. Czyżby Ewa zaaplikowała mu zbyt dużą dawkę lekarstwa?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W KTÓRYM JEST MOWA  
O UPODOBANIACH KULINARNYCH  
ISTOT POZAZIEMSKICH  
ORAZ O TYM, JAK SIĘ OTWIERA ZAMKNIĘTE DRZWI

Ranek był ponury, gęste zwały chmur zasłaniały niebo. Ted bezradnie czekał na krótką choćby chwilę roz pogodzenia, na jakąś lukę w chmurach, przez którą można by zobaczyć słońce. Było ono koniecznie potrzebne dla dokładniejszego ustalenia położenia względem bazy. Ewa oglądała tymczasem zbocze jaru, na którego dnie spoczywały oba pojazdy.

— Twój pełzak nie pójdzie — powiedziała wracając. — Musimy go tu zostawić, jest za mocno zakleszczony. Poza tym nie zdołamy w żaden sposób wygrzebać się po tym osypisku na górę. Chyba że pieszo, ale to na nic.

— Usiłuję właśnie ustalić kierunek — powiedział Ted rozglądając się po skałach otaczających wąwóz. — Popatrz, ten samotny ścięty stożek, tam, nad grania. . . Jak sądzisz, co to jest?

— Chyba krater. . . — powiedziała z wahaniem. — W tej odległości od bazy jest tylko jeden. O ile dobrze pamiętam mapę, to chyba Fermi.

— W takim razie baza powinna być bardziej na lewo, to znaczy na zachód. Do licha, żeby choć na chwilę to słońce chciało wyrzeć!

— I tak nie mamy wyboru — powiedziała Ewa. — Musimy posuwać się tą rozpadliną w jedną lub w drugą stronę.

— To już chyba lepiej tam. . . — zastanowił się Ted — w kierunku Fermiego. Wydaje mi się, że wąwóz trawersuje jego lewy stok. Może będzie jakieś odgałęzienie na zachód.

Upewniwszy się, że baza wciąż jeszcze milczy, ruszyli.

— Ale idiotycznie się wybrałem — stwierdził Ted ze skruchą. — Bez żadnego ekwipunku, bez przyrządów. . . Jak głupi.

— Zupełnie! — przyznała skwapliwie Ewa. — Tylko o miotaczu nie zapomniłeś. Możemy sobie postrzelać, ale to nam nic nie pomoże.

Dno było kamieniste, lecz pełzak dawał sobie doskonale radę, rozwijając zu-

pełnie niezłą jak na te warunki prędkość.

Ted zahamował gwałtownie. Gdyby nie chwytники foteli, poleciliby głowami w przednią szybę kabiny.

W odległości kilkudziesięciu metrów przed nimi rysował się sporych rozmiarów regularny sześcian!

Wąwóz rozszerzał się w tym miejscu w dolinę rozciągającą się u stóp stromych i niedostępnych ścian krateru. W niewielkiej odległości od szarej ściany skalnej, częściowo opleciony pnącą roślinnością, zarysowywał się regularny blok o gładkich ścianach i ostrych,

prostopadłych krawędziach. Ten ponad wszelką wątpliwość geometryczny kontur bryły był tak zaskakujący w dzikim otoczeniu, wśród poszarpanych zrębów i rozrzuconych, wielokształtnych odłamów skalnych, że oboje przez kilka sekund wpatrywali się bez ruchu w to niezwykle zjawisko.

Ręce ich spotkały się na dźwigni. Kopułka uniosła się, wyskoczyli oboje na twarde gruntu.

— Chodźmy — powiedział Ted, mimo woli ścisząc głos.

Posuwając się blisko ściany skalnej, z miotaczem w dłoni ruszył w stronę sześcianu. Ewa zrównała się z nim po chwili.

Stąpali cicho, jakby w obawie, że zbudzą ten nieprawdopodobny obiekt.

Czym był? Budynkiem? A może tylko monstrualnych rozmiarów kryształem jakiegoś minerału? Z odległości kilkunastu metrów można było już odróżnić na powierzchni gładkich ścian regularną sieć linii prostych. Każda ze ścian podzielona była na dziewięć jednakowych kwadratów — jakby zbudowana z kwadratowych bloków czy płyt, ściśle spojonych na brzegach. Nie mogło być wątpliwości. Mieli przed sobą budowlę. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, Ted skinął na Ewę, by się zbliżyła. Wyłączyli osobiste nadajniki i zetknęli hełmy skafandrów.

— Obejdę to ostrożnie dokoła, a ty uważaj. W razie, gdyby coś... — powiedział Ted cicho, wręczając Ewie miotacz, i powoli, skradającym się krokiem, zaczął obchodzić szaroniebieskawy blok.

Ewa śledziła bacznie jego kroki. Wiedziała, że od jej szybkiej orientacji może zależeć ich bezpieczeństwo.

Ted zniknął za krawędzią budynku. Po chwili napiętego oczekiwania ujrzała go wychodzącego po przeciwnej stronie. Rozłożone ręce i wzruszenie ramion mówiły: „Nic nowego!”

— Ze wszystkich stron to samo — powiedział, gdy zetknęły się ich hełmy. — Każda ściana składa się z takich samych płyt. Wejścia nie widać. Wszystko obficie porośnięte pnączami. Wygląda na to, że budowniczkowie dawno się tym nie interesowali... Może od góry jest jakiś otwór albo właz?

Rozejrzał się dokoła, szukając możliwości wdrapania się na którąś z otaczających skał, ale ściany ich były strome i niedostępne.

— Może to tylko jakiś cokół, postument. . . Fundament pod coś, co nie zostało nigdy ukończone? — podsunęła Ewa.

— Zaraz powiesz, że zamierzano tu postawić pomnik. W takim razie szkoda, że go nie postawiono. Mielibyśmy za jednym zamachem pojęcie o wyglądzie tych. . . no, tych, co byli tu przed nami. . .

— Zamiast podkpiwać, wymyśl coś bardziej przekonującego! — powiedziała Ewa. — Ta bryła sama w sobie stanowi piękną kompozycję na tle otoczenia. To nie musiało być zbudowane w celach użytkowych — może to po prostu znak, ślad pobytu na Orfie jakichś cywilizowanych istot?

— Jeślibym miał stawiać taki znak, to umieściłbym go w lepiej widocznym miejscu. . . — zaproponował Ted. — To musiało służyć jakiemuś celowi właśnie tu, w tym wąwozie.

— Ale jest przecież prawie pewne, że na Orfie nie rozwinęła się żadna cywilizacja!

— W naszym rozumieniu. . . Ale kto nam zaręczy, że nie mogą istnieć cywilizacje podwodne, podziemne, czy ja wiem zresztą, jakie jeszcze? . . . Faktem jest, że ktoś to musiał zbudować, a zatem były tu istoty rozumne. A jeśli były, to mogą być w dalszym ciągu albo też mogą się w pewnym momencie pojawić.

— Skąd?

— Choćby z Flory. . .

— Gdyby na Florze zamieszkiwały jakieś istoty, wyposażone w środki techniczne do lotów międzyplanetarnych, powinny były odebrać nasze sygnały radiowe i odpowiedzieć na nie — powiedziała Ewa.

— Niekoniecznie. Może posługują się zupełnie innym systemem łączności. . . Poczekaj, musimy się przekonać!

— Ted, co ty znowu wymyśliłeś? — zawołała Ewa, ale chłopiec odbiegł już od niej i nie usłyszał jej głosu, bo radiostacje skafandrów były nadal wyłączone.

Ewa pobiegła więc za nim i chwyciła go za łokieć w chwili, gdy zamierzył się do rzutu kamieniem w stronę sześcianu.

— Trzeba do nich zapukać, niech otworzą, jeśli są w środku! — wykrzyknął ze złością, uwalniając łokieć.

— Ale nie tak! — Ewa spojrzała mu w oczy prosząco. — Nie denerwuj się, przypomnij sobie instrukcję.

— Do licha tam z instrukcją! — mruknął, ale odrzucił kamień. — Dzwonka nie zainstalowali, więc jak mam pukać? Zgiętym palcem w kamień?

— Wiesz. . . — powiedziała z namysłem — wydało mi się, że ten gest, gest rzucania kamieniem, ma w sobie jakąś brzydką symbolikę. . .

— Dla nas. A dla nich może znaczyć zupełnie coś innego. Myślisz, że jesteśmy obserwowani? W takim razie nie musimy pukać. Jeśli zechcą, to nas wpuszczą.

Ale jeśli ich tam w ogóle nie ma, to długo poczekamy.

— Lepiej obejrzyjmy dokładnie ten sześcian — poradziła Ewa.

Ted zabrał jej z rąk miotacz i podeszli pod samą ścianę. Bryła miała krawędzie długości około trzech metrów, może trochę ponad. Każda ze ścian podzielona była na kwadraty — trzy rzędy, po trzy w każdym. Tworzywo, z którego była wykonana, przypominało nieco beton o bardzo drobnej strukturze. Płyty były spojone nieznanym szklistym spoiwem o gładkiej powierzchni i niezwyklej twardości. Ted wyciągnął dłoń i dotknął ściany.

— Stań mi na ramionach i spójrz, co tam jest na górze — powiedział, kucając u podstawy sześcianu.

— Nic. Takie same płyty ściśle ze sobą połączone — powiedziała Ewa zeskakując z jego barków na ziemię.

— Przedziwne te istoty. Chyba przez czwarty wymiar dostawały się do tego domku. . . A może naprawdę to tylko lita bryła, a my niepotrzebnie tracimy czas? Wiesz, sfotografujemy to i jedźmy dalej. Niech się Har martwi. On jest historykiem i archeologiem, to dla niego w sam raz zagadka. Myśmy swoje zrobili — odkryliśmy tajemniczą budowlę. . .

— Chwileczkę. . . — mruknęła Ewa, pilnie coś oglądając wśród pnączy porastających gęsto dolne płyty. Ted nie usłyszał, dogoniła go wracającego w kierunku pełzaka.

— Zauważyłam coś interesującego — powiedziała, stykając hełm z jego hełmem.

— Poczekaj, włączymy radio, bo w ten sposób trudno rozmawiać. Stale się ganiamy i trykamy głowami. — Ted sięgnął do wyłącznika z boku hełmu, ale Ewa powstrzymała jego dłoń.

— Nie — powiedziała — jeszcze nie włączaj!

Spojrzał na nią z zaciekawieniem i zawrócił bez słowa w kierunku sześcianu. Ewa pokazała mu środkową płytę w dolnym rzędzie. Spojenia tej płyty wyglądały rzeczywiście nieco inaczej: zdawały się nie łączyć ściśle przylegających krawędzi. . . Ted dotknął jej lekko dłonią. Płyta niespodziewanie drgnęła i cofnęła się w głąb, zrywając porastające ją todygi, potem osunęła się powoli w dół, odsłaniając kwadratowy otwór. Ewa i Ted odskoczyli gwałtownie w bok. Nic się jednak nie stało, otwór pozostawał wciąż odsłonięty, jakby zapraszając do środka. Ewa zbliżyła się do niego, lecz Ted chwycił ją za ramię. Wydobył z kieszeni radiometr.

— No, na szczęście tylko ultrafiolet. . . — mruknął, chowając przyrząd.

Wyprzedził Ewę i zdecydowanie wsunął głowę do wnętrza. Po chwili cały zniknął w otworze, Ewa, schylając się w niskich „drzwiach”, weszła za nim.

Wewnątrz panował mrok, słabo rozświetlony niebieskawą fluorescencją ścian. Znajdowali się w sześciennym, zupełnie pustym pomieszczeniu. Staęli na środku, rozglądając się. W tej samej chwili kwadrat otworu, którym się tu dostali, powoli zaczęła przesłaniać na powrót unosząca się od dołu płyta. Ted rzucił się

w stronę wyjścia i uczepliwszy się dłońmi krawędzi płyty, próbował własnym ciężarem powstrzymać jej ruch. Nie udało mu się to jednak. W ostatniej chwili musiał puścić płytę w obawie przed zmiążdżeniem palców.

— To pułapka! — krzyknął, przypadając do Ewy.

W prawą rękę chwycił miotacz, gotów skierować go przeciw niewidzialnemu wrogowi, lewą objął dziewczynę w pól i przyciągnął do siebie. Równocześnie z całkowitym zasunięciem się płyty podłoga drgnęła, ściany klatki pobiegły w górę i nagle niespodziewany potok światła objął ich ze wszystkich stron. Kwadrat platformy, na której stali, zrównał się z podłogą jakiegoś niżej położonego pomieszczenia, stanowiąc teraz jakby ciemniejszy fragment posadzki. Znajdowali się na przecięciu dwóch krzyżujących się prostopadle korytarzy. Ted szybko zlustrował wszystkie cztery odnogi. Były puste. Na jasnym tle bocznych ścian rysowały się wyraźnie długie szeregi ciemnych kwadratów. Niski sufit świecił oślepiającą bielą.

Niezdecydowanie postąpili kilka kroków w stronę jednej z odnóg korytarza. Włączyli zewnętrzne mikrofony i przez chwilę nasłuchiwali. Żaden dźwięk, żaden ruch nie mącił kamiennego spokoju tego miejsca.

— Popatrz! — powiedział Ted cicho. — Tu panuje inne ciśnienie niż na zewnątrz!

— Rzeczywiście! — Ewa popatrzyła na swój atmosferometr. — I skład powietrza też zupełnie odmienny. . .

Kulista główka przyrządu jarzyła się pomarańczowo. W trującej atmosferze Orfy świeciła jaskrawą czerwienią.

— Czy jesteśmy. . . uwięzieni? — spytała Ewa. — Jakos nie widać gospodarzy. . .

— Spróbujmy się przekonać — rzucił Ted, tknięty nagłym pomysłem. — Chodź!

Pociągnął Ewę w stronę miejsca, na którym wylądowali zniesieni niezwykle „windą”. W chwili gdy stanęli na ciemnym kwadracie, uniósł się on najpierw wolno, potem coraz szybciej i po chwili znajdowali się znowu we wnętrzu sześcianu, nad powierzchnią ziemi.

— Popatrz! — zawołała Ewa radośnie, wskazując na powoli odsłaniający się otwór wejścia.

Wybiegli na zewnątrz. Płyta zasunęła się bezszelestnie na dawne miejsce i tylko pozrywane łądygi pnączy świadczyły, iż przed chwilą się poruszyła.

— To chyba znaczy, że oni nie wiedzą jeszcze o naszych odwiedzinach, a ten dźwиг działa automatycznie! — powiedział Ted, chwytając z trudem oddech po szaleńczym biegu w kierunku pełzaka.

— Lub też chcą nas w ten sposób przekonać o swych przyjaznych zamiarach — dodała Ewa, która zawsze wołała być optymistką.

— Można i tak... — powiedział Ted w zamyśleniu. — Tylko że stąd wcale nie wynika, co należy teraz przedsięwziąć. Jeśli to były zaprosiny, to niegrzecznie byłoby teraz odjechać. Jeśli natomiast nie wiedzą o nas jeszcze, to może lepiej im się nie narzucać... Radiostacja bazy wciąż wyłączona, a nasza za słaba, by zawiadomić Atrosa o odkryciu... Właściwie mamy dużo czasu, zdążymy jeszcze wrócić do bazy.

Ewa domyśliła się, że Ted ma ogromną ochotę ponownie zjechać do podziemi. Ona również nie miałaby nic przeciwko temu. Wiedziała, że decyzja do niej należy — po niefortunnej wyprawie na boloty Ted nie śmie narzucać jej swego zdania. Zdrowy rozsądek podszeptował, by jak najprędzej dotrzeć do bazy... Czymże jest jednak zdrowy rozsądek wobec perspektywy pierwszego w dziejach astronautyki kontaktu z istotami z innego świata?!

— Chodźmy! — zadecydowała nagle.

Podniósł na nią oczy, nie rozumiejąc jeszcze.

— Chodźmy... — powtórzyła ciszej. — Tam, na dół. Ostatecznie po to tu jesteśmy. Mamy podstawy do przypuszczeń, że oni są przynajmniej tak samo mądrzy, jak my. Chyba się dogadamy. Inteligentna istota nie atakuje drugiej takiej samej lub... podobnej bez ostrzeżenia i powodu... A zresztą, gdy się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć i „b”.

— Bardzo dobre przysłowie!

Ted uradowany uściskał Ewę tak mocno, że aż się oboje zaczerwienili.

— Jesteś wspaniałą dziewczyną! — powiedział z entuzjazmem, a potem, jakby dla równowagi dodał: — Będzie z ciebie pierwszorzędny badacz kosmosu, mimo skłonności do poezji tych czternastowiecznych romantyków...

— Zdaje się, że trochę pokręciłeś chronologię!

— Drobiazg! — rzucił beztrąsko, wyłażąc z pojazdu.

— Jakież tam głupie pięćset lat! — roześmiała się. — Sława pierwszych odkrywców cywilizacji pozaziemskiej przetrwa znacznie dłużej!

— Jeśli uprzednio cywilizacja pozaziemska nie upiecze ich na rożnie! — odciął się Ted.

— Głupiś! — powiedziała Ewa z powagą. — Oni na pewno nie lubią pieczeni. Wolą krwawy befsztyk. Z ćwikłą.

— Tylko nie z ćwikłą, wypraszam sobie! Nie mogę patrzeć na buraki! — zaoponował Ted.

Ten makabrycznie żartobliwy nastrój minął im, jak ręką odjął, gdy stanęli przed wejściem do sześcianu. Spowaźniali natychmiast, twarze im przybladły.

— Może jednak... zostaw miotacz — powiedziała Ewa niepewnie. — Nie wiele nam pomoże, a wygląda podejrzanie. Mogą zapytać, do czego służy...

Ted zawahał się, lecz zawrócił i odłożył broń na fotel w kabinie pełzaka.

— No, nie mogę powiedzieć, że im nie okazujemy pełnego zaufania! — westchnął, wróciwszy. — Wszystko zgodnie z instrukcją: spokój, delikatność, zaufa-

nie... jeszcze tylko „zachować się uprzejmie i z godnością”, a będziemy zasługiwać na najwyższą ocenę z praktycznego stosowania sławnej „Instrukcji na wypadek Kontakt z Obcą Cywilizacją”... A szczerze mówiąc, to czysta bzdura... Ciekawe, kto to układał? Na pewno w życiu nie był dalej niż na Księżycu. No, może najwyżej na Marsie... W każdym razie licho wie, co u nich jest uprzejmością... Może na przykład... kiwanie siedemnastą macką, licząc od lewej. Skąd ja im wezmę macki, szypułki i te wszystkie inne kalafiorki, w które wystroiła ich fantazja pisarzy kilku ubiegłych wieków?

Machnął ręką i z rezygnacją pchnął płytę.

— Dobrze się składa — powiedziała Ewa już w windzie — że oni przybyli tu najpewniej, podobnie jak my, z innej planety. To nam bardzo ułatwi porozumienie. Mamy podobne cele...

— Zaraz, a skąd to przekonanie, że oni są także „nietutejsi”?

— Inny skład atmosfery na dole...

— Prawda. W takim razie nie powinniśmy się ich obawiać. Cywilizacja, która wyrusza do gwiazd, powinna mieć już za sobą epokę wojen i okrucieństwa... Jeśli w ogóle miała w swej historii ten haniebny rozdział...

— Myślę, że trochę zbyt matematycznie do tego podchodzisz — uśmiechnęła się Ewa. — To wcale nie musi być takie proste. Jeśli istnieje niewyobrażalna ilość możliwych gatunków istot inteligentnych, to muszą istnieć również liczne, a zupełnie odmienne drogi, jakimi osiągają one swój wysoki poziom rozwoju. Ogólnie jednak biorąc, zgadzam się z tobą, iż nie powinniśmy się ich obawiać. Na pewno cechuje ich niewątpliwie wspólna wszystkim mądrym istotom zaleta — czy może wada? — a mianowicie ciekawość.

— Dlatego też może nie od razu nas zjedzą! — dorzucił Ted, już zawczasu uchylając się przed szturchańcem.

Szli powoli wzdłuż ścian jednego z podziemnych korytarzy. Ciemne kwadraty musiały być drzwiami do bocznych pomieszczeń, lecz nie otworzyły się, gdy przechodzili. W drugiej z kolei odnodze korytarza napotkali kilka odsłoniętych włazów. Prowadziły do niewielkich prostopadłościennych pomieszczeń. Gdy Ted przekroczył próg jednego z nich, zapłonął jasno sufit. Wnętrze było puste. Wszystkie pozostałe otwarte pomieszczenia także ziały pustką. Pozamykanych drzwi nie próbowali otwierać.

Trzy odnogi korytarzy kończyły się ślepo. Czwartą, znacznie dłuższą od pozostałych, zamykała ściana z ciemnym kwadratem drzwi. Te drzwi były większe od wszystkich pozostałych, miały co najmniej dwa metry wysokości.

— Sezamie, otwórz się! — powiedziała Ewa, stając przed nimi.

— Co takiego? — zdumiał się Ted.

— To magiczne zaklęcie z bajek arabskich. W „Napędach rakietowych” o tym nie piszą.



— No wiesz!... — zdenerwował się Ted. — Tu są poważne sprawy, a tobie bajki w głowie, jakimiś laleczkami się bawisz i w ogóle...

— Ty znów taki dorosły! — fuknęła. — Pewnie urodziłeś się od razu z „Teorią Względności” pod pachą.

— Ja to się przynajmniej urodziłem jak trzeba. A ciebie z lodówki wyjęli. Mrozonka!

— Poczekaj, jak zdejmiesz ten hełm, to dostaniesz — pogroziła mu pięścią.  
— Otwieraj. No, co? Boisz się?

Razem nacisnęli drzwi. Ustąpiły łagodnie i osunęły się w dół. Za nimi ciągnęło się jakby przedłużenie korytarza. Przeszli jeszcze kilkadziesiąt kroków i znaleźli się przed następnymi drzwiami. Nie ustąpiły. Spojrzeli na siebie pytająco, potem odwrócili się i spostrzegli, że drzwi, którymi tu weszli, zamykają się.

— A to co? — zaniepokoiła się Ewa. — Znów nas złapali do klatki?

— Nie, to po prostu automatyczna śluza! — wykrzyknął Ted wskazując drugie drzwi.

Otworzyły się dopiero teraz. Prowadziły do wykutego w skale krętego, lecz szerokiego korytarzyka. Gdy minęli drugi zakręt, oczy ich uderzył blask dziennego światła.

Stanęli u wylotu pieczary i nawet trzeźwy zawsze Ted nie potrafił się oprzeć pełnemu zachwytu osłupieniu: przed nimi rozciągał się głęboki skalny kocioł, otoczony sterczącymi stromo ścianami skał.

— Wnętrze krateru... — wyszeptła Ewa.

Ted skinął głową.

— Tak, to musi być Fermi od środka. Z zewnątrz zupełnie niedostępny, chyba że z powietrza... Ależ tak! Oni na pewno tu lądowali. Tam w dole musi być gdzieś ich kosmodrom.

Biaława wstęga drogi jezdnej spadała w licznych serpentynach po stromym zboczu. Wyżej, nad otworem, którym tu przybyli, połyskiwały ostre szczyty obrzeża krateru. Wiodły ku nim drobne, wykute w skale stopnie, a na bardziej stromych odcinkach widać było klamry i haki.

Dno krateru leżało jeszcze w cieniu.

— Tu nie widać żadnych pojazdów, żadnych śladów ich bytności. Czyżby naprawdę nie było ich już na planecie? — zastanawiała się głośno Ewa.

— Może nieobecność ich jest tylko chwilowa... — powiedział Ted. — Najlepiej zejdźmy niżej i obejrzyjmy dno kotła.

Pobiegli wijącą się drogą w dół. Z góry wydawało się, że to znacznie bliżej. Po dwudziestu dopiero minutach dotarli do skraju ziejącej na samym dole ciemnej wyrwy. Jasna smuga szosy spływała jakby poza brzeg urwiska. Ostrożnie, trzymając się za ręce podeszli nad sam brzeg i spojrzeli w dół. Ted cofnął się gwałtownie, oczy Ewy rozszerzyły się z przerażenia.

Zwisająca w dół wstęga szosy kończyła się o kilka metrów poniżej krawędzi, tworząc jakby nadtopione potwornym żarem sople. Dno i ściany leja wyglądały jak miejsce straszliwego kataklizmu: skała, rozdarta potężną jakąś siłą, rozerwana na setki wielkich i tysiące małych brył, wśród których tu i ówdzie sterczały stopione i pogieęte kikuty konstrukcji, wsporników, płyt i rur. Na samym dnie widoczna była tylko jedna bezkształtna masa stopionej na żużel materii.

Ted wyszarpnął z kieszeni wskaźnik promieniowania. Z dna leja promieniowało niezbyt silnie, lecz zupełnie wyraźnie.

— Chyba... oni już tu nie wrócą — powiedziała Ewa cicho.

— Jeśli to był wybuch termojądrowy, to musiał nastąpić bardzo dawno. Sądząc z rozmiarów zniszczenia, bezpośrednio po eksplozji promieniowanie było potężne.

Nie mieli wątpliwości, że to, co oglądają, jest miejscem straszliwej klęski istot, które opanowały w tak wspaniałym stopniu technikę lotów kosmicznych, automatykę i z pewnością wiele innych dziedzin pozwalających zwyciężać czas i przestrzeń. Ted i Ewa milczeli, nie patrzyli na siebie, jakby zawstydzeni w obliczu tak wstrząsającej tragedii. Mimo iż nie widzieli dotąd tych istot, nie domyślali się nawet ich wyglądu, nie znali ich celów i nie wiedzieli, skąd tu przybyły — odczuwali współczucie, żal, smutek. Jakkolwiek bowiem oni wyglądali — przybyli tu przecież, pędzeni taką samą chyba, jak ludzka, ciekawością otaczającego ich świata.

— Myślisz... że wszyscy zginęli? — zapytał wreszcie Ted.

— Pewnie tak. A gdyby nawet część ich została w tej bazie, gdzie nie sięgnęła eksplozja, to przecież sam stwierdziłeś, że katastrofa miała miejsce bardzo dawno... Nie wiadomo, co prawda, jak długie jest ich życie, ale...

— Tak. Ponadto wszystko wskazuje na to, że odlatywali; może na krótko, może mieli powrócić, może...

— I nie zostawili nawet żadnych pojazdów, żadnych środków transportu. Wszystko musiało być tu, na dole, gdy stało się to nieszczęście. Może właśnie ładowali rakietę...

— Zaraz. Po co te domysły. Chodźmy na górę, może w bazie za tymi pozamykanymi drzwiami czeka na nas rozwiązanie zagadki.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### O DWÓCH CZARNYCH BRODACH, ZBYT NISKICH DRZWIACH I O PRZYGOTOWANIACH DO WYPRAWY NA FLORE

Zajrzeli już do kilku pomieszczeń, wyglądających na laboratoria naukowe. W trzecim z kolei „pokoiku” wszystkie ściany naszpikowane były jakby cienkimi szpilkami. Ewa ujęła koniec jednej z nich — „szpilka” okazała się cieniutkim pręcikiem, tkwiącym w ścianie na głębokość kilkunastu centymetrów. Po wyjęciu go pozostał małeńki otworek. Na środku tego samego pomieszczenia stał jakiś duży przyrząd przypominający pulpit połączony w jedną całość z ogromnym fotelem. W pulpicie obok kilku wystających szczegółów o niewiadomym przeznaczeniu widniał również rząd podobnych otworków, w które bez trudu można było wsunąć krystaliczne pręciki. Ewa po chwili wahania wsunęła jeden z nich w pierwszy z brzegu otwór w pulpicie. Rozległ się dźwięk doskonale słyszalny nawet przez hełmy skafandrów. Wysokie, świdrujące tony ułożone były w serie urywanych to znów przeciągłych dźwięków. Balansując na granicy słyszalności ludzkiego ucha, cichły czasem zupełnie, uciekając w zakres ultradźwięków. Po chwili słuchania można było zauważyć jakąś prawidłowość, uporządkowanie w ich następowaniu — jakby pewną regułę kompozycji, której podlegają.

— Czy to ich mowa? — spytał Ted, gdy dźwięki ucichły.

— Nie wiem. — Ewa wyjęła z otworu pręt i włożyła inny.

Nastąpiła istna ulewa tonów, tak bardzo odmiennych od poprzednich, że trudno byłoby nawet je porównywać.

— Może to zapisy jakichś danych pomiarowych. . . To mi bardzo przypomina sygnały telemetryczne z satelitarnych stacji automatycznych — zastanawiał się Ted.

— Czy nie przychodzi ci do głowy, że to może być ich muzyka?

— Muzyka? — Ted był wyraźnie zaskoczony. — Czy sądzisz, że nie mieli nic lepszego do roboty, jak słuchać muzyki?

— Skąd wiesz, jaką rolę mogła ona odgrywać w ich życiu?

— Na takim poziomie rozwoju. . .

— Och, Ted, jak wielu rzeczy nie rozumiesz zupełnie! — obruszyła się Ewa.

— A poza tym chwilami robisz wrażenie, jakbyś zbyt dokładnie znał te istoty. . .

Albo może porównujesz je zbyt dosłownie do ludzi. . . Ale porównanie takie jest zupełnie błędne. . . Zapominasz, że ci wszyscy ludzie, których znamy — nasi rodzice czy pozostali uczestnicy wyprawy — są wyrwani ze swego normalnego środowiska, jakim jest cała społeczność ludzka!

— Tamci też byli w podobnych warunkach, dlatego takie właśnie porównanie jest najstuszniesze! — upierał się Ted.

— Nie wiem, może masz rację, ale według mnie wszystko zależy od poziomu techniki. . . Tylko że w zupełnie inny sposób, niż sobie to wyobrażasz. Technika nie powinna niszczyć innych wartości — powinna dać ludziom więcej czasu na zajmowanie się sztuką, literaturą. . . Jeśli więc oni, ci nie znani nam przybysze, mogli sobie pozwolić na odpoczynek przy muzyce, to na pewno z tego korzystali. Myślę, że wiele z naszych współtowarzyszy też skorzystałoby z takiej przyjemności, gdyby nie napięte do ostatnich granic plany naukowe ekspedycji.

— Spróbuj włożyć jeszcze jeden pręt. — Ted nie mógł chwilowo znaleźć jakiegoś kontrargumentu.

Dźwięk, który teraz uderzył ich uszy, był zupełnie odmiennego rodzaju: zamiast spodziewanych czystych tonów rozległy się chrapliwe i ostre. Znieruchomieli oboje, potem spojrzenia ich spotkały się na chwilę. W dźwiękach, urywanych i szorstkich, można było rozpoznać coś w nieokreślony sposób bliskiego, choć treść pozostawała niezrozumiała.

— To musiało wyjść z ust. . . człowieka lub istoty o niezmiernie podobnej budowie narządów mowy! — powiedziała wreszcie Ewa stłumionym szeptem.

Ted skinął głową. Jemu także przyszło to od razu na myśl. Zastanawiał się jedynie, do którego z ziemskich języków podobna jest ta mowa przechowywana w fonotece nieznanymi istotami.

— Chodźmy! — powiedział wreszcie, gdy głos zamilkł. — W ten sposób nie zdążymy nawet pobieżnie przejrzeć reszty pomieszczeń. Sami i tak nic nie zwojujemy. Niech się tym zajmą lingwiści.

Do kilku dalszych pomieszczeń ledwie zajrzeli — były zastawione aparaturą, nad której działaniem nie było sensu teraz się zastanawiać, tak była odmienna od wszystkiego, co kiedykolwiek widzieli. Szukali w pierwszym rzędzie czegoś, co uważali za najistotniejsze — śladów twórców tego wszystkiego.

W następnym niewielkim pokoiku znaleźli jedynie długie, prostopadłościenne pudło ustawione w kącie pod ścianą. Ewa przeszła do dalszych pomieszczeń, lecz Ted nie oparł się ciekawości i zaczął majstrować przy pokrywie skrzyni. Nie dawała się początkowo uchylić. Po chwili dopiero spostrzegł na jej tylnej części proste urządzenie stanowiące zamek. Bez trudu odgadł jego działanie i uniósł pokrywę. Pod nią leżała jakaś miękka wyściółka — rodzaj gąbczastego materaca.

Ted uchylił róg tego przykrycia i natychmiast odskoczył ze stłumionym okrzykiem.

Jego krzyk zabrzmiał widocznie przerażająco w słuchawkach Ewy, bo przy-

biegła z rozszerzonymi oczami i dopadłszy chłopca potrząsnęła go silnie za ramiona.

— Co?! Co to było?

Ted stał sztywno, z wyciągniętą ręką, o kilka kroków od skrzyni. Patrzył wciąż w jej stronę, nie mogąc wyrzucić ani słowa z zaciśniętego gardła.

— Tamm... ktoś jest! — wykrztusił wreszcie.

Ewa przymknęła oczy. W jej pamięci odżyły wszystkie wyobrażenia o istotach z innych planet, istotach niepodobnych do czegokolwiek w świecie.

Uodporniwszy się w ten sposób na wszelkie możliwe niespodzianki i zaskoczenia, podeszła szybko do skrzyni.

Nie pomogły najfantastyczniejsze wyobrażenia. Ewa wydała coś w rodzaju westchnienia czy jęku i cofnęła się w stronę Teda.

W skrzyni — wtopiony w bryłę przejrzystego szkliwa — leżał człowiek.

— Czy... on żyje? — zapytała po dłuższym milczeniu Ewa, pochylając się nad skrzynią.

Ted wzruszył niepewnie ramionami.

— Wygląda jak model anatomiczny, jak dokładna kopia... .

— Kopia kogo?

— Człowieka lub istoty człekopodobnej!

— Czyżby... tu byli ludzie? Absurd!

— Kto tam wie... .

Ted raz jeszcze spojrzął na leżącego. Był to smukły, pięknie zbudowany mężczyzna o ciemnooliwkowej skórze i długich czarnych włosach. Leżał na wznak, z rękami równo wyciągniętymi wzdłuż ciała, powieki miał opuszczone. Czarna, łopatkowato przystrzyżona broda sterczała uniesiona lekko ku górze.

— Tamten głos — powiedziała Ewa — i ten tu... . Jeśli to nie była wyprawa z Ziemi, to oznacza, że... .

— Nic nie oznacza! — uciął Ted. — Nie sugerujmy się.

— Może są i inni, w innych pomieszczeniach? Chodźmy, zobaczmy... .

Poszli dalej korytarzem. Nagle Ewa, zaniepokojona jakimś odgłosem, odwróciła głowę. Znieruchomiała, zacisnąwszy palce na przegubie Teda. Spojrzął w tym samym kierunku.

Platforma windy na skrzyżowaniu korytarzy unosiła się powoli w górę.

— Ktoś otworzył włącz! — szepnęła Ewa blednąc.

Cofnęli się pod ścianę. Ted pchnął pierwsze z brzegu drzwi. Ukryli się w ich wnęce.

— Wracają... . Jednak są tu! — szepnął Ted. Wychylając głowy, obserwowali korytarz.

— Nie! — zdecydował nagle Ted. — Nie będziemy się kryć! Nie boimy się ich przecież!

Odważnie wystąpił na środek korytarza. Platforma opadała powoli w dół. W pierwszej chwili dostrzegli trzy pary nóg, a gdy platforma zrównała się z poziomem podłogi — trzy postacie w skafandrach.

Ted poczuł lekki zawrót głowy. Więc stało się! Oto początek nowej epoki! Tylko... co dalej? Co robić? Mówić? Dawać znaki?

Jedna z trzech przybyłych istot wysunęła się naprzód. Ted bezradnie opuścił ręce, zrobił krok w jej stronę...

— Do licha! Przecież to nasi uciekinierzy! — w słuchawkach Teda i Ewy zadźwięczał głos... Hara Adlera.

— Niech ci się nie wydaje, że jesteś genialnym odkrywcą! — grzmiał Igen swym głębokim basem. — Jesteś tylko niezdyscyplinowanym i nieodpowiedzialnym smarkaczem! Masz szczęście, że nie urodziłeś się o dwieście lat wcześniej, wtedy bym ci skórę sprął!...

Ted stał z opuszczoną głową i nie śmiał powiedzieć ani słowa w swej obronie, bo ojciec miał, niestety, rację.

— Bez twojej wariackiej wyprawy też odkrylibyśmy wkrótce te podziemia. A tak... przerwaliśmy wszystkie prace, wywlekliśmy batyskaf z oceanu... — ciągnął Igen coraz ciszej.

Widać było po jego rozbieganych oczach, że pozbywszy się niepokoju o dzieci, najchętniej zabrałby się do obejrzenia Bazy. Toteż z wyraźną ulgą przyjął słowa Hara, który też rozglądał się coraz niecierpliwiej dokoła:

— Daj spokój, Igen. Przecież jakby nie było Ted i Ewa dokonali epokowego odkrycia! Skoro już tu jesteśmy, obejrzymy sobie „conieco”.

Fonotekę i postać w skrzyni Ted pokazał przybyszom na samym wstępie, licząc na to, że ich zaabsorbują i w ten sposób uniknie dalszych wymówek. Nie pomylił się w swych rachubach. Mężczyzna leżący w skrzyni wywarł na innych członkach ekipy równie piorunujące wrażenie, jak na Ewie i Tedzie.

Rozbiegli się po Starej Bazie.

Har zaglądał do wszystkich pomieszczeń po kolei, wreszcie, wychylając głowę z jakichś drzwi na korytarz, zawołał wszystkich do siebie. Na środku „pokoju” stał na niskim postumencie ogromny blok szkliwa, podobny do dużego akwarium. W jego wnętrzu jarzyło się mnóstwo drobnych, różnobarwnych iskierek. Gdy wszyscy otoczyli kręgiem ten niezwykle przedmiot, Har spytał:

— Jak wam się wydaje, co to może być? — Z miny jego można było wyczytać, że sam już odgadł.

— Plastikowa mapa nieba! Wygląda ono jak na stereoekranie w rakiecie — wykrzyknął po chwili zastanowienia Max.

— Aha! — zgodził się Har. — A ta linia, popatrzcie?!

Dwa spośród świetlnych punkcików wyobrażających gwiazdy w przestrzeni połączone były cienką kreseczką.

— Przede wszystkim, co to za gwiazdy? — zastanawiał się głośno Ted.

— Popatrzcie z tej strony, wzdłuż linii — wskazał Har.

— Ależ to... nasze Słońce i Lalande 21185! — zawołał Igen.

— Oczywiście! Widać tu jak na dłoni wszystkie najbliższe gwiazdy — podniecony Har wskazywał kolejno palcem — Syriusz, Proxima, układ Tolimaka, układ Procjona... Nawet o maleńkiej gwiazdzie van Maanena nie zapomniano!

— A więc ta linia to trasa lotu! — powiedział Max.

— Tak, tylko nie wiadomo, w którą stronę: z Ziemi tu czy odwrotnie — zauważył Igen.

— Ludzki głos, ten martwy czy też uśpiony człowiek, no i ta mapa zdają się wskazywać jednoznacznie... — próbował podsumować Ted.

— Ktoś śmiał nas wyprzedzić! — huknął Max i roześmiał się.

— Albo: człekokształtne istoty z tego układu wybierały się stąd w kierunku Słońca — poddała Ewa.

— ... i statek eksplodował im na wyrzutni! — dodał Ted.

— Zostawili tylko dozorcę, który widząc ich zagładę, z rozpaczy zmarł, a potem zalał się w bloku szkliva — dokończył Har. — W ten sposób, moi kochani, powstają opowiadania fantastyczne. Lepiej nie wybiegajmy poza fakty.

— Ten człowiek jest faktem. Co o nim powiesz? — rzucił Igen zaczepnie.

— Ja? To wy powinniście mi powiedzieć. Ja jestem historykiem i informacjonistą. To, co wymyślicie, mogę zanotować w kronice naukowej naszej wyprawy. Słucham więc! — bronił się Har.

— Nie kpij. Powiedz, mogli tu być przed nami ludzie?

— Jeśli istniała Atlantyda... — zaczął Har.

— Ach, do licha, bądźże poważny! — przerwał mu Igen. — Daj spokój mitom.

— Pozostaje zatem jedna możliwość: że w ciągu paru lat — po starcie naszego „Cyklopa” zbudowano statek rozwijający szybkość podświetlną i wyprzedzono nas.

— Gadasz jak mózg elektronowy!

— Tak logicznie? — ucieszył się Har.

— Nie. Tak wykretnie — powiedział Igen. — To nie są wytwory ziemskiej cywilizacji, wszystko to, co tu zastaliśmy. W postępie technicznym obowiązuje jakaś ciągłość i nigdy nie zmienia się wszystko naraz, i to na przestrzeni kilku zaledwie lat.

— Wobec tego — odparł Har — nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyjąć, że były tu przed nami człekokształtne i człekopodobne istoty z innej planety!

Igen westchnął ciężko i spojrział z rozdrażnieniem na Hara, jakby to on, historyk, winien był, że sprawa się gmatwa.

— Pytia delficka — powiedział — z dyplomem doktora nauk historycznych. Mógłbyś wymyślić coś rozsądniejszego. . .

Mówiąc to zwrócił się ku wyjściu. Nie zdążywszy w porę schylić się w niskich drzwiach, uderzył się w głowę.

— Heureka! — zawołał, zawracając ku pozostałym. — To nie mogły być żadne istoty człekopodobne! Po co miałyby sobie utrudniać życie robiąc tak niskie drzwi?!

— Genialne! — roześmiał się Har. — Stuknięcie w głowę, choć metoda to przestarzała, do dziś pomaga w wyciąganiu rozsądnych wniosków. Spróbuj raz jeszcze stuknąć głową w ścianę. Może wyjaśnisz wówczas, co tu robi ten z brodą?

— Ten? — odciął się Igen, wskazując brodę Adlera. — Najwyraźniej kpi sobie z poważnych zagadnień naukowych!

— Nie z tą brodą! — sprostował Har.

— Tamten w skrzyni? On kpi generalnie z nas wszystkich. . . — Max w zamysleniu próbował podrapać się za uchem poprzez hełm.

Do bazy powrócili „Perseuszem”, jedną z małych raket transportowych. Okazało się bowiem, że przy jej to pomocy Max wypenetrował miejsce, w którym „uciekiniery” pozostawili drugi pełzak.

Zaczęło się od tego, że grupa badająca przyczynę zamilknięcia stacji automatycznych, posuwając się wszystkimi pojazdami w tyralierze za linią sunących naprzód samopasów, dotarła do nich i stwierdziła brak trzeciego i czwartego automatu. W miejscu gdzie powinny one były się znajdować w chwili zamilknięcia ich nadajników, nie stwierdzono żadnych podejrzanych śladów. . . Automaty zniknęły, jakby wyparowały nagle, nie pozostawiając po sobie absolutnie nic.

Pozostałe cztery „samopasy” szły sprawnie i bez przeszkód, a po osiągnięciu wyznaczonej uprzednio odległości rozpoczęły powrót. Nieznana siła nie objawiła się. . .

— Pożeraczowi bolotów, który grasuje na zachód od bazy, nasze automaty musiały poważnie zaszkodzić, jeśli po ich połknięciu nie miał apetytu na dalsze — zakonkludował Ted, gdy wraz z Ewą składali dowódcy raport o eskapadzie.

— Dowcipami mnie nie zagadasz! — pogroził mu Atros. — Wasze przypadkowe odkrycie, choć rzeczywiście pasjonujące, nie okupuje winy i nie usprawiedliwia ryzykownych poczynań. Ewa jest w znacznym stopniu usprawiedliwiona, choć powinna była zastosować się do decyzji automatu: gdyby zawiadomiła mnie, decyzja moja nie odbiegłaby jednak od tego, co Ewa uczyniła instynktownie. Ona była najbliższym miejsca wypadku. Żeby nie konieczność uzyskania pewnych informacji i związana z tym konieczność nawiązania łączności z bazą przed zapowiedzianym terminem, udałoby się wam, być może, powrócić i uruchomić zasilanie bazy. . . Stało się jednak inaczej. Milczenie bazy wywołało zupełnie zrozumia-



ły niepokój: byliśmy przecież wszyscy pod wrażeniem zniknięcia stacji automatycznych. Dlatego też uderzyliśmy na alarm. Straciliśmy przez was niepotrzebnie sporo cennego czasu. Chcielibyśmy teraz przy waszej pomocy czas ten w jakiś sposób odrobić! Z Tedem porozmawiam jeszcze przy okazji.

— Wpadliśmy... — powiedział ze smutkiem Ted, kiedy Atros wyszedł. — Najgorzej zaś, że i ty przeze mnie musisz ponosić konsekwencje.

— Wiesz przecież, że nie zależy mi na udziale w wyprawach badawczych — powiedziała z przekąsem. — Według ciebie nic mnie nie obchodzi odkrywanie tajemnic obcych planet...

— Wcale już tak nie myślę! — zapewnił skwapliwie.

— Ach, jakże się niezmiernie z tego cieszę! — wyrecytowała cierpko i odwróciwszy się na pięcie, wyszła krokiem dostojnym i z wysoko zadartym nosem. W drzwiach odwróciła się jeszcze i pokazała mu język.

Ted z ciężkim westchnieniem zagłębił się w lekturze, którą mu w niewiadomym celu polecił przeczytać Har Adler. Była to jakaś praca na temat socjologii społeczeństw ziemskich i Ted nie potrafił sobie wyjaśnić, po co ma to właśnie teraz pakować do głowy, zamiast brać z innymi udział w badaniach.

Następnego dnia, gdy siedział znów nad czytnikiem, zły na siebie i wszystko dokoła, w kieszeni kombinezonu zadźwięczał sygnał przyzewowy. Wołał go dowódca.

„Lon, Mais i Sella ruszyli wczoraj do Starej Bazy. Grupa ojca bada brzeg oceanu — kalkulował Ted, wlokąc się korytarzem. — Grupa Geona dziś wyrusza na drugą półkulę... O ile dobrze pamiętam, według planu pracy pozostaje jeszcze tylko stanowisko kontroli i opracowania danych oraz obserwatorium astrofizyczne. Jedno i drugie na miejscu, w bazie, i okropnie nudne”.

Nie miał wątpliwości, że wraz z nową porcją pouczeń i uwag na temat konieczności przestrzegania wymogów dyscypliny kosmonautycznej otrzyma teraz najpodlejszą — jego zdaniem — pracę w bazie. Zdziwił się obecnością u dowódcy czterech jeszcze osób: Hara, Maxa, Ewy i Wery. Po co aż tyle osób ma asystować przy niechlubnym akcie karania? Usiadł na brzegu fotela. Dowódca nawet głowy nie uniósł spod rozłożonych na stole arkuszy fotogramów, jakby zupełnie nie zauważył wkroczenia delikwenta.

Ted badał ukradkiem twarze siedzących, nie patrzyli jednak w jego kierunku. Drzwi otworzyły się i wszedł Adam. Wtedy dopiero dowódca podniósł głowę i ogarnawszy wzrokiem zebranych, powiedział:

— Możemy zaczynać, załoga w komplecie. Na wczorajszym posiedzeniu dowództwo ustaliło taki właśnie skład ekipy, która pod nazwą grupy Flora wyruszy jutro na pierwszą planetę układu.

Tej możliwości Ted nie brał nawet pod uwagę. Zaskoczony kompletnie zrobił taką minę, że obserwujący go spod oka Har skrzywił się w uśmiechu rozbawienia.

— Grupą dowodzi Har Adler, a w czasie lotu w obie strony — Max Bodin,

jako pilot „Suma”. Start nastąpi za dwadzieścia godzin. Szczegółowe zadania zostaną omówione przez Hara w czasie lotu. Ograniczę się więc do kilku uwag. Najpierw do Teda. Nie będę roztrząsał po raz drugi wiadomej sprawy. Nie chciałbym jednak, abyś pomyślał, że twój udział w interesującej cię, o ile wiem, wyprawie na Florę stanowi jakieś wyróżnienie czy wyraz uznania. Zaliczenie zarówno Teda, jak i Ewy do składu ekipy nastąpiło na umotywowany wniosek Hara, który przyjął na siebie odpowiedzialność za całą załogę. Pozostali uczestnicy zostali zakwalifikowani także po rozpatrzeniu szeregu kandydatur. W skład załogi wchodzi biolog, lekarz, pilot-inżynier oraz historyk-socjolog. Wynika stąd, że nastawiamy się głównie na badanie stanu biologicznego planety. Trudno nam rozproszyć wysiłki w celu wszechstronniejszego badania obu planet. O Orfie wiemy na pewno, że nie jest zamieszkała przez istoty rozumne, i to upoważnia nas do przygotowania jej na przyjęcie następnej ziemskiej ekspedycji. Tu też przeprowadzimy wszechstronne badania geologiczno-poszukiwawcze w celu oszacowania zasobów mineralnych, z których skorzystają nasi następcy. Co do Flory zaistniało przypuszczenie, iż może ona być kolebką wysoko rozwiniętych, a może nawet rozumnych organizmów. Zmusza nas to do zachowania pewnych środków ostrożności, do wykazania dyplomatycznego taktu i do ograniczenia — przynajmniej w ramach tej wyprawy — naszych prac na Florze. Głównym zadaniem waszym jest więc stwierdzenie, do jakiego stopnia słuszne są nasze hipotezy na temat życia na tej planecie.

Po odkryciu Starej Bazy — ciągnął Atros po chwili przerwy — na czołowe miejsce wśród niejasnych zagadnień wysunęła się sprawa jej tajemniczych twórców, o których nie potrafimy dotąd niczego pewnego powiedzieć. Jedno z wysuniętych przypuszczeń głosi, iż pochodzą oni z Flory. Tak czy inaczej — bardzo prawdopodobne jest, że na Florze istnieją co najmniej ślady pobytu tych bardzo wysoko rozwiniętych istot rozumnych. Zadaniem waszym jest odszukanie tych śladów.

Gdyby udało się odnaleźć klucz do zapisów, pozostawionych w fonotece Starej Bazy, moglibyśmy odnaleźć tam zapewne znacznie więcej informacji o obu planetach, niż jesteśmy w stanie sami zgromadzić w czasie tak krótkiego pobytu.

— To już raczej sfera marzeń lingwistów... — wtrącił Adam z powątpiewaniem.

— Ja sądzę, że nie jest to tak beznadziejny pomysł, jak się wydaje — odparł Har — lecz nie będę motywował teraz moich przypuszczeń.

— Bardzo słusznie! — pochwalił Atros. — Dość było dyskusji na wczorajszej naradzie dowództwa. Co gorsza, nie osiągnęlibyśmy żadnych konstruktywnych wniosków. Mamy zbyt mało wiadomości, fakty nie zazębiają się wzajemnie... Łączności z Florą nie udało się osiągnąć. Biolodzy bardzo wstrzeźliwie wypowiadają się na temat tego zakonserwowanego osobnika. Są zgodni co do faktu, że nie jest on martwy, nie potrafią jednak podać sposobu przywrócenia mu czynności życiowych. Badania biochemiczne nie mogą być przeprowadzone, dopóki

nie otworzy się „futurału”, w którym on spoczywa. Otwarcie go musiałoby jednak pociągnąć za sobą natychmiastowe przywrócenie mu czynnego życia. . . W tej sytuacji ograniczono się do rentgenoskopii i neutronowych badań strukturalnych, które wykazały całkowitą zbieżność budowy jego organizmu z organizmem człowieka. . . To daje do myślenia, ale sprawy nie wyjaśnia, trudno bowiem przypuścić, by Stara Baza była dziełem. . . mieszkańców Ziemi!

Na zakończenie chcę przypomnieć, że na Florze zdani będziecie praktycznie na własne środki i własną zaradność. Nie mamy drugiej rakiety klasy „Suma” i przyjsście wam z jakąkolwiek pomocą wiązałoby się z koniecznością przeprowadzenia „Cyklopa” na orbitę wokół Flory. Pociągnęłoby to za sobą — pomijając już znaną wszystkim kwestię paliwa : — niewykonanie przynajmniej części zaprojektowanych prac na Orfie, gdyż musielibyśmy startować ku Ziemi z orbity około-floryjskiej, nie wracając już na drugą planetę. Mam jednak nadzieję, że poradzicie sobie doskonale. Mimo to nikogo nie zmuszam do udziału w wyprawie. Każdy z was może jeszcze zrezygnować.

Odczekał minutę, lecz nikt nie zamierzał się wycofywać.

— Dziękuję — powiedział dowódca. — Zatwierdzam skład załogi i wydaje rozkaz przystąpienia do przygotowań startowych.

Tak więc — wbrew najgorszym przeczuciom Teda — znalazł się on w grupie badaczy Flory. Wyprawa ta — to było ukoronowanie wszystkich jego pragnień! Planeta miała być odkrywana nieomal zupełnie „od zera”, bo posiadane skąpe o niej wiadomości nic prawie nie znaczyły w praktyce eksploracyjnej. Dodatkową emocję stanowił fakt, że najbliższa pomoc znajdowała się w odległości, którą fale elektromagnetyczne przebiegają w czasie kilku minut!

Tedowi przypadła w udziale pomoc w przygotowaniu „Suma”. Mimo że wraz z Maxem uwijali się bez przerwy, wspierani przez stado automatów, udało im się zaledwie cztery godziny uratować na sen. Ewa i Har zajęli się zaopatrzeniem i sprzętem osobistym dla wszystkich uczestników. Trzeba było przygotować różnego rodzaju skafandry i ubiory planetarne — nie znano przecież dokładnie warunków, jakie czekają ich na Florze.

Przed samym odlotem Ted poszedł pożegnać się z matką. Anna uśmiechała się przez cały czas, lecz obejmując syna spojrzała mu w twarz wilgotnymi nieco oczyma i powiedziała jak zwykle:

— Bądź ostrożny i. . . wracaj szczęśliwie!

— Dobrze, mam! — odpowiedział z takim przekonaniem i pewnością siebie, że Anna uśmiechnęła się znowu i pomyślała: „Zupełnie jak jego ojciec. . .”

— Nie przesadzaj z samodzielnością — dodała — i opiekuj się Ewą.

Spuścił oczy i powiedział:

— Nie musisz mi o tym przypominać. . .

Powiedział to tak jakoś... inaczej, że Anna od razu zrozumiała i od tej chwili zaczęła być spokojniejsza chłopca...

Na korytarzu Ted spotkał Ewę. Była ubrana w obcisły kombinezon — taki zwykły, jaki nosi się pod skafandrem planetarnym. Z przyjemnością patrzył, jak nadchodziła sprężystym, pewnym krokiem.

„Jest naprawdę bardzo ładna, nie wiem, czy nie ładniejsza od Mais!”

Mais była dotąd dla Teda absolutnym wzorem urody kobiecej — była najmłodszą i bez wątplenia najładniejszą z kobiet w załodze astrolotu. Ewy dotychczas nie zaliczał do kobiet...

— Dlaczego tak mi się przyglądasz? — spytała Ewa, widząc jego lekko nieprzytomne spojrzenie.

— Bardzo ładnie wyglądasz! — wypalił odważnie, lecz zaraz dodał: — Wszystko dziś wydaje mi się wspaniałe i piękne. A myślałem już, że zostanę tu i będę liczył protuberancje na słońcu!

Odwróciła twarz w stronę niklowanej płyty ściiennej i przejrzawszy się w jej lustrzanej powierzchni, poprawiła włosy pod przepaską.

— Tylko dlatego ci się podobam? Dlatego, że wszystko ci się dziś podoba? — powiedziała z rozczarowaniem.

— Nie tylko dlatego! — powiedział szybko i ujął ją pod łokieć.

Cofnęła się lekko. Ted do tej pory, chcąc, żeby poszła za nim, ciągnął ją za skafander.

— Chodź — powiedział. — Trzeba się ubrać do drogi.

W magazynie wszystko było przygotowane. Ted obejrzał ekwipunek z miną starego wygi kosmicznego, potem wciągnął skafander i pomógł Ewie pozaciągać klamry.

— Wiesz... — powiedział nagle, podając jej hełm — muszę ci coś powiedzieć...

Ewa znieruchomiała na chwilę, a potem z niebywałym zapałem zaczęła sznurować wysoki but.

— Cóż takiego? — spytała na pozór obojętnie, lecz głos zdrztał jej trochę.

Ted odłożył hełm, pomajstrował przez chwilę przy zapięciu swego pasa, wreszcie wykrztusił:

— Chcę się do czegoś przyznać, muszę... powiedzieć ci o tym, bo czuję się, jak... no, jak taki, co zabiera nie swoje...

— Złodziej? — podsunęła, patrząc na niego ze zdumieniem.

— O, właśnie: jak złodziej! — podjął Ted. — Bo widzisz, wtedy... w pełzaku, kiedy spałaś...

Zamilkł znowu, a potem, zebrawszy całą odwagę, wykrzyczał niemal:

— Ja cię wtedy pocałowałem!

Ewa pochyliła się jeszcze niżej nad swoim butem, lecz nie mogła jakoś trafić paskiem do klamry. Zapadło na chwilę głucho milczenie. Ted postąpił krok w jej

stronę.

— Słyszałaś? — zapytał cicho. — Słyszałaś, co powiedziałem?

Wyprostowała się i spojrzała mu przelotnie w oczy, a potem oparła czoło na jego ramieniu.

— To dobrze... — powiedziała szeptem.

— Co takiego? — spytał, oszołomiony bliskością jej włosów.

— Nic — powiedziała, cofając się nagle.

Chwyciła swój hełm i wybiegła z magazynu, pozostawiając Teda z miną zupełnie niewyraźną.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

PRAWIE ARCHIMEDESA,  
OBYCZAJACH FLORYTÓW  
I O TYM, CO BŁYSZCZAŁO Z DALA

Wystartowali planowo. Na propozycję Maxa, by poprowadzić „Suma” zwiększonym ciągiem, wszyscy przystali z ochotą. Skracało to podróż o połowę, wymagało jednak pewnych środków zabezpieczenia przed przeciążeniami. Ludzie i przedmioty miały ważyć w czasie podróży prawie trzykrotnie więcej niż na Ziemi. Dlatego też zastosowano bardzo wygodną metodę, którą Max nazywał „metodą solonego śledzia”, a polegającą na zanurzeniu pasażerów w „akwariach” wypełnionych wodą osoloną do tego stopnia, że ciało pozostawało w równowadze, zawieszone w środku cieczy.

Tedowi zabawny wydał się fakt, że wynalazcą tej metody był poczciwy starsuszek Archimedes, żyjący w epoce, gdy o lotach kosmicznych nikt jeszcze nie marzył. Prawo Archimedesesa okazało się bardzo użyteczne: każde ciało traci na ciężarze tyle, ile waży ciecz przez nie wyparta; jeśli, więc ciało straci cały swój ciężar, to oczywiście nawet przy największych przyspieszeniach nie waży pozornie  $n$  i  $c$ !

Lot kontrolowali na zmianę Max, Adam i Har, oczywiście nie wychodząc ze swych pojemników. Pozostali mogli teraz do woli odsypiać trudy gorączkowych przygotowań przedstartowych.

Przed wejściem na orbitę dokoła Flory wyredukowano przyspieszenie do normalnej wartości i wtedy Har poinformował dokładnie załogę o planach i metodzie badań.

Pierwszym zadaniem było oczywiście wykonanie możliwie dokładnych zdjęć powierzchni planety.

Ekran y jaśniały z minuty na minutę. Szare strzępy chmur rzedły w miarę zbliżania się do powierzchni planety, ustępując miejsca zarysom kontynentów. Fantastyczna barwna mapa, rozpostarta na wypukłej powierzchni kuli, w pełni usprawiedliwiała nazwę, nadaną planecie: Flora wyglądała naprawdę kwitnąco.

Na obszarze objętym teleobiektywami kamer dominowała soczysta zieleń rozłożona ogromnymi plamami, gdzieś tam przestłoniętymi jeszcze subtelną wo-

alką niskich obłoków czy oparów. Zieleń cięty gęsto wstążki rzek i strumieni, lśniące odbłaskiem ręciovwej bieli i splatające się w węzły jezior i rozlewisk.

Okrażali planetę w płaszczyźnie równika. Obiektywy penetrowały jej powierzchnię na północ i na południe, aż po daleki horyzont. Automat fotogrametryczny rejestrował skrupulatnie szczegóły terenu, wyrzucając ze swego wnętrza coraz to nowe fragmenty kolorowej mapy.

Niezależnie jednak od tego wszystkie oczy utkwione były w ekran. Har co chwila powiększał zbliżenie. Obraz na ekranie zbliżał się gwałtownie, jakby rakietą opadała nagle o kilkaset kilometrów niżej, potem na powrót odpływał w głąb ekranu, obejmując większy obszar terenu.

— Wygląda to jak pierwotna dżungla — powiedział Har, odrywając na chwilę zmęczone wypatrywaniem oczy od ekranu. — Żadnych śladów osiedli ani jakiegokolwiek gospodarki.

— Dużo wilgoci, bogata szata roślinna, zawartość tlenu około dwudziestu procent — meldował Adam, pochylony nad pulpitem telemetrycznym. — Idealne warunki dla rozwoju złożonych form życia opartego na białku!

— Nie sądzę, aby stąd wywodzili się twórcy Starej Bazy — stwierdził z przekonaniem Max z głębi fotela pilota. — Przy tak wysokim poziomie technicznym musieliby w znacznym stopniu przekształcić swą planetę. A tu — ani śladu szlaków komunikacyjnych, miast i ośrodków życia.

— Nie zgadzam się! — zaprotestował Ted, nie chcąc tak od razu pogodzić się z faktami. — To, że przyroda planety przedstawia nam się w naturalnym stanie, świadczyć może, iż mieszkańcy planety umyślnie nie zakłócają tego stanu! Przecież w historii cywilizacji ziemskiej znane są fakty bezmyślnego niszczenia naturalnego środowiska biologicznego, co mściło się później na gospodarce i zdrowiu ludności. Zatrutowano rzeki chemikaliami, wycinano lasy, powodując zmianę klimatu na znacznych obszarach lądu... Podobnie z miastami i ośrodkami przemysłowymi; w pierwszej fazie uprzemysłowienia powstały miasta-kolony, w których nie było czym oddychać...

— Widzę, że przydała ci się lektura zadana przez Hara — mruknął Max, udając powagę. — Oczywiście, daleko posunięta deglomeracja może spowodować tak równomierne uprzemysłowienie, że na każde sto kilometrów kwadratowych planety przypadać będzie pojedynczy chałupnik, w niczym nie zakłócający swoją działalnością naturalnego środowiska biologicznego... Na tej planecie widać osiągnięto już ten idealny stan.

— Może oni zamieszkują w podziemnych miastach? — nie dawał za wygraną Ted.

— A dlaczegoż by mieli pozbawiać się pięknych widoków i świeżego powietrza? — zaprotestowała tym razem Ewa. — Nie, Ted. Jeśli w siedemnastym okrążeniu planety na niskiej orbicie nie jesteśmy w stanie dostrzec choćby śladów działalności rozumnych istot, to nie ma ich tu, i już.

— Skład atmosfery bardzo przypomina skład powietrza w Starej Bazie — zauważył Adam, — Niczego to jednak nie dowodzi. Zauważcie ponadto, jak wyraźnie widać poszczególne strefy roślinności: pas równikowy zieleni się najobficiej. Dalej zieleń jaśnieje, przechodząc w zabarwienie złotawo-żółte; roślinność zanika w miarę zbliżania się ku biegunom. Wiąże się to z faktem, iż oś planety jest prostopadła do płaszczyzny orbity i pory roku nie występują. Każda strefa ma ustabilizowane warunki klimatyczne, a wegetacja roślinności musi odbywać się w sposób ciągły, bez cyklicznych zmian rocznych.

W polu widzenia kamer załśnił niewysoki grzbiet górski. U jego podnóża, spod zielonego obszaru lasów, przezierały jaśniejsze plamy, jakby nasłonecznione obficie polany. Wysokość zmniejszyła się na tyle, że pancierz rakiety darł już gęstniejące warstwy atmosfery, a wskaźniki temperatury powłoki rozedrgały się, balansując wokół połowy skali. Grzbiet górski rozpościerał się już teraz prawie pod statkiem. Oglądane w dużym zbliżeniu stożki skał rzucały krótkie cienie.

— Tam! — krzyknął nagle Har, wskazując jakiś punkt ekranu.

Spojrzenia wszystkich skupiły się na maleńkiej iskierce światła połyskującej na jednym ze szczytów. Wyglądało to jak odbłask słońca na kawałku sztucznego szkła, rzuconego między kamienie. Biorąc jednak pod uwagę odległość, musiała to być spora powierzchnia odbijająca. Adam rzucił się w kierunku spektrografu.

— Ee, do licha — mruknął po chwili z nutą zawodu w głosie. — Tu jest pełne odbicie światła słonecznego!

— A ty myślałeś, że laser? — uśmiechnął się Har. — Dobrze i to!

— Czy sądzisz, że to heliograf, jakaś sygnalizacja świetlna? — zagadnął Ted.

— Nie wiem. Może ktoś po prostu puszcza „zajaczki” lusterkiem? — odrzekł Har wymijająco. — W każdym razie to już jest coś, od czego można zacząć... Max, czy możesz wylądować tak, abyśmy mieli jak najbliżej do tego punktu?

— W górach nie podejmuję się siadać, ale na którejś z tych polan — czemuż by nie? Poczekaj, zaraz przeliczę trajektorię lądowania.

Palce pilota przebiegały wprawnie po klawiaturze, ekran kalkulatora oplotły na chwilę zwężone krzywe równania różniczkowego.

— Optymalne warunki lądowania będziemy mieli po dwóch jeszcze okrążeniach — powiedział po chwili Max. — Zróbcie dokładny namiar położenia tego świecidełka, a potem wszyscy na fotele. Będą spore przeciążenia przy wytracaniu prędkości.

„Sum” wylądował na środku dużej polany, wśród brunatnego koliska wypalanej ziemi.

Polana była pokryta wielobarwnym dywanem niskiej, lecz gęstej roślinności. Brzegi jej okalała zwarta ściana zarośli, spoza której przezierały miejscami ciemnobrunatne pnie wysokich drzew. Przez chwilę penetrowali polanę i skraj puszczy



za pomocą kamer i lornet.

— Nikt nas jakoś nie wita. . . — powiedział Ted. — Nieładnie ze strony gospodarzy. . .

— Jeszcze w epoce przedkosmicznej wywiódł ktoś uczenie — zauważył Max — iż napotkanie mądrzejszych od nas istot na planecie, do której zdołamy dotrzeć, jest niemożliwością. Gdyby bowiem osiągnęły przed nami odpowiedni poziom rozwoju, przybyłyby do nas pierwsze.

— Pogląd słuszny, ale jedynie wtedy, gdy się założy, że podróże kosmiczne są koniecznością życiową wysoko rozwiniętych istot. Jeśli jednak ktoś mądrzejszy od nas doszedł do innego wniosku i inaczej ukierunkował wysiłki techniczne? — zauważyła Wera.

— Ci jednak, którzy budowali Starą Bazę, przybyli skądś na Orfę! Odbywali zatem podróże kosmiczne, a trudno nie uznać ich za mądrzejszych od nas w dziedzinie techniki — wtrącił Adam.

— No, a ten. . . zakonserwowany osobnik? — przypomniała Ewa.

— Nie, moi drodzy. Nie będziemy tyle gadać — zgromił ich Har. — Wiem, że każdy ma swoje ukryte przypuszczenia i teorie, ale pozwólcie, że skorzystam z prawa dowódcy grupy i poproszę o przyjęcie do wiadomości roboczej hipotezy, z którą zapoznałem was w drodze na Florę. Przyznaję, że hipoteza nie wydaje się teraz zbyt uzasadniona, ale trzymamy się jej w braku wiedzy o stanie faktycznym.

— Uff! — sapnął Ted. — Mamy więc wierzyć w człekokształtnych Florytów, którzy bywali na Orfie. . .

— Tak. To rozkaz! — powiedział Har, tłumiąc śmiech. — Dla dobra sprawy, by nie tracić czasu na jałowe dociekania.

— A tak prywatnie — mruknął Adam, przysuwając się do Adlera — to co ty myślisz o mieszkańcach tej planety?

— Do licha! — warknął Har. — Nic sobie nie robią z moich rozkazów! A poza tym ci przyrodnicy są nieznośni! „Co myślisz?“, „co sądzisz?“, i tak w kółko. Czy ja muszę wiecznie myśleć? Nie wolno mi przez chwilę nie myśleć o niczym?

A potem — wyglądając przez iluminator — powiedział:

— Myślę. . . że tu jest naprawdę bardzo ładnie!

Nie mogli nie przyznać mu racji. Wokoło było naprawdę pięknie.

Nie od razu jednak można było opuścić raketę. Drobiazgowe badanie warunków fizykochemicznych i biologicznych zajęło przeszło pół godziny. Ku ogólnemu zadowoleniu okazało się, iż nie będzie konieczne używanie ciężkich i niezbyt wygodnych ubiorów kompensacyjnych. Należało jednak zachować pełną izolację organizmów od atmosfery floryjskiej. Zdecydowano się więc na lekkie ubiory z cienkiej, lecz mocnej folii, połączone z przejrzystą maską, osłaniającą twarz.

Maska była skonstruowana w ten sposób, że przez jej ścianki wykonane z półprzepuszczalnej błony silikonowej można było swobodnie oddychać tlenem za-

wartym w dostatecznej ilości w atmosferze. Tym sposobem uwolniono się od konieczności obładowywania się zapasami ciekłego tlenu.

W skład osobistego ekwipunku wchodziły poza tym plecaki z wbudowanym odrzutowym aparatem lotnym i zapasem materiału napędowego oraz ogrzewane śpiwory i koncentraty odżywcze.

Wyprawa — na razie tylko w promieniu trzydziestu kilometrów wokół miejsca lądowania — miała posiadać charakter „turystyczny”. Była to część planu zaprojektowanego przez Hara, który dowodził, iż badać planetę, a szczególnie jej ewentualnych mieszkańców, można z powodzeniem tylko wtedy, gdy nie zakłóca się w znaczącej mierze jej naturalnych warunków.

Pomysł budził początkowo poważne obawy, lecz po zanalizowaniu szczegółów okazał się mniej niebezpieczny, niż się zrazu wydawało.

— Moglibyśmy co prawda zawitać tu z całym naszym wyposażeniem technicznym, ze sforą pojazdów i automatów, słowem: z paradą i hałasem — tłumaczył Har, gdy Ewa i Ted dopasowywali kombinezony — ale skutek byłby taki, że mieszkańcy planety albo przeraziliby się nas na samym wstępie, albo, co gorsza, mogliby nasze wkroczenie poczytać za próbę inwazji. Gdyby okazało się przy tym, iż mamy rzeczywiście do czynienia z twórcami Starej Bazy, nasza technika i środki obrony mogłyby się na nic nie przydać wobec ich możliwości. . .

Przejrzyste maski nie zniekształcały normalnego, ludzkiego wyglądu twarzy i dopiero z bliska można było je dostrzec.

— Wiesz, Har — powiedziała Ewa — wyglądasz nawet dość podobnie do tego brodacza ze Starej Bazy. Jeśli Florycy wyglądają tak, jak on, to nie wzbudzisz wśród nich najmniejszego zdziwienia!

— Prawdę mówiąc — uśmiechnął się Har — właśnie to podobieństwo nasuwało mi pomysł „prywatnego” kontaktu z Florytami. Teraz jednak wydaje mi się, że nie na wiele się to przyda.

— Sądzisz, że ten ze Starej Bazy nie pochodził z Flory? — spytał Ted w nadziei, że wydobędzie z Hara jego skrywane poglądy.

— Dlaczego właściwie — mruknął Har z lekką irytacją — wszyscy tak bojaźliwie omijają słowo „człowiek”, gdy chodzi o określenie tego osobnika! Wszystkie badania wskazują na identyczność jego organizmu z ludzkim!

Ted spojrzał porozumiewawczo na Ewę. A więc to tak! Więc Har, mimo że historyk i znawca przeszłości Ziemi, w głębi ducha zdaje się wierzyć w jakąś zaginioną cywilizację ziemską, której przedstawiciele dotarli aż tutaj!

Po chwili nadeszli Wera i Adam, również z plecakami i całym ekwipunkiem.

Max został w rakiecie, a reszta wyszła przez śluzę na zewnątrz.

Wystarczyło przekroczyć granicę kręgu wypalonego płomieniem „Suma”, by stopy utonęły w miękkim, wielobarwnym kobiercu, który oglądany z bliska rozpadał się na dziesiątki przeróżnych odmiennych form roślinnych. Zarówno Ewa, jak i Ted brnęli na wyścigi przez polanę, oszołomieni niespotykaną mnogością

barw i kształtów. Co krok widać było jakiś zaskakujący okaz roślinności — nic więc dziwnego, że Adama poniosło również i po chwili, prawie leżąc, myszkował wśród niskich łodyg. Nawet poważny historyk Har odczuł nieprzewartą chęć wytarzania się w tej zielonej kąpieli i tylko fakt sprawowania funkcji dowódcy grupy powstrzymał go od urzeczywistnienia tej chętki. Pobłażliwie pozwolił jednak pozostałym ochłonać i dopiero po kilku minutach zwołał ich do siebie.

Wypróbowały sprawność radiostacji obu grup badawczych, Wera i Adam skierowali się na zachód, w stronę odległej o kilkanaście kilometrów doliny najbliższego potoku. Po chwili zniknęli za pierwszymi krzewami na skraju dżungli.

Grupa Hara udała się w kierunku gór. Oglądany ze środka polany szczyt z tajemniczym obiektem widać było dość wyraźnie. W szklach silnej lornety można było dostrzec wystające ponad skalnym rumowiskiem wąskiej grani coś na kształt lśniącej, spiczastej nadbudówki. Gdy dotarli do zarośli, stracili z oczu górski krajobraz i kierowali się tylko żyrokompasem. Ściana lasu rozpadła się na pojedyncze, dość rzadko rosnące grube pnie, między którymi można było swobodnie poruszać się pieszo. Na wysokości dwóch metrów nad ziemią pnie rozwidlały się, dając początek grubym, bezlistnym konarom o gładkiej powierzchni. Te z kolei rozwidlały się wyżej w sieć cieńszych, tworząc na pewnej wysokości gęstą płataninę różnej grubości gałęzi, splatających się z sąsiednimi drzewami. Dopiero gdzieś u samej góry z ostatniej kondygnacji konarów wyrastały wielkie, koliste płachty liści o skórzastej, lśniącej powierzchni, tworzące nieprzejrzysty dach.

No dole panował półmrok, chłód i wilgoć. Ziemia była czarna, pokryta gęsto plamami białej pleśni porastającej opadłe liście.

Ted kroczył pierwszy, za nim Ewa. Har zamykał pochód, sprawdzając co pewien czas kierunek marszu. Decyzja, by pierwsze rozpoznawcze wycieczki odbywać pieszo, wynikała nie tylko z planu Hara, lecz także stąd, że każdy z badaczy mógł zabrać jedynie ograniczoną ilość paliwa do aparatu lotnego. Aparaty miały służyć do forsowania trudnych przejść w terenie górskim i do celów... obronnych; w razie zaskoczenia lub ataku ze strony jakiejś nieprzyjaźnie nastawionej żywej istoty można było przy pomocy takiego aparatu dokonać kilkudziesięciometrowego skoku w górę.

W pewnej chwili — może po godzinie wędrówki — zabielało coś pośród pni. Zbliżyli się. Bielały końce pooblamywanych gałęzi: wśród drzew wyraźnie znaczył się szlak, jakby przeszło tędy jakieś ogromne cielsko.

— To musiało być coś bardzo wielkiego — stwierdził Ted. — Gałęzie są pooblamywane aż do wysokości trzech metrów!

Wzdłuż wydartego w gąszczu korytarza grunt był stratowany i zryty tak, że nie sposób było dopatrzeć się jakichś pojedynczych tropów. Ted wyobraził sobie zaraz stado ogromnych stworów wielkości słonia i pomyślał, że spotkanie z nimi mogłoby przysporzyć wiele kłopotu. Czy miotacz stanowiłby dostateczną obronę? Bo o użyciu aparatów lotnych nie było mowy: próba przebiccia się przez „dach”

z gałęzi skończyłyby się najpewniej w sposób opłakany dla ich głów.

Har jednak nie podzielał widać tych obaw — może pewien był skuteczności broni, a może uspokajała go panująca dokoła cisza i bezruch. Przez chwilę zastanawiał się jakby, czy nie podążyć śladem owego stada kolosów, ale nie zmienił kierunku marszu.

Pasy plecaków zaczynały już dobrze ugniatać ich ramiona, gdy dotarli wreszcie do niewielkiej polanki. Było tu jasno i ciepło, grunt był suchy, porośnięty tylko niskimi kępkami drobnych roślin. Har zarządził krótki odpoczynek. Nie zdejmując plecaków, przysiedli, opierając się na nich. Ewa oglądała z bliska podobne do mchów roślinki, Ted przez cały czas postoję rozglądał się bacznie po okalających polanę zaroślach. Har wyciągnął się wygodnie i wydawało się, że nic go nie obchodzi całe otoczenie.

— Gdyby nie maska, czułabym się tak, jak czują się chyba uczestnicy jakiejś wyprawy na Ziemi — powiedziała Ewa. — Czy nie moglibyśmy zdjąć masek? Przecież jest tu dość tlenu. . .

— Ale poza tym mnóstwo drobnoustrojów, o których niewiele wiemy — przypomniał Ted. — Pomijając jednak tę sprawę, można powiedzieć, że planeta jest zupełnie niezłe przygotowana dla potrzeb człowieka. Organizmy białkowe mają dość wąsko ograniczony zakres potrzeb. Dziwne po prostu, że tutaj spotykamy właśnie takie warunki. . .

— Na pewno więc spotkamy tu struktury białkowe, pytanie tylko, jak wysoko zorganizowane — powiedziała Ewa.

— Nie bójcie się — Har uśmiechnął się z lekką ironią. — Na pewno i c h spotkamy!

Wypowiedział to z takim przekonaniem, że Ted mimo woli rozejrzał się wokoło.

— Spójrzcie! — Har wskazał na niebo.

Na tle bardzo jasnego błękitu czerniał maleńki punkcik.

Ewa chwyciła lornetę, lecz nawet przy jej pomocy niewiele mogła dostrzec.

— Czyżby. . . ptak? — spytała, patrząc z ukosa na Adlera.

— Być może nawet skowronek! — powiedział z powagą. — Jeśli już wszystko tu takie „ziemskie”.

— Dziwi mnie ten spokój — powiedział Ted. — Na pozór nic się nie dzieje na tej planecie. . .

— A ty czego się spodziewałeś? — uśmiechnął się Har. — Myślałeś, że wpadniemy w sam środek kataklizmów, dzikich bestii i wrogich tubylców? Takie rzeczy powstają w fantazji tych, którzy o nich piszą. Rzeczywistość — obojętne, w jakim miejscu Kosmosu — jest zawsze znacznie mniej atrakcyjna. Trudno oczekiwać od planety, której życie płynie od prawieków ustalonym trybem, by na nasze przyjęcie demonstrowała wszystkie naraz swoje możliwości. Czas, jaki przeznaczamy na jej pobieżne i wycinkowe badanie, jest tak mały w porówna-

niu z czasem trwania procesów zachodzących w jej wnętrzu i na powierzchni, że właściwie możemy oglądać jedynie jakiś statyczny jej obraz, jakby jedną klatkę filmu...

Ruszyli w dalszą drogę wypoczęci i pełni nowych sił. Teren podnosił się teraz wyraźnie i fałdował, polanki zdarzały się częściej.

— Cicho! — syknął nagle Ted, zatrzymując się.

Znieruchomieli nasłuchując. Od strony bliskiej polany dobiegał dziwny, jednostajny dźwięk — jakieś mamrotliwe „uhu-uhu”, niczym niskie buczenie trzmie-la, lecz urozmaicone falowaniem wysokości tonu.

Zbliżyli się cicho do skraju polany. Na jej środku leżał spory kamień. Sponad tego kamienia wystawało coś ciemnego, o zaokrąglonym konturze, poruszającego się miarowo w rytmie szurania i monotonnej przyśpiewki.

Ted, który przepuścił Ewę do przodu i teraz posuwał się tuż za nią, wyprostował się o ułamek sekundy za wcześnie i zawadził plecakiem o nisko zwisający konar. Słabe stuknięcie wystarczyło, by za kamieniem wszystko nagle ucichło. To „coś” zapadło za krawędź skałki.

Znieruchomieli. Nagle w stronę lasu runął jakiś brunatny, wydłużony kształt i nim ktokolwiek zdołał wycelować mikrokamerę umieszczoną na czołowej powierzchni kasku — zniknął wśród konarów.

— Co to było? Czy zdołaliście coś zauważyć? — zawołał Ted.

— Niewiele — mruknął Har.

— Przekłeta gałąź, spłoszyłem go!

— Nie martw się, i tak by uciekł.

— Tak, ale może zdołalibyśmy go sfotografować... Mam nadzieję, że to tylko jakieś zwierzę — pocieszał się Ted.

— Wydawało mi się, że biegł pochyłony, lecz w pozycji dwunożnej — zauważyła Ewa.

— Widziałaś jego nogi? Skąd wiesz, że miał dwie?

— Nie łap mnie za słowa. Wiesz, o co mi chodzi.

Har podszedł do skałki i okrążył ją ostrożnie. Gdy ukazał się po przeciwnej stronie, w dłoni trzymał jakiś wydłużony przedmiot. Był to kawał odłamanej gałęzi. Har oglądał go z dużym zainteresowaniem. Gdy się zbliżyli, podał kij Ewie.

— To leżało tam, za kamieniem — wyjaśnił. — Obejrzyjcie to dokładnie.

— Co to takiego? — zastanawiał się Ted głośno.

— Jak wykazały wstępne badania — zaczął Har tonem naukowego komunikatu — jest to kij. Wskazuje na to między innymi fakt, iż posiada dwa końce.

Ewa roześmiała się, lecz Ted zachował powagę.

— Nie żartuj — powiedział. — Wyjaśnij lepiej, co cię tak zainteresowało w tym kawałku gałęzi.

— Zauważ, że ten kij jest obrobiony ostrym narzędziem, prawdopodobnie krawędzią kamienia.

Ted obejrzał dokładniej koniec kija i teraz dopiero spostrzegł, że odarta z zewnętrznej warstwy włókien powierzchnia zarysowana jest siecią misternych i regularnych nacięć tworzących prosty ornament.

— A więc on to rzeźbił! — ucieszyła się Ewa.

— Na to wygląda — zgodził się Har. — Wydaje mi się, że to już do pewnego stopnia wyjaśnia, z kim mamy do czynienia. Chodźmy jednak dalej.

Ruszyli przez przerzedzający się stopniowo gąszcz, rozprawiając na temat znaleziska i przypuszczalnego wyglądu tajemniczego osobnika. Wspólnymi siłami ustalono, że mógł on być nieco wyższy od człowieka. To było, niestety, wszystko, co udało się skonstatować. Ewie wydawało się wprawdzie jeszcze, że dostrzegła na nim coś w rodzaju odzieży, fakt ten jednak poddał w wątpliwość Ted, nie bez złośliwości dając do zrozumienia, iż jej spostrzeżenie jest wynikiem kobiecej namiętności do strojów.

Las rozpadł się na pojedyncze skupiska drzew rosnących luźno pomiędzy gęsto rozrzuconymi odłamami skał. Dostatek światła pozwalał tu liściom obrastać bujniej sploty gałęzi, tak że tworzyły nieprzejrzysty gąszcz wokół pni.

Zza kolejnej kępy drzew zajaśniała rozległa polana pokryta tylko niską, jasnozieloną sierścią porostów. Dalej wznosiła się dość stroma ściana osypująca się z jednej strony w rumowisko wielkich brył zwietrzałego wapienia. Wśród szczelin i pęknięć przecinających gęsto jasną ścianę czerniał wyraźnie otwór jaskini. Zauważyli go niemal równocześnie, nie porozumiewając się ani słowem, podążyli w jego kierunku. Dopiero po chwili, gdy Har przeprowadził błyskawiczną ankietę na temat: „o czym pomyślałeś na widok jaskini”, okazało się, że wszyscy pomyśleli o tym samym: tubylcy, posługujący się prymitywnymi narzędziami w postaci kijów, powinni mieszkać w jaskiniach!

— Antropomorfizm jest w nas jednak zbyt mocno zakorzeniony, byśmy mogli obiektywnie spoglądać na obcą cywilizację! — podsumował Har.

W tej samej chwili z korony mijanego drzewa zleciał gruby kij i trąciwszy Teda w ramię, upadł na ziemię. Ted porwał za kolbę miotacza, lecz Har zatrzasnął mu dłońią bezpiecznik i ostro zakomenderował:

— Pod skałę, biegiem!

Pobiegli w stronę grotty, a Har z głową zadartą ku górze (tym sposobem nakierowując czołową fotokamerę na miejsce, skąd przed chwilą upadł kij) wycofywał się powoli.

W gałęziach, gęsto splecionych u wierzchołka, panował jednak niczym nie zmacony spokój. Po chwili dopiero trzask gałęzi dał znać o obecności kogoś — czy też czegoś — na górze. Har, nie przestając patrzeć w górę, schylił się i po omacku podjął z ziemi kij. Przez chwilę ważył go w dłoni, jakby zastanawiał się, czy nie odrzucić go na powrót, lecz widocznie ta myśl nie przypadła mu do gustu, bo wycofał się tyłem w kierunku grotty.

Ted badał wnętrze jaskini. Z miotaczem w dłoniach obszedł jej zakamarki i do-

piero gdy przekonał się, że nie ma innych wyjść i bocznych odgałęzień, a przede wszystkim, że jest zupełnie pusta i sucha, zaprosił Ewę gestem do wnętrza. Har dołączył do nich po chwili.

— Nie chcę ich płoszyć — wyjaśnił krótko. — Zdążymy zapoznać się z nimi w bardziej sprzyjających okolicznościach. Niech im się zdaje, że mają nad nami przewagę. To ich ośmieli.

— Wszystko jest tu jakieś dziwne: zbyt łatwo nam idzie to odkrywanie nieznaney planety — zauważyła Ewa. — Nie spotkaliśmy dotąd żadnego groźnego niebezpieczeństwa. Cała tutejsza przyroda przedstawia się nam jakoś zbyt łagodnie i spokojnie. . .

— Ależ tak jest właśnie ciekawiej — zauważył Har. — Trzeba samemu wyciągać wnioski.

— Czy nie wydaje się wam zaskakujące, że pierwsze żywe stworzenia, jakie napotyamy, okazują się istota rozumną? — zapytał Ted.

— Może to oznaczać, że trafiliśmy w okolicę szczególnie gęsto zasiedloną — zauważyła Ewa.

— Albo też, że zamieszkują tu tylko istoty rozumne, różnych gatunków i na różnym poziomie rozwoju. . .

— No, no! — wtrącił Har. — Nie galopujmy. To, że powitały nas te, jak przypuszczamy, inteligentne istoty, może być czystym przypadkiem.

— Inaczej wyobrażałem sobie pierwsze z nimi spotkanie — skrzywił się Ted, rozcierając ramię. — Będę miał siniaka. Oryginalny sposób witania gości z odległego systemu planetarnego!

Rozpięli we wnętrzu pieczary, u samego wylotu, spory namiot pneumatyczny. Jego ścianki skutecznie izolowały od otaczającej atmosfery, zapewniając równocześnie stały dopływ tlenu, którego na zewnątrz było pod dostatkiem. Przez przejrzyste ściany można było obserwować polanę przed grota.

Zdjęli z twarzy maski oddechowe i zabrali się do przygotowania posiłku składającego się z koncentratów i konserw. Woda na herbatę zawrzała błyskawicznie w specjalnym zbiorniczku. Zasiedli na rozpostartej folii i jedli w milczeniu. Adler od czasu do czasu rzucał bystre spojrzenia na polanę. Przed wejściem, oparty o kamienie, sterczał miotacz Hara. Małe pudełeczko zdalnego sterowania położył Har tuż koło siebie.

Ted przychwycił te przelotne spojrzenia Adlera. Do tej pory było mu głupio, że w tak nieopanowany sposób zareagował na atak nieznanego napastnika. Miotacz przeciw istocie uzbrojonej w kij — to rzeczywiście jakoś nie tak. . .

— Myślisz, że oni mogą tu przyjść? — spytał, wskazując głową w stronę wylotu groty.

— Może. . . — mruknął Har między dwoma łykami herbaty.

— I dlatego. . . tamto?

Har uśmiechnął się ironicznie.

— Wydaje ci się, że mnie przyłapałeś na niekonsekwencji? Nie ciesz się. Nie będę do nich strzelał. Teraz jednak, gdy wiem, do kogo strzelać nie należy, mogę sobie pozwolić — w razie potrzeby — na strzelanie do innych napastników. Z rozumną istotą można się bez tego dogadać.

— Nie bardzo jakoś chce mi się wierzyć w ten ich rozum. . . — powiedział Ted niechętnie. — No, niby te nacięcia na kiju. . . To może świadczyć, iż nieobce są im pewne uczucia estetyczne. Poza tym jednak zachowanie ich niezbyt jest logiczne: tamten uciekł za pierwszym szelestem. Ten znowu zaatakował podstępnie.

— Pierwszy nas nie widział, drugi zaś obserwował zapewne od dłuższej chwili, gdy szliśmy przez polanę — przypomniała Ewa.

— Trzeba zatem ustalić jedną bardzo istotną rzecz: czy oni boją się nas, czy nie — zaproponował Ted.

Ewa spojrzała na niego spod opuszczonych na wpół powiek i powiedziała przekornie:

— Ty, mój drogi, chciałbyś wszystko klasyfikować według sztywnych zasad: tak albo tak. Czy nie wydaje ci się, że mogą być wśród nich tchórzliwi i odważni, spokojni i zaczepni? Wśród istot inteligentnych występuje coś takiego, jak indywidualność, charakter. . . Z tego też względu proponowane zagadnienie nie rokuje jednoznacznego i ogólnego rozwiązania.

— Brawo! — zawołał Har. — Cenna myśl! Można wprawdzie z dużą dozą pewności twierdzić, że zające boją się człowieka, a tygrysy nie. W wypadku istot inteligentnych tak ścisłej klasyfikacji nie da się przeprowadzić.

Po godzinnym odpoczynku zwinęli sprzęt i ruszyli w dalszą drogę, w kierunku połyskującej różowo linii szczytów. Celu wędrówki — szczytu z tajemniczym błyszczącym obiektem nie było stąd widać. Kryły go bliższe wierzchołki.

Zbocze pięło się coraz stromiej, miejscami zaczynały przezierać pod stopami płyty nagiej skały. Wszelka roślinność — nawet ta niska, przyziemna — zniknęła na tej wysokości. Gdy dalsza wspinaczka stała się uciążliwa, przygotowali aparaty lotne.

— Będziemy się kierować na najbliższy grzbiet — powiedział Har, wskazując kierunek. — Powinniśmy pokonać tę odległość w dwóch skokach. Przypominam, że mamy niewiele materiałów napędowych.

Ostatnie słowa wypowiedział, patrząc wyraźnie w kierunku Teda, aby zaś nie było wątpliwości, dodał:

— Z tego też względu niewskazane są akrobacje w powietrzu.

Patrzyli, jak ruszył powoli, zawieszony na tle stromej, spękanej ściany. Gdyby nie drganie powietrza u wylotu dysz aparatu lotnego, mogłoby się wydawać, że niewidzialna lina holuje go w górę. Zatrzymał się przylegając nagle do — zdawałoby się — gładkiej w tym miejscu ściany. Ted podniósł do oczu lornetę i dopiero przy jej pomocy dostrzegł niewielką półkę, na której osiadł Har. Przez chwilę można było obserwować, jak szuka miejsca dla wbicia haka. Stłumione uderzenia



młotka dobiegły najpierw za pośrednictwem radia, a potem, jak echo, bezpośrednio do uszu oczekujących na dole. Ewa i Ted spojrzeli na siebie równocześnie. Po raz pierwszy przekonali się, że głos biegnie wolniej od fal elektromagnetycznych...

— Opuszczam linę — zabrzmiało w słuchawkach i po chwili cienka, zakończona dwiema kluczkami linka zwisała tuż przed nimi.

Włączyli aparaty i ruszyli w górę. Har asekurował ich na wypadek, gdyby kierowany niezbyt wprawnymi rękami aparat lotny odmówił posłuszeństwa. Wybierał powoli linę, a Ewa i Ted — po raz pierwszy od wyruszenia z grotu — mogli spokojnie rozejrzeć się dokoła. Ten sposób podróżowania był o wiele przyjemniejszy od mozolnego „skrobania się” pod górę. Byli teraz wysoko ponad wierzchołkami lasu. Po prawej stronie ciągnęło się kamieniste osypisko, po lewej ściana stawała się zupełnie pionowa, a nawet jakby nieco przewieszona. W dole, po lewej stronie grani, którą dotarli do stóp ściany, zieleniał zarośnięty żleb, wcinający się głębokim kanionem w masyw skalny. Środkiem wąwozu, między gęstym kożuchem krzewów, przebłykiwało srebrzyste pasemko strumienia.

— Popatrz, woda! — Ewa trąciła Teda łokciem. — Pierwszy strumień, jaki spotykamy na tej planecie. Myślę, że dalej pójdziemy jego doliną... To znaczy, pójdziemy jutro, po powrocie z góry. W ten sposób najłatwiej trafić do jakichś osiedli tubylców...

— O ile oni potrzebują wody w tym stopniu, co my — mruknął Ted sceptycznie.

W podobny sposób przebyli następny odcinek ściany i znaleźli się na szczycie wąskiego grzebienia skalnego ciągnącego się aż po wierzchołek stanowiący cel ich wędrówki. Pozostawione w skale haki miały posłużyć w drodze powrotnej do opuszczania się w dół bez pomocy aparatów.

W szklach lornety nieznany obiekt przedstawiał się teraz jako jasny równoboczny trójkąt czy piramida o ostro zarysowanych, prostych konturach, wykluczających możliwość przypadkowego ich uformowania przez przyrodę. Wiodła ku niemu w miarę gładka droga wzdłuż grani, przecięta tylko wąską rozpadliną stanowiącą przedłużenie kanionu widzianego podczas wjazdu na górę. Trzeba było raz jeszcze uruchomić aparaty lotne, by wykonać trzydziestometrowy skok na przeciwną krawędź żlebu. Powiązani linką wszyscy troje oderwali się od zbocza. Ted, który śledził uważnie dno wąwozu, zawołał nagłe:

— Patrzcie, tam, między krzewami, nad strumieniem!

W dole, niknąc wśród zieleni i pojawiając się w miejscach, gdzie roślinność była rzadsza, przemykały szybko trzy małe punkciki, kierując się wzdłuż strumienia w dół jaru. Har, który właśnie dotknął stopami skały po drugiej stronie rozpadliny, sięgnął po lornetkę i spojrział w dół. Nim jednak Ted i Ewa znaleźli się obok niego, ruchome postacie zaszyły się w gąszczu.

— Widziałem niewiele — powiedział Har — ale wydało mi się, że biegly

w pozycji wyprostowanej.

— Więc to oni! — zapalił się Ted. — Czy opuścimy się na dno jaru?

Har pokręcił przecząco głową i poprawił plecak.

— Nie, mój drogi. Mamy w tej chwili inne zadanie. Nie możemy biegać za każdym spotkanym tubylcem. W ten sposób niczego nie osiągniemy.

— Dlaczego mamy ich unikać.? — Ted nie potrafił opanować niecierpliwości.  
— Przecież nawiązanie kontaktu...

— Spadając prosto z nieba nie mielibyśmy zbyt wielu szans na nawiązanie kontaktu. Pewne jest natomiast, że napędzilibyśmy im strachu. Zanim spróbujemy zbliżyć się do nich, musimy o nich to i owo wiedzieć. A co wiemy?

Ted musiał w duchu przyznać, że niewiele, i bez dalszych protestów ruszył śladem Adlera, potykając się na kamieniach, bo głowę wciąż mimo woli zwracał to w lewo, to w prawo, wypatrując po dolinach tubylców czy choćby śladów ich obecności. Po obu jednak stronach grzbietu rozciągały się tylko dzikie, zarośnięte doliny, na dnie których połyskiwały cienkie strużki potoków. Jedynym śladem rozumnej działalności był ten trójkątny zarys przed nimi, kontrastujący z nierównymi, poszarpanymi grzebieniami skał, które co pewien czas przesłaniały jego widok.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

## O POTĘDZE MATEMATYKI, ZŁODZIEJACH I NIEZBYT ODWAŻNYM POTWORZE

W miarę zbliżania się do niego, trójkąt nabierał kształtów bryły. Jego lśniąca powierzchnia uwypukliła się w pobocznicy stożka spoczywającego podstawą w środku równej jak stół płaszczyzny szczytu. Miał około dziesięciu metrów wysokości i tyleż średnicy u podstawy.

Srebrzysta jak zwierciadło powierzchnia była jednolita i gładka. Otoczenie oczyszczone z głazów i jakby specjalnie zniwelowane sprawiało, że stożek wyglądał jak pomnik w środku brukowanego miejskiego placu jakiegoś starożytnego miasta. Porównanie takie nasunęło się oczywiście tylko Adlerowi. Ewa i Ted przystąpili od razu do bliższych oględzin stożka. Po przeciwległej jego stronie, na wysokości ludzkiej twarzy, widniało kwadratowe zagłębienie, którego dno pokryte było rzędami wypukłości, przypominających główki śrub czy nitów.

Har, przywołany w to miejsce, z nadzieją oglądał z bliska i przez lupę owe wypukłości. Ostrożnie zbliżywszy palec, nacisnął pierwszy z brzegu guziczek. „Nit” cofnął się bez oporu na kilka milimetrów w głąb ściany, a po odjęciu palca powrócił do pierwotnego położenia. Har nacisnął kolejno kilka przycisków bez żadnego jednak widocznego rezultatu.

Przycisków było sześćdziesiąt cztery — osiem rzędów po osiem w każdym. Dawały się wciskać kolejno i po kilka naraz, a nawet wszystkie razem.

— No i co nam powiesz, specjalisto od tajemniczych budowli? — zapytał Har poważnie, patrząc na Teda. — Czyżby gospodarzy nie było w domu? Na dzwonek nie odpowiadają!

— Myślę — powiedział Ted niepewnie — że to jest zamek szyfrowy...

— Na to wygląda. Trzeba jednak jeszcze znaleźć szyfr oraz... drzwi, które on otwiera.

— Przy tej ilości przycisków liczba kombinacji jest wprost niewyobrażalna. Nie zgadniemy, które należy wcisnąć, a które muszą pozostać nie wciśnięte, by urządzenie zadziało.

— Jeśli to jest dzieło twórców „Starej Bazy”, to znając ich upodobania do drążenia tuneli w skałach, można przypuszczać, że pod stożkiem znajduje się zejście

do podziemi — zauważyła Ewa.

— Tylko że tam nie stosowano takich przemyślnych zabezpieczeń — powiedział Ted.

— To chyba nie powinno nas dziwić — wtrącił Har. — Tam, na nie zamieszkaanej Orfie, nie było przed kim zamykać. . .

— Więc przyjmujemy hipotezę, że i Starą Bazę, i ten stożek zbudowały te same ręce? — zapytała Ewa.

— O rękach nie było mowy! — zaśmiał się Har. — Powiedzmy raczej: macki. Istoty pozaziemskie powinny mieć macki. Tak piszą we wszystkich prawie powieściach. A tak zupełnie poważnie mówiąc, to jestem skłonny posądzać o to przybyszów spoza tego układu.

— Dlaczego nie mieszkańców Flory? — zagadnęła Ewa.

— Te dzikusy na etapie struganego kija? — oburzył się Ted. — Oni mieliby wznosić takie budowle? I może jeszcze latać na Orfę? Nonsens!

— Mylisz się, Ted! — zaproponował niespodziewanie Har, który raz jeszcze zabrał się do oglądania przez lupę powierzchni stożka. — To, że potrafią zastrugać kij, nie określa górnej granicy ich możliwości, tylko dolną.

— Hm. . . Niby racja. . . — zgodził się Ted po chwili namysłu. — Może w chwilach wolnych od genialnych poczynań zajmują się głupstwami, rzucają patykami w istoty przybyłe z innego układu planetarnego i tak dalej. . .

— Wcale nie powiedziałem, że to Floryci zbudowali stożek — wyjaśnił Har spokojnie. — Nie chcę tylko, byśmy sobie wmawiali jakieś zdanie na temat ich inteligencji. Lepiej przecenić niż nie docenić ich możliwości. A co do stożka, to jednak wydaje mi się, że został zamknięty przed Florytami.

— Przez kogo?

— Przez budowniczych oczywiście!

— Może jedni Floryci ukryli tu coś przed innymi? Na przykład jakaś lepiej rozwinięta rasa przed inną, żyjącą w stanie półdzikim? — podsunęła Ewa.

— Ciekawa myśl! — podjął Adler. — Prościej jednak będzie założyć, że to przybysze z zewnątrz zamknęli tu coś przed Florytami. Z punktu widzenia teorii rozwoju społeczeństw trudno przypuścić, by na jednej planecie żyły dwa gatunki istot rozumnych o tak diametralnie różnym stopniu rozwoju. . . Zresztą, dyskusja zaczyna być jałowa. Trzeba otworzyć ten stożek, dotrzeć do wnętrza, a wtedy na pewno wiele się wyjaśni.

— Pozostaje nam chyba palnik plazmowy. Nie mamy go jednak ze sobą — zauważył Ted. — A nawiasem mówiąc, bardzo bym się śmiał, gdyby to się okazało litą bryłą. . .

— Zdaje się, że to jest jakieś tworzywo ceramiczne o niebywalej twardości — powiedział Har, chowając sklerometr. — Żadna naturalna siła tego nie nadgryzie, a i z pomocą palnika nie będzie to łatwe. Poza tym nie chciałbym się uciekać do

tak brutalnych metod. Jeśli to się w ogóle otwiera, to powinniśmy poprobować rozumem, nie siłą. . .

— A jeśli nie? Może nie otwiera się w ogóle? Może to tylko znak obecności przybyszów na planecie?

— Może. . . — mruknął Har. — Umieścili ten stożek w tak widocznym miejscu. . . To może być znak dla Florytów. Oznaczałoby to, że Florycy byli w stanie tak niskiego rozwoju, iż przybysze nie mogli się im przedstawić, dojść do porozumienia. . .

— . . . i pozostawili ten znak swej obecności dla przyszłych pokoleń, które potrafią zrozumieć jego znaczenie — przerwał mu Ted. — Stożek zbudowany jest w ten sposób, jakby jego zadaniem było przetrwać wszelkie kataklizmy na przestrzeni tysięcy lat!

— Jeśli tak. . . — zaczął Har powoli — . . . to szukajmy klucza! Zostawiając dla Florytów ten stożek, musieli zostawić i klucz do jego wnętrza!

— Po co, według ciebie, aż tyle kombinacji? Nie prościej byłoby pozostawić to otwarte?

— Nie! Po pierwsze, chodziło o zabezpieczenie przed wpływami atmosferycznymi. Po drugie, Florycy byli zbyt zacofani w stosunku do przybyszów i mogliby zniszczyć to, co im pozostawiono. Jeśli kiedykolwiek dojdą do takiej fazy rozwojowej, że zaczną badać swą planetę, będą szukali sposobu dostania się do stożka. Gdyby nie te przyciski, można by sądzić, że otwarcie stożka przeznaczone im było na etapie palnika termojądrowego. Przyciski zamka szyfrowego świadczą, iż wymagano od nich raczej umiejętności logicznego wnioskowania. . .

— Czego więc mamy szukać? — spytał Ted.

— Jakiegoś znaku, instrukcji w postaci rysunku czy czegoś w tym sensie. . . Obejrzyjcie dokładnie całą powierzchnię stożka, od góry do dołu.

Unieśli się przy pomocy aparatów lotnych i zawieszeni tuż przy gładkiej powierzchni balansowali coraz wyżej, z szumem silników, jak trzy wielkie trzmielce wokół kielicha kwiatu. Ewa dotarła pierwsza do wierzchołka i zawieszona nad spiczastym zakończeniem stożka badała powierzchnię srebrzystej tafli.

— Jest! — zawołała nagle, opadając nieco niżej. — Wierzchołek jest zakończony maleńkim płaskim ścięciem o powierzchni nie większej od paznokcia. Tu, na tym kółku, jest coś wryte, jakieś znaki. . . Nie widzę dobrze, ten aparat strasznie huśta. Chwileczkę!

Ewa opuściła się nad samą powierzchnię, a potem wyłączwszy aparat objęła rękami wierzchołek i tak zawieszona, mając przed oczami maleńkie płaskie ścięcie, dyktowała:

— Tu są wryte same kropki! Ułożone są kolumnami, jak otwory w taśmie programowej starego typu. W pierwszej jest. . . jedenaście, dalej siedem, pięć, trzy, dwa. To wszystko.

Włączyła silnik i po chwili była na dole. Har trzymał przed oczami notes z wypisanym rzędem cyfr. Ewa wyrysowała punkty w takim porządku, w jakim były wryte.

— To na pewno klucz cyfrowy! — zawołał Ted i pobiegł do przycisków. — Jak tam było? Jedenaście, siedem. . .

Odliczył kolejno i wcisnął odpowiednie przyciski.

— Nic! — zakomunikował zawiedzionym głosem.

— Ho, ho! — zaśmiał się Har. — To wcale nie musi być takie proste! Takie załatwienie sprawy miałoby tyle sensu, co zostawienie klucza pod wycieraczką. . .

— Pod czym? — zdziwili się chórem Ewa i Ted.

— Ech, do licha! Z wami nie można porozumiewać się za pomocą przerośni z epoki przedkosmicznej! — mruknął Har. — W każdym razie pozostaje nam jeszcze ruszyć głową.

— Widocznie to. . . jeszcze nie wszystko — powiedział Ted niepewnie.

— Może należy na to inaczej spojrzeć. . . — medytował Har, obracając we wszystkie strony notes. — Na przykład od końca. To wygląda na jakąś serię prawidłową. Dwa, trzy, pięć. . . A przycisków jest sześćdziesiąt cztery! Trzeba zatem znaleźć dalsze liczby tego ciągu! No, matematycy! Ruszyć mózgiem. Ja na szczęście jestem historykiem, więc nie muszę.

— Gdyby tak mieć choćby maleńki kalkulator cyfrowy! — burczał Ted, bazgrząc pracowicie na kawałku papieru. — W mig by to zanalizował i podał wynik.

Przez piętnaście minut wszyscy troje zawzięcie liczyli, przestawiali tych kilka cyfr na wszystkie możliwe sposoby.

— Nieee! — pierwszy zbuntował się Ted. — To nie ma sensu! Nie ma reguł, które dawałyby następne człony tego szeregu! Nie ma. . .

Urwał nagle, wpatrzony w kartę, a potem wykrzyknął radośnie:

— Mam! Mam szereg, który nie daje się przedstawić w postaci wzoru! Przecież to pięć kolejnych liczb pierwszych! Potem będzie trzynaście, siedemnaście i tak dalej. . .

Wypisał szybko na kartce kolejne liczby pierwsze w zakresie do sześćdziesięciu czterech i podał Harowi. Mozolnie odliczając, znaczyli ołówkiem odpowiednie przyciski.

— Znowu nic! — westchnął płaczliwie Ted. — Może to jest popsute?

— Poczekajcie! — zawołała nagle Ewa. — A kto nam powiedział, że przyciski należy numerować od lewej do prawej?

Spojrzeli na nią, nie rozumiejąc w pierwszej chwili.

— Ależ tak! — pierwszy zorientował się Har. — Trzeba spróbować ponumerować je z góry na dół!

— Albo z dołu do góry, albo z prawej w lewą! — uzupełniła Ewa. — To tylko m y jesteśmy przyzwyczajeni do czytania z lewa w prawo!

— Do licha! Oni liczyli na nieskończoną cierpliwość Florytów! Próbujmy! — westchnął Har z rezygnacją.

Próbowali naciskać we wszystkich możliwych konfiguracjach. Niestety, srebrny stożek nie drgnął nawet. Dopiero, gdy zrezygnowani usiedli pod jego ścianą, by odpocząć, Har wpadł na nowy pomysł:

— A może... trzeba wcisnąć wszystkie guziki oprócz tych, które odpowiadają liczbom pierwszym?

Poskutkowało już przy pierwszym wariacie, to znaczy z lewa w prawo. Lustrzany stożek uniósł się bezgłośnie na przeszło półtora metra w górę, odsłaniając wnętrze. Wyglądał teraz, jak ogromny grzyb osadzony na grubej „nodze”, wystającej ze środka kolistego otworu w skale. Grubość ścian przekraczała pół metra. Har aż gwizdnął na ten widok.

— A to byśmy mieli zabawę z plazmotronami... Szczęście, że obeszło się bez tego. Zaczynam doceniać potęgę matematyki...

— To był prawdziwy test na inteligencję — sapnął z dumą Ted. — Gdybym nie wpadł na ten pomysł z liczbami pierwszymi...

— Owszem, to był test — zgodził się Har. — Ale nie dla nas, przemądrzałych przybyszów z kosmosu. To był egzamin z podstaw matematyki i logiki...

— Nie ma zatem powodu do przesadnych zachwyków nad własnymi zdolnościami — dodała Ewa.

Ted udał, że nie słyszy, pochylony nad włazem szybu, z którego wystawała kolumna wspierająca uniesiony w górę stożek. W głąb otworu prowadziły kręte schodki. Wysokość stopni wskazywała, że nie budowano ich dla ludzi — były zbyt wysokie dla ludzkich nóg.

— Schodzimy? — rzucił niecierpliwie Ted.

— Za chwilę i nie wszyscy. Musimy zameldować Maxowi o naszym odkryciu i dalszych planach.

Z wierzchołka góry nie było widać polany, na której pozostał „Sum”: kryły ją nisko wiszące mgły czy obłoki. Nawiązanie łączności nie sprawiło jednak kłopotu. Max zgłosił się natychmiast. Wysłuchawszy raportu obiecał przesłać go natychmiast do bazy na Orfę. Potem Har i Ewa zniknęli we wnętrzu szybu, a Ted z kwaśną miną, lecz bez protestu, pozostał przy złożonych na zewnątrz stożka plecakach. Niecierpliwie oczekując powrotu towarzyszy, rozglądał się po okolicznych skałach, zasnuwających się coraz wyraźniej mgiełką niskich chmur. Nagły szmer kropeł uderzających o folię plecaków w jednej chwili przerodził się w bębnienie. Równocześnie błysnęło i nagły huk ogłuszył Teda. Zerwał się, chcąc schronić się pod stożkiem, lecz zdążył tylko zobaczyć, jak cała ogromna bryła osiada na powrót w swym kolistym łożu. Przerażony, podbiegł do zamku i wcisnął odpowiednie guziki. Bez skutku. Stożek ani drgnął. Drugi błysk i uderzenie pioruna odrzuciły Teda do tyłu. Odbiegł w stronę, gdzie grzbiet obniżał się nieco

i zapadał w szczelinę skały. Trzeci piorun uderzył w wierzchołek stożka stanowiący wspornik piorunochron.

Wiszące nisko chmury przestłoniły widok. Silny wiatr pędził je i rozmiatał, a strugi deszczu siekły z niebywałą siłą. Ted, leżąc skulony na dnie niewielkiej koleby, przypomniał sobie nagle, że tam, przy bagażu, została radiostacja. Nie zabezpieczona żadnym przykryciem aparatura mogła ucierpieć od zalewających ją potoków wody...

Jednym susem dopadł radiostacji i osłaniając ją sobą powrócił do rozpadliny. Tu przynajmniej nie zacinało tak mocno. Ubiór chronił Teda przed wilgocią i zimnem. Jedyne niebezpieczeństwo tam, na otwartej płaszczyźnie szczytowej, stanowić mogły wyładowania atmosferyczne. Po chwili wahania włączył radiostację. W powodzi nieustannych trzasków z trudem udało mu się odnaleźć stłumiony sygnał kontrolny. Głos Maxa przedzierał się spoza szumów, chwilami zanikając zupełnie.

— Stała się zagadkowa rzecz! — krzyczał Ted w mikrofon. — Stożek zamknął się, a oni pozostali wewnątrz!

— Próbowałeś otworzyć?

— Tak, ale bez rezultatu. Czyżby popsuł się zamek?

— Masz z nimi łączność?

— Nie. Ten stożek tłumi fale radiowe.

— Spróbuj Morseem.

— Jak?

— Najprościej. Kamieniem w ścianę!

— Wiesz? Nawet mi to do głowy nie przyszło! — ucieszył się Ted, lecz po chwili zasepił się ponownie. — Ale to na nic. Oni są na dole, w głębi szybu i nie wiedzą pewnie o niczym. Nie usłyszą.

— Może ruszyli jakiś mechanizm tam, wewnątrz?

— Możliwe. Nie wiem, co dalej robić? Czekać? A jeśli potrzebują pomocy?

Tu u mnie szaleje burza z piorunami i trochę się boję podchodzić do stożka...

— Zaraz coś wymyślimy. Czy oni mieli rezerwę tlenu?

— Nie. Tylko maski do oddychania w atmosferze Flory.

— To niedobrze. Jeśli burza nie ustanie dość szybko, mogą się podusić...

— Myślisz, że to burza jest przyczyną zamknięcia stożka?

— To jedyne chyba wyjaśnienie... Jeśli oni czegoś nie popsuli w środku.

— Burza nieco przycicha, ale deszcz ciągle leje. Spróbuję do nich zastukać.

Ted chwycił spory odłam skały i dźwigając go obiema dłońmi, podbiegł do ściany. Uderzenia zabrzmiały dudniącym echem, po chwili odpowiedziały im znacznie słabsze ze środka. Mozolnie wystukując znaki Morse'a porozumieli się jakoś.

— Oni niczego nie dotykali — zakomunikował Ted wracając do radiostacji.



— W takim razie stożek opadł automatycznie pod wpływem burzy. Widocznie przewidziano tę ewentualność. Albo... ktoś go umyślnie zamknął, aby woda nie zalała wnętrza.

— Mówią, że nikogo nie spotkali tam, na dole.

— I co jeszcze?

— Nic. Niewiele można w ten sposób zakomunikować. Ręce bołą.

— Myślę, że z chwilą ustania deszczu stożek otworzy się sam. Przecież mogłoby to spotkać Florytów, gdyby udało im się wreszcie otworzyć ten zamek.

— Ależ... deszcz może padać i padać, a oni się tam poduszają! — zaniepokoił się Ted.

— Zaraz powiadomię Adama, a sam wyruszę rotoplanem zabierając palniki. Nie mamy co prawda zbyt wiele materiału napędowego. Miało go starczyć na badanie dalszych rejonów, ale w tej sytuacji nie ma wyboru... Boję się tylko zostawić raketę bez dozoru... Ale postaram się jakoś ją zabezpieczyć. Czekaj na mnie, będę tam najdalej za pół godziny.

Deszcz przycichał chwilami to znów wzmagął się, a stożek wciąż tkwił nieporuszony. Minęło pół godziny, potem czterdzieści minut, wreszcie z rzednących chmur wyłoniła się sylwetka rotoplanu. Max wylądował pionowo na płaszczyźnie szczytowej. Ted podbiegł do wyskakującego z pojazdu pilota.

— Co się stało? Dlaczego tak długo?...

Max z rezygnacją machnął ręką.

— Bierz palnik i do roboty. Postukaj im, żeby się odsunęli od ściany i zeszedli w głąb szybu. Musimy szybko dostać się w rejon, gdzie przebywali ostatnio Adam i Wera...

— Jak to: przebywali? A gdzie są teraz?! — Ted zatrzymał się wpół kroku.

— Nie wiem. Ich radiostacja przestała odpowiadać w chwilę po mojej rozmowie z Werą. Właściwie, to nie skończyliśmy rozmawiać...

Deszcz ustawał. Gdy dowlekli do ściany stożka wielki palnik plazmowy, ostatnie krople rozbiły się o gładką powierzchnię. Wiatr osłabł, chmury zrzędy, pojaśniało nieco.

— Myślisz, że weźmie? — Ted z powątpiewaniem popatrzył na palnik i na ścianę.

— Powinien. Był przeznaczony do drażenia skał...

W tej samej chwili stożek drgnął i powoli uniósł się w górę. Spod jego dolnej krawędzi wyrzwały twarze uwolnionych „więźniów”.

— Uff! Miałeś rację, Max. To rzeczywiście było związane z deszczem — ucieszył się Ted. — Obeszło się bez psucia ściany.

Har popatrzył ze zdziwieniem na Maxa, potem na Teda, wreszcie z niezadowolaniem na rotoplan.

— A to co znowu? Kto pilnuje „Suma”?

— Zabezpieczyłem raketę tak, że nikomu nie życzę jej dotykać — wyjaśnił Max. — Stopy wsporników są wykonane z nieprzewodzącego prądu materiału ceramicznego. Podłączyłem napięcie między korpus „Suma” a ziemię...

— Co? Nie wolno tego robić! Jeśli ktoś dotknie...

— Nic mu się nie stanie, napięcie nie jest wysokie.

— Skąd wiesz, jakie napięcie jest wysokie dla Florytów?

— Nic mnie to nie obchodzi — burknął Max. — Nikt im nie każe dotykać!

— Głupio gadasz! — ofuknął go Har, lecz Max nie dał mu dojść do słowa:

— Zanim zaczniesz występować w ich obronie, posłuchaj!

Przekręcił kontakt fonografu krystalicznego, który wydobył z kabiny rotoplanu. Z głośnika zabrzmiał fragment rozmowy. Rozmawiali Max i Wera. Potem Wera oddaliła się od mikrofonu. Przez chwilę panowała cisza, potem nastąpiło kilka trzasków i chrząknięć, jakby ktoś prznosił nadajnik przez zarośla i uderzał mikrofonem o gałęzie. Kilkakrotnie powtarzane wywołanie Maxa pozostało bez odpowiedzi.

— Co to ma być? — spytał Har patrząc na Maxa.

— Nagranie mojej rozmowy z Werą. Ale to jeszcze nie koniec, słuchajcie dalej!

Głośnik fonografu stukał i chrypiał, to znów cichł zupełnie. Nagle spośród tych dziwnych odgłosów zabrzmiało wyraźne, niskie buczenie, przechodzące w coraz cieńszy pisk. Ted, Ewa i Har popatrzyli na siebie, potem na Maxa.

— To oni... — powiedziała cicho Ewa. — Czyżby... zaatakowali Werę i Adama?

— Myślę, że raczej zabrali im radiostację — powiedział Har niepewnie. — Mając aparaty lotne powinni byli zdążyć... usunąć się w bezpieczne miejsce...

— Dalej nie nagrywałem. Uważam, że to wystarczy. Musimy spieszyć im z pomocą. Bez nadajnika nie dadzą sobie rady.

— W razie niebezpieczeństwa wystrzeliliby raketę świetlną! — przypomniała Ewa. — Jeśli tego nie zrobili, to albo są bezpieczni, albo...

— Nie ma na co czekać. Lecę w ich kierunku, mogę zabrać jedną osobę do rotoplanu — przerwał Max.

— Zaczekaj! — powiedział zdecydowanie Har. — Na jakim kanale rozmawiałeś z Werą?

— Na szóstce. Co chcesz zrobić?

— Posłuchać.

— Ależ... naprawdę szkoda czasu. Jasne, że Florycy opanowali radiostację...

— Opanowali? — przez twarz Hara przebiegł lekki uśmiech. — Ręczę ci, że nie mają pojęcia, do czego to służy!

— Skąd wiesz, co oni wiedzą, a czego nie? — oponował Max. — Wydaje mi się, że oni nie są tacy głupi, za jakich ich mamy!

— Niewątpliwie. Niemniej jednak jestem pewien, że. . . Zresztą zaraz się przekonamy.

Har włączył odbiornik, przez chwilę dostrajał się do właściwego kanału, a gdy szmery w głośniku oznajmiły, że zaginiony nadajnik wciąż pracuje na tej samej fali, przykucnął nad aparaturą. Wszyscy otoczyli go nadsluchując. Buczenie i sapanie powtarzało się co chwila. To był niewątpliwie głos Floryty, wlokącego przez gąszcz aparaturę nadawczą. Nagle do głosu tego dołączył drugi, gwałtowny i wysoki, jakby wzburzony i zagniewany. Przez chwilę rozbrzmiewał ten piskliwy duet, nastąpiła jakaś szarpanina i gwałtowny, prawie ludzki wrzask. Wszyscy drgnęli. Nie był to jednak głos człowieka. Ścichł, jakby oddalił się od mikrofonu i zamarł. Drugi głos powtórzył kilka razy krótką, piskliwą melodyjkę i znów przy akompaniamencie pochrapywań i stuków nadajnik powędrował przez zarośla.

Słuchali w napięciu, oczekując decyzji Hara. Max niecierpliwie zerkał w stronę rotoplanu. Ted spoglądał co chwila w doliny nie przesłonięte już chmurami. Trwało to przez kilkanaście minut. Nikt się nie odezwał, nie padło ani jedno słowo. I nagle — najniespodziewaniej w świecie — głośnik ucichł. Po chwili rozległ się trzykrotnie powtórzony krótki świst, szelest i tupot szybko oddalających się kroków.

A po kilkunastu sekundach stała się rzecz, której nikt nie oczekiwał: z głośnika popłynął nieco zadyszany głos Adama.

— Tu grupa dwa do „Suma”, czy mnie słyszysz?

Zasypany pytaniami zrelacjonował pokrótce wydarzenia ostatnich kilkunastu minut.

W czasie gdy Max rozmawiał z Werą, Adam znajdował się na środku sporej polany wśród rozległego obszaru puszczy na północ od miejsca lądowania. Wera usiłowała wezwać go za pomocą nadajnika krótkiego zasięgu, lecz odbiornik Adama był wyłączony, a on sam — pochłonięty całkowicie obserwacją i fotografowaniem jakiegoś niezmiernie interesującego drobnego zwierzątka myszkującego wśród traw zarastających obficie polanę. Z tego to powodu Wera musiała zbliżyć się ku środkowi polany, pozostawiając na chwilę nadajnik i leżące obok niego pojemniki z zebranymi dotychczas próbkami geologicznymi i okazami roślinności. Z plecakami i miotaczami, na szczęście, nie rozstawali się przez cały czas. Krótka nieobecność Wery wystarczyła, by leżący na ziemi w odległości kilku kroków od skraju zarośli nadajnik zniknął. Natychmiast zresztą próbowali szukać śladów sprawcy kradzieży. Od miejsca, gdzie leżał przed chwilą aparat, wiódł w stronę lasu wąski i niezbyt wyraźny szlak przydeptanej, lecz szybko podnoszącej się roślinności. Pod pierwszymi drzewami szlak urywał się. Niewykluczone, że złodziej uszedł koronami drzew. Pościg za nim nie miał najmniejszego sensu, powrócili więc do przerwanych zajęć z zamiarem wystrzelenia świetlnej rakiety sygnałowej dla uspokojenia Maxa. Adam wpadł jednak na myśl, że porwanie radiostacji — jeżeli dokonali go tubylcy — mogło mieć bardzo istotne znacze-

nie dla ustalenia położenia ich osiedla: pracujący nadajnik wskazałby nieomylnie kierunek... Nim jednak zdążyli rozważyć płynące stąd korzyści i zabrali się do wydobywania raketnicy i przygotowania rakiet o odpowiedniej barwie, od strony lasu dobiegły nagle nieznane, wysokie dźwięki. Gdy spojrzeli w tę stronę, na tle zarośli mignął tylko podłużny, smukły cień i zapadł w gąszcz o dwadzieścia kilka metrów od miejsca, gdzie stali. I tym razem ślady na zgniecionym dywanie roślinności wiodły ku gęstwinie.

Nie uszkodzony i pracujący wciąż aparat leżał w miejscu, gdzie ślad się urywał.

— Jeśli potraficie, to wyjaśnijcie nam, co należy o tym sądzić I — zakończył relację Adam.

— Nie ulega wątpliwości, że to byli Floryci — zaczął z przekonaniem Max. — Przypuszczam, że chcieli zbadać, do czego służy i jak jest zbudowana nasza radiostacja...

— No, no! — pogroził mu Har. — Nie próbuj nam wmawiać, że w to wierzysz!

— A dlaczegoż by nie? — mruknął Max przekornie. — Lepiej przecenić ich możliwości niż dać się zaskoczyć.

— O, właśnie! Aby nie dać się zaskoczyć, leć do „Suma” i pilnuj go jak oka w głowie! Jeśli i raketę skradną, mogą być kłopoty — powiedział Adler poważnie.

— Dobrze, już idę — Max ruszył niezdecydowanie w kierunku rotoplanu — tylko powiedz choć w paru słowach, co jest w tym stożku.

— Właśnie — dorzucił Ted. — Jeżeli to ma być próba naszej cierpliwości, to możecie się nie trudzić. Sam się przyznam, że jestem ogromnie ciekawy.

Har i Ewa spojrzeli po sobie.

— Ależ nie! — powiedziała Ewa. — Chodzi o coś zupełnie innego...

— O pierwszą reakcję Teda, gdy... to zobaczy — rzekł Har. — Nic więcej nie możemy teraz powiedzieć, bo będzie myślał nie wiadomo co, a chodzi tylko o jego bezpośrednią reakcję bez żadnych uprzedzeń.

Max pokręcił głową, ale nic już nie powiedział. Po chwili rotoplan oderwał się od skały.

Har popatrzył za nim, a potem z wolna ruszył w kierunku pozostawionych koło stożka plecaków.

— Schodzimy — powiedział stanowczo, nim Ted zdążył zaprotestować. — Jest późno, musimy przed nocą zdążyć do pieczary. Wrócimy tu jutro.

Podczas zejścia rozmawiali wyłącznie o przygodzie z radiostacją.

— Floryci zachowują się raczej dziwnie: najpierw kradną, potem odnoszą... O co im właściwie chodziło w tym wypadku? Czy chcieli w ten sposób zadokumentować swe przychylnie nastawienie wobec nas?

— Może po prostu jeden ukradł, a drugi zabrał mu i odniósł na miejsce? To byłby argument na korzyść hipotezy Ewy o zróżnicowaniu ich charakterów: są widać wśród nich uczciwi i nieuczciwi. To by świadczyło o wysokim poziomie społecznego rozwoju! — zaśmiał się Har.

— W tym wypadku byłabym raczej skłonna przypuszczać — wtrąciła Ewa — że chodzi im jedynie o uniknięcie konfliktu z nami. Ten, który zakradł się na miejsce postoju biologów, bez zastanowienia popełnił głupstwo, a ono, zdaniem pozostałych, mogło ściągnąć kłopoty na całą społeczność.

Gdy docierali do znajomej polany z jaskinią, było już dość ciemno. Otaczający ich las rysował się ścianą czarnego cienia. Cisza zalegała polanę i zarośla, powietrze było spokojne i nawet najłżejszy szelest nie dobiegał od zwartej gęstwiny liści i pnączy.

— Wierzyć się nie chce, że tam, w tym gąszczu, żyją jakieś istoty, i do tego rozumne — powiedział Ted, rozpinając we wnętrzu pieczary namiot.

— Sądząc z ich poczynañ w stosunku do nas — powiedział Har — nie należy się obawiać otwartego ataku. Są, zdaje się, świadomi naszej nad nimi przewagi. Nie oznacza to jednak, abyśmy mieli zaniechać wszelkich ostrożności. Na wszelki wypadek spać będziemy w maskach oddechowych i w pełnym ubiorze planetarnym. Gdyby zaszła nagła potrzeba otworzenia namiotu, nie byłoby czasu na ubieranie się.

Ze względu na spóźnioną porę zadowolili się kolacją z koncentratów. Potem Har wyszedł z jaskini, by umieścić na polanie czujniki zbliżeniowe, mające chronić ich przed niespodziewaną nocną wizytą. Gdy włączył pierwszy czujnik, w jaskini rozległ się potężny głos brzęczyka.

— Czuły jest — mruknął Har powracając i wyłączając sygnał. — Cała bieda w tym, że nie selektywny. Byle nietoperz postawi nas na nogi w samym środku nocy.

— Mam nadzieję, że nie ma tu nietoperzy — zauważyła Ewa sennie.

Ułożywszy śpiwory w taki sposób, aby mieć w polu widzenia wejście do jaskini, wsunęli się w nie i wyciągnęli wygodnie.

— Sprawdźmy jeszcze, czy u Maxa wszystko w porządku — powiedział Har, przysuwając ku sobie radiostację.

Max zgłosił się po pierwszym wywołaniu. Adam i Wera byli już w rakiecie. Według Maxa wszystko było „w zasadzie” w porządku: podczas jego nieobecności rakiecie nie stało się nic złego, na polanie nie znaleziono śladów czyjejkolwiek bytności, tylko...

Max, opuszczając „Suma”, poza podłączeniem ochronnego napięcia do pancierza rakiety, powiesił pomiędzy jej trzema wspornikami, którymi opierała się o grunt, miniaturowy mikrofon połączony z urządzeniem rejestrującym w kabinie. Mikrofon zwisał na cienkim kabelku i aby go dosięgnąć, trzeba by było wspiać się po konstrukcji będącej pod napięciem wspornika. Umieszczając w ten sposób

mikrofon Max żywił nadzieję zapisania na taśmie głosu Florytów, gdyby ciekawość przywiodła ich w pobliże rakiety.

Po powrocie Max oczywiście w pierwszym rządzie przesłuchał zapis. Taśma nie była pusta: w niespełna pięć minut po odlocie rotoplanu zbliżyły się do „Suma” bezszelestnie jakieś istoty (ich zbliżenia się nawet czuły mikrofon nie zdołał zarejestrować), które porozumiewając się skąpo, urywanymi dźwiękami, krążyły przez chwilę wokół rakiety. Potem nastąpił ostry wykrzyk, który Max zinterpretował sobie jako okrzyk bólu, wywołanego dotknięciem metalowej, a więc będącej pod napięciem, części wspornika. Nie odstraszyło to jednak widocznie ciekawych gości, bo głosy słysząc było nadal.

— Wynika stąd — wtrącił Har — że oni mają nas pod ciągłą obserwacją. Wiedzieli, że wszyscy opuściliśmy raketę, i wykorzystali to, by ją z bliska obejrzeć.

— Wynika stąd także — dodał Ted, który mimo zmęczenia nie zasnął jeszcze, a opowieść Maxa zainteresowała go żywo — że dość racjonalnie rozumują. Gdyby byli kompletnymi dzikusami, taki „atak” ze strony martwego przedmiotu musiałby ich spłoszyć!

— Poczekajcie! — przerwał im Max. — Nie koniec na tym. W pewnej chwili zapis urwał się nagle. Dalej była czysta taśma. Pomyślałem, że, być może, mikrofon się popsuł, i wyszedłem z rakiety, by to sprawdzić. Wisiał tak samo, jak powiesiłem go odlatując. Dopiero gdy wspiąłem się po kratownicy wspornika i przyciągnąwszy ku sobie kabel, na którym był zawieszony, obejrzałem go dokładnie, przyczyna zamknięcia zapisu stała się jasna: kabel był przerwany i... wyobraźcie sobie... elegancko związany na supełek!

— Cooo?! — wykrzyknął Ted z niedowierzaniem.

— Po prostu: zerwali i aby naprawić szkodę, związali na supeł — odparł Max, tłumiąc chichot. — Mało nie spadłem na ziemię ze śmiechu, kiedy to zobaczyłem...

— Jak oni się tam dostali? Podsadził jeden drugiego czy jak? — zastanawiał się Har.

— Nie musieli tego robić. Mikrofon wisiał cztery metry nad ziemią...

— No, właśnie. A oni... — zaczął Har.

— Według Adama mają około trzech metrów wzrostu. Przy odpowiedniej długości przednich kończyn... — powiedział Max, lecz Har przerwał mu gwałtownie:

— Trzy metry, mówisz? To wyjaśnia wszystko! Od początku coś mi się tu nie zgadzało!

— Nie rozumiem! — Max był zaskoczony. — Przecież i wy widzieliście sylwetkę Floryty...

— Tak, ale ten nasz był wzrostu niewiele wyższego od przeciętnego człowieka! Od chwili, gdy to zobaczyłem, gnębiła mnie pewna myśl, błąkało się po głowie jakieś niejasne podejrzenie: dlaczego ten pierwszy spotkany na pierwszej

zamieszkałej przez rozumne istoty planecie reprezentant rozumnej rasy, jakiego udało się nam, ludziom, napotkać, posiada rozmiary tak bardzo bliskie naszym? Czyżby, spośród nieskończonej liczby możliwości, ten właśnie wymiar odznaczał się czymś wyjątkowym do tego stopnia, by natura obdarzyła nim wszystkie czy też większość istot rozumnych? Taki przypadek byłby niezmiernie mało prawdopodobny! Teraz zaś wszystko się zgadza. Nie przyszło nam to do głowy: wszak w każdym normalnym społeczeństwie muszą znajdować się — oprócz osobników dorosłych — również dzieci! Czym wyżej zorganizowana biologicznie jest żywa istota, tym dłużej trwa u niej okres dzieciństwa, dojrzewania fizycznego i psychicznego! Teraz dopiero jasnym się staje niekonsekwentne w naszym pierwszym mniemaniu postępowanie Florytów: zaczepki z ich strony były powodowane przez osobniki młode i nieodpowiedzialne. To dzieci Florytów rzucają patykami w przechodniów, ot tak, dla żartu, by się przekonać, co z tego wyjdzie. One także porwały nasz nadajnik radiowy. Spodobał im się, i tyle. Na Ziemi dzieci też przecież wyrabiają różności i nikt się temu nie dziwi, nie mówiąc już o szukaniu jakiegokolwiek logicznego wyjaśnienia ich poczynań. Wszystko tłumaczy nieopanowana ciekawość młodych istot.

— Święta racja! — przytaknął Max. — Sam, gdy byłem małym chłopcem. . .

— Daj spokój, stracisz autorytet u młodzieży! Lepiej nie opowiadaj — powstrzymał go Har. — Ważne, że wiemy, czego się trzymać. Dzieci floryjskie trochę nam pomieszały szyki, ale równocześnie dały poznać sposób postępowania dorosłych Florytów. Są oni wobec nas ostrożni i unikają zadrażnień. Starają się, abyśmy nie mogli mieć do nich żadnych pretensji. Wydaje mi się, że taka sytuacja jest nam bardzo na rękę. Być może pozwoli to nawet na łatwiejsze nawiązanie z nimi porozumienia. . .

— Nie bądźmy optymistami — mruknął Max. — Mamy zbyt mało czasu na kontakty dyplomatyczne. Dobrze będzie, jeśli zdołamy sformułować podstawowe dane dla następnej wyprawy do tego układu. . .

— No, to dobrej nocy! — uciał Har. — Kończę i wyłączam się!

Zamknął radiostację i położył się obok Teda. Za chwilę wszyscy spali.

Ted zerwał się półprzytomny. Było zupełnie ciemno. Sygnał alarmowy brzęczał mu jeszcze w uszach, lecz już od kilku sekund panowała cisza. Odruchowo sięgnął po broń. Miotacza nie było! Szukając po omacku natrafił na pusty śpiwór. Zerwał się na równe nogi i upadł natychmiast z powrotem na ziemię, zderzając się z kimś, kto właśnie przebiegł obok.

Zatracił całkowicie poczucie kierunku. Gdzie jest wylot jaskini? Potoczył dookoła wzrokiem, szukając jaśniejszego od czerni wnętrza — zarysu otworu. Dostrzegł tylko wąską, poziomą szparę, jakby coś przesłaniało wyjście. Równocześnie usłyszał szcęk metalu i w tej samej chwili sycząca iskra pomknęła gdzieś

z boku w stronę wylotu jaskini. Ognik trafił w jakąś przeszkodę, odbił się od niej i spadł na ziemię. Po sekundzie pękł z hukiem, rozbryzgując się w białą eksplozję światła. Na jego tle Ted dostrzegł pochyloną sylwetkę Hara. Błysk oślepił go. Gdy otworzył oczy, otwór wyjściowy przesłaniała już tylko ciemniejsza od nieba postać Adlera. Następny błysk wystrzelił już na zewnątrz grotu, poza polem widzenia, wyrывая na chwilę z ciemności zarys kilku bliskich drzew i skał. W jednej chwili Ted znalazł się obok Hara. Teraz dopiero spostrzegł Ewę, która stała oparta ramieniem o ścianę i wyglądała ostrożnie zza krawędzi otworu na zewnątrz.

Har trzymał w prawej dłoni raketnicę, w lewej miotacz. Strzelił jeszcze raz w powietrze, jaskrawy fajerwerk pękł na wysokości kilkudziesięciu metrów i opadł powoli, oświetlając całą polanę aż po skraj zarośli.

— Uciekł — powiedział Har i opuścił lufę.

— Co to było? — Ted usiłował rozejrzeć się w ciemności.

— Jakiś duży i ciężki zwierz. Zdaje się, rozdeptał czujnik — powiedział Har i zapalił ręczną lampę.

Oświetlając drogę przed sobą, zeszli niżej, na polanę. W miejscu, gdzie wieczorem Har pozostawił czujnik, widniały tylko wdeptane w ziemię szczytki. Zawrócili, ogarniając światłem skały i otwór jaskini.

— Wydaje mi się, że zajeliśmy cudze mieszkanie — powiedziała Ewa.

— Albo też coś miało na nas apetyt — dodał Ted. — Widziałeś, Har, co to było?

— Nie zdążyłem zauważyć. Musiał nadbiec bardzo szybko. Czujnik działa na odległość dwudziestu metrów. Zanim brzęczyk mnie zbudził, on już zdążył nadeprnąć na czujnik. Biegł prosto do jaskini. Możliwe, że tu mieszkał.

— Czym strzelałeś?

— Tym, co miałem w raketnicy: ładunkiem magnezji z opóźnionym zapłonem. To była rakietka oświetlająca. Chyba nawet nie poczuł tego strzału, ładunek odskoczył od niego, zanim się rozerwał. . .

— Przeraził go błysk — powiedział Ted. — Szkoda, że nie strzeliłeś z miotacza. To, zdaje się, mój miotacz?

— Chyba tak, chwyciłem, co mi w rękę wpadło. Ale na strzał było za blisko. On zakorkował sobą wejście. Jeszcze trochę i wyglądalibyśmy jak ten biedny czujnik.

Ted wyobraził to sobie i przebiegł go wewnętrzny, przykry dreszczyk. Flora nie była jednak tak sielankową planetą, jak się mogło zdawać na początku.

— Teraz doskonale rozumiem zamiłowanie Florytów do łażenia po drzewach — powiedział na głos.

— Mieliśmy trochę szczęścia. . . — mruknął Har. — Do rana trzeba będzie trzymać straż przy wejściu. Daliśmy się zwieść pozornemu bezpieczeństwu i spokojowi tej planety.



— To ja mogę posiedzieć kilka godzin — zaofiarował się Ted. — Rozbudziłem się zupełnie, i tak nieprędko bym zasnął.

— Zgoda — powiedział Har ziewając. — Tylko nie strzelaj niepotrzebnie. Najpierw rakiety.

— Zaczynam rozumieć drogę ewolucji Florytów — powiedziała Ewa. — Nie mogło tu być epoki jaskiniowej, bo jaskinie nie były bezpiecznym schronieniem.

— Na Ziemi też były przecież dzikie zwierzęta, niedźwiedzie jaskiniowe i tak dalej, a jednak... — zaproponował Ted.

— Ludzie bronili się przed nimi przy pomocy ognia...

— Tu także... — zaczął Ted i przerwał. — Zaraz, czy Florycy mogą znać ogień?

— Może nie znają.

— To świadczyłoby o ich ogromnie niskim poziomie rozwojowym!

— Niekoniecznie — wtrącił Har. — Zresztą, przekonamy się. Teraz spać!

Doba na Florze trwa dłużej niż na Ziemi. Noc była więc dość długa i mimo wizyty tajemniczego gościa — czy też gospodarza groty — do świtu pozostało jeszcze sporo czasu. Ted usadowił się blisko wejścia i z latarką w dłoni, oświetlając co pewien czas polanę, strzegł spokojnego snu towarzyszy. Wsłuchiwał się w ciszę i co chwila wyławiał z niej jakieś szelesty, trzaskanie gałązek, szmer krzewów. Floryjska przyroda żyła swoim własnym, nieznanym rytmem. Ted pomyślał, że wśród tego niezliczonego mnóstwa przeróżnych żywych istnień są i takie, które pomimo czyhających zewsząd niebezpieczeństw, mimo trudnych do przezwyciężenia przeszkód i przeciwności — dążą w kierunku najwyższej formy istnienia: świadomego bytu istoty rozumnej.

Po dwóch godzinach wartę objął Har. Do rana jednak nie pojawił się żaden nieproszony gość.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### O DZIWNYCH POMYSŁACH KOSMICZNYCH GOŚCI I O KONSEKWENCJACH ROZPIESZCZANIA ISTOTY ROZUMNEJ

Przy śniadaniu mówiono wyłącznie o nocnym gościu. Próbowano odtworzyć jego przypuszczalny wygląd i wymiary, ale okazało się, że każdy widział go inaczej. Najlepiej oczywiście mógł go widzieć Har, ale i on nie był skory do jakichś stanowczych stwierdzeń. Oczy człowieka wyrwanego ze snu, oślepięte jaskrawymi błyskami rac, niewiele mogły uchwycić. Temat więc wyczerpał się wkrótce.

Poszli znaną już trasą przez grań. Był wczesny ranek i góry wyglądały zupełnie inaczej niż ubiegłego dnia po południu. Skały były wilgotne i lśniły metalicznie, po dolinach wstawały mgliste opary, niknąc szybko w promieniach ostrego słońca.

— Wspaniały klimat! — zachwycił się Har. — Aż chętna bierze, by się wykąpać w tamtym jeziorku!

U podnóża gór, trochę na zachód od miejsca, gdzie wczoraj wyszli z lasu, widać było rzeczywiście granatową taflę wody.

— Może spróbujemy? Chyba woda tu taka sama, jak na Ziemi? — zaproponowała żartem Ewa.

— W kombinezonie i masce — powiedział Ted. — Inaczej tutejsze bakterie pożarłyby cię w mgnieniu oka.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie możemy zdjąć ubiorów ochronnych — dodał Har. — My, zaatakowani przez tutejsze bakterie, mielibyśmy jeszcze jakąś szansę stworzenia środków zapobiegawczych. Natomiast życie na tej planecie uległoby całkowitemu zakłóceniu, jeśli nie zagładzie: bakterie zawarte w ludzkich organizmach mogłyby zakazić przyrodę floryjską! Dla nas są one nieszkodliwe, bo organizmy nasze rozwijały się w ich obecności i wytworzyły naturalne środki obrony. Podobnie żywi mieszkańcy Flory — są uodpornieni na „własne” drobnoustroje, lecz byłiby bezradni wobec zupełnie obcych bakterii. Dlatego nie tylko nasze ubiory i sprzęt, lecz nawet pancierz rakiety został dokładnie odkażony.

— Przygotowanie lądowania na obcej planecie jest problemem znacznie trudniejszym, niż się wydaje — zauważył Ted z uznaniem. — Trzeba pamiętać nie

tylko o sobie!

— Korzystamy z historycznych doświadczeń — powiedział Har gorzko. — Zdarzało się, że gdy średniowieczni żeglarze odkrywali nieznane lądy, przywleczona na nowy kontynent czy wyspę choroba dziesiątkowała nieodpornych na nią tubylców. Nie tylko zresztą pod tym względem musimy korzystać z wiedzy o przeszłości Ziemi. Przybyliśmy tu nie po to, by skolonizować tutejsze planety. Dość mamy miejsca i surowców w naszym układzie, nie ma więc mowy o jakimś wyciąganiu materialnych korzyści z wypraw międzygwiazdnych. Mają one ogromne znaczenie pod względem naukowym, rozszerzają naszą wiedzę o Kosmosie i zaspokajają odwieczną ciekawość ludzką. Jeśli na nowej planecie zastajemy najmniejsze choćby oznaki cywilizacji, postępowanie nasze musi być przede wszystkim ostrożne i rozważne. Cokolwiek byśmy zrobili na tej planecie, będziemy to robić z myślą o jej mieszkańcach. Gdy są na takim poziomie rozwojowym, że mogą przejąć od nas pewne umiejętności i wskazówki — mamy prawo i obowiązek udzielić ich. Musimy jednak wciąż pamiętać, że rola nasza nie może w żadnym wypadku sprowadzać się do uszczęśliwiania ich siłą. Jeśli oni żyją inaczej niż my, jeśli ich droga rozwojowa nie jest podobna do naszej — nie wolno nam bezkrytycznie naginać ich włączając w ramy naszych pojęć i wzorów. Bo wiem inaczej — nie znaczy gorzej! Każdy, nawet bolot na Orfie, ma prawo do własnego trybu i sposobu istnienia. . .

— Chyba jednak — wtrącił Ted — technika stanowi wartość godną przejęcia od istot, które w wyższym stopniu ją opanowały?

— Owszem, ale dopiero wtedy, gdy ów słabiej rozwinięty partner kosmicznego spotkania sam uzna potrzebę rozszerzenia swej wiedzy. Szkolony i modelowany siłą może więcej stracić niż zyskać: może stracić własne oblicze, stanowiące dla niego samego wartość największą. Prymitywne — nie nadążające na pozór za duchem czasu — kultury potrafiły niekiedy opierać się narzucanym z zewnątrz stylom i tendencjom, by przeżyć je i udokumentować po wiekach swą prawdziwą i trwałą wartość. Społeczeństwo to nie tylko kultura materialna, choć ona właśnie, jej rozwój, wyznacza etapy historii. Wynika to jednak z większej trwałości materii. . . Myśl łatwiej ginie w zalewie zdarzeń i katastrof. Z najlepiej zachowanej czaszki jaskiniowca, nie jesteśmy w stanie wskrobać ani jednej jego myśli. . . i sądzymy go tylko po zewnętrznych pozorach, po tym, że posługiwał się maczugą i niekiedy malował na ścianach jaskiń.

Har przerwał i przez chwilę szli w milczeniu.

— Zdaje się, że odbiegłem nieco od tematu. Rozgadałem się jak na wykładzie. . . Wybaczcie, to stare przyzwyczajenie wykładowcy. Chciałem po prostu powiedzieć, że nie powinniśmy być zbyt pewni doskonałości naszego modelu cywilizacyjnego, szczególnie gdy chodzi o przekazywanie go komuś żyjącemu w zupełnie odmiennych warunkach.

Stożek był uniesiony, jak pozostawili go odchodząc. Tym razem Ewa pozost

stała na górze, a Har poprowadził Teda krętymi schodkami. W miarę posuwania się w dół rozjaśniały się kolejne odcinki pionowego szybu. Ściany świeciły tu identycznie, jak w Starej Bazie: równym, białym światłem luminescencyjnym. Środkiem szybu przebiegał gładki słup-wspornik, na którym unosił się stożek. Wokół słupa wiły się schodki — kręte, o wysokich, nie dla ludzkich nóg przeznaczonych, stopniach. Na głębokości trzydziestu paru metrów szyb rozszerzał się w rozległą, kolistą niszę. Gdy Har postawił stopę na ostatnim schodku, sklepienie rozjarzyło się, oświetlając wnętrze sporej sali. Wokół ścian ustawione były prostopadłościennymi postumenty, a na nich spoczywały jakieś niezbyt skomplikowane narzędzia i maszyny.

— To chyba jakieś... muzeum! — powiedział Ted stłumionym głosem, spoglądając to na Hara, to na wnętrze sali.

— Doskonale! — roześmiał się Har. — Na to właśnie czekałem. Wyobraź sobie, że wczoraj oboje z Ewą stwierdziliśmy to samo. Rzecz tym dziwniejsza, że ani ty, ani Ewa nie widzieliście nigdy muzeum i znacie je tylko z opisu. To chyba rzeczywiście jest coś w rodzaju muzeum czy raczej wystawy techniki...

— Techniki twórców Starej Bazy i stożka? — zdziwił się Ted. — Chyba nie zamierzali rozpoczynać ekspozycji od najprostszych urządzeń! Jeśli chcieli dać komuś pojęcie o swojej technice, to powinni... Przecież to, co tu stoi, to zwykła prasa hydrauliczna, a tam... najprostsza luneta optyczna.

— W istocie. To jest prasa hydrauliczna. Po floryjsku... — tu Har wydobyl z siebie dziwny jakiś dźwięk — tak się to nazywa czy też podobnie. Nie opanowałem jeszcze w dostatecznym stopniu tego języka!

Ted cofnął się o krok i zrobił taką minę, że Har wybuchnął szczerym śmiechem.

— Nie bój się, jestem najzupełniej zdrowy na umyśle! Nie wierzysz? Posłuchaj!

Wyciągnął dłoń w kierunku maszyny i dotknął powierzchni metalowego cylindra. W tej samej chwili rozległ się dobiegający gdzieś od strony pułapu piskliwy dźwięk, a na białej ścianie nad postumentem z maszyną pojawił się barwny, ruchomy obraz, przedstawiający tę samą prasę rozgniatającą nieznaną jakiś przedmiot — coś na kształt orzecha sporych rozmiarów, bo ze zmiażdżonej skorupy wypadło kuliste jądro. Obraz zgasł. Ted spojrzął na Hara, który z obojętną miną stał obok niego.

— Ależ to... instrukcja obsługi! — wykrzyknął Ted.

— Odkrywcze stwierdzenie... — powiedział Har złośliwie.

— Wynika stąd, że nieznani przybysze pozostawili to wszystko dla mieszkańców Flory. Wydaje mi się jednak, że jak na początek, to nieco za trudna dla nich lekcja.

— Nie zapominaj, w jaki sposób otworzyliśmy stożek. Przybysze zakładali, iż zanim Florycy się tu dostaną, znać będą nieco matematyki, a to wymaga zdolności myślenia abstrakcyjnego.

Ted obchodził salę dokoła, dotykając różnych prostych maszyn i urządzeń, których przeznaczenia nietrudno było się domyślić, nawet nie patrząc na obrazy ukazujące się na ścianie.

— Przyjmijmy więc, że zostawiono to Florytom dla skrócenia ich cyklu rozwojowego. Dlaczego jednak nie skorzystali dotąd z takich skarbów?

— Nie dorośli widać do tego — powiedział Har. — Albo rozwój ich poszedł w innym kierunku, omijając ten etap. . .

— A jakież może być inny kierunek? Narzędzie jest przecież pierwszą potrzebą tworzącej się cywilizacji! — zdziwił się Ted.

Har wzruszył ramionami. On także nie umiał sobie wyobrazić ani obecnego stanu, ani drogi rozwojowej cywilizacji floryjskiej. Ten maleńki wycinek ich życia, który zdołali dotąd zaobserwować, nie mógł przecież w najmniejszym stopniu przesądzać o całości.

„Kiedyż to ludzie odkryli liczby pierwsze? — zastanawiał się Har, mimowolnie szukając porównań w historii nauki ziemskiej. — Matematyka sięga swymi korzeniami głębokiej starożytności. Egipcjanie, Arabowie, Grecy, Chińczycy posługiwali się matematyką i wieloma wynalazkami technicznymi. Tymczasem jednak inne ludy żyły w warunkach nieporównanie prymitywniejszych. . . Ba, jeszcze w dwudziestym wieku odkrywano w dżungli szczepy niewiele różniące się poziomem życia od człowieka pierwotnego. Nie, rozwój rozumnej rasy nie musi odbywać się harmonijnie i równocześnie na całym obszarze planety. Z drugiej jednak strony trudno przypuścić, iż gdyby na Florze żyła jakaś rasa wyżej rozwinięta od mieszkańców dżungli, nie pozostawiłaby żadnych śladów swej działalności na całym obszarze planety. Co więcej, na pewno usiłowałaby dotrzeć do widocznego z dużej odległości i budzącego zaciekawienie stożka. Tymczasem dżungla porastająca większość obszaru planety wydaje się być nietknięta. . .”

Har skończył fotografowanie wszystkich szczegółów wnętrza sali i rozejrzał się za Tedem, który myszkował po przeciwnej jej stronie.

— Ted, po co człowiek doskonali wciąż swoje narzędzia i maszyny? — zapytał zniechęconym tonem egzaminatora.

— Po to, by przeciwstawić się trudnym warunkom bytu, siłom przyrody. No i aby pracę swoją uczynić lżejszą i łatwiejszą — wyrecytował Ted, prostując się znad jakiejś maszyny.

— Słusznie. A czy zdajesz sobie sprawę, co wynika z tego dążenia do doskonałości?

Chyba. . . rozumiem: wynika stąd ciągły postęp, którego tempo regulowane jest wzrostem potrzeb. . .

„Powtarza moje myśli” — stwierdził Har, ale zaraz uprzytomnił sobie, że to on sam przecież wykładał Tedowi historię.

— W porządku — przerwał chłopcu. — Gdyby zaś warunki były niezmiernie łagodne, wprost cieplarniane. . .

— Wtedy postęp uległby zahamowaniu! — odpowiedział Ted.

— To właśnie może być jedną z możliwych odpowiedzi na pytanie, dlaczego Floryci nie skorzystali dotąd z pozostawionych im wzorów.

— Uważasz, że żyją w takim raju? — podchwycił Ted. — Owszem, można przyjąć takie wyjaśnienie: ktoś, znając przed tysiącami lat aktualny stan ich umysłowości, mógł spodziewać się, że w najbliższym czasie dokonają oni pewnego postępu. Aby postęp ten ułatwić w jego następnej fazie, nieznany dobroczyńca pozostawił modele i wzory narzędzi. Tylko że będąc istotą wysoce inteligentną, powinien był brać pod uwagę właśnie owe cieplarniane warunki rozwoju, hamujące postęp. . . W takiej sytuacji nie dość było pozostawić wzory. Należało przede wszystkim stworzyć bodźce do szybszego rozwoju. . .

— Jak? — zaśmiał się Har. — Jak można było to uczynić? Pałac puszczyć? Osuszając rzeki? Oziębiając klimat? Sam powiedziałaś, że motorem postępu technicznego są rzeczywiste potrzeby. Takie sztuczne stworzenie potrzeb nie jest chyba najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji!

— Mogli przynajmniej dać Florytom do dyspozycji jakieś najprostsze urządzenia, nauczyć ich obchodzenia się z nimi! — oponował Ted.

— Skąd wiesz, że nie dali? To, że nie przekształcają przyrody swej planety, nie musi wynikać stąd, iż nie potrafią. Mogą po prostu nie odczuwać potrzeby takiego działania.

— Niechby tak nawet było. . . — zgodził się Ted niechętnie. — Mimo wszystko jednak trudno mi się zgodzić z takim tłumaczeniem. Przecież inteligencja nie bierze się znikąd, jest wytworem właśnie walki o przetrwanie, jest produktem wielowiekowego rozwoju. Gdyby warunki na Florze były rzeczywiście tak łaskawe dla jej mieszkańców, nigdy by nie powstała tu żadna myśląca rasa! Podczas gdy ci, z którymi zetknęliśmy się na planecie, nie sprawiają mimo wszystko wrażenia dzikusów, którzy dopiero co przestali chodzić na czworakach! Ich dyplomatyczne postępowanie względem nas, ich poczucie uczciwości czy może ostrożności zdają się świadczyć o dość wysokim poziomie umysłowym. Prawdziwi „dzicy” powinni byli — według wszelkiego prawdopodobieństwa — zaatakować nas stadem jako niepożądanych intruzów. . .

— Obalasz moje przypuszczenia z takim zapałem, jakbym ja twardo upierał się przy ich trafności — uśmiechnął się Har. — Powiedziałem przecież, że to tylko jedno z możliwych tłumaczeń. Zgadzam się, że w warunkach zbyt sprzyjających nie mogła rozwinąć się rasa myśląca. Skąd jednak możemy wiedzieć, czy warunki takie panowały tu zawsze? Może uległy jakiejś zasadniczej zmianie? Może w chwili, gdy budowano stożek, wszystko wskazywało na normalne, to znaczy stosowne do potrzeb, tempo rozwoju Florytów, a potem nastąpił gwałtowny kataklizm całkowicie zmieniający warunki bytu, i to zmieniający na znacznie łżejsze?

— To jest myśl! — ucieszył się Ted. — Rozleniwieni, rozpieszczeni przez przyrodę Floryci nie spełnili nadziei tych, którzy chcieli wspomóc ich postęp

techniczny! Pozostali na takim poziomie, na jakim zastała ich owa zmiana warunków... A może nawet stopniowo... głupieją?

— Wniosek nieco za pochopny — pokręcił głową Har. — Przypomnij sobie, co się działo w Grecji w czasach niewolnictwa! Łatwość i komfort życia, uwolnienie się klas właścicieli niewolników od pracy fizycznej spowodowało ogromny rozkwit sztuki i filozofii! Głupieje się tylko od zupełnej bezczynności. A istota w mniejszym lub większym stopniu rozumna nigdy nie pozostaje bezczynna, nawet wtedy, gdy nie musi zębami i pazurami wydzierać przyrodzie środków do życia. Po co zresztą daleko sięgać: nasz wiek — z całą techniką i automatyzacją jest najlepszym tego przykładem; czy mamy w naszych czasach zbyt mało zajęć? Nie! Stwarzamy sobie sami problemy, by móc je rozwiązywać. Stawiamy sobie coraz to nowe zadania, choć na dobrą sprawę moglibyśmy dawno poprzestać na tym, co mamy. Zadaniem techniki nie jest wyeliminowanie wszystkich zajęć z życia człowieka. Zmienia się rodzaj i sposób wykonywania pracy, a nie jej ilość. Myślę, że nawet w warunkach doskonale zaspokajających potrzeby istota rozumna potrafi skierować swe zainteresowania ku jakimś zupełnie nie związanym z potrzebami materialnymi celom...

— Uważasz, że Florycy są szczęśliwi i zadowoleni z tego, co mają? Że nie próbują wydobyć z otoczenia niczego ponad to, co przyroda sama im daje? Słowem, sądzisz, że istota rozumna może być szczęśliwa i zadowolona w warunkach doskonałego zabezpieczenia potrzeb bytowych?

— Nie! — powiedział Har twardo. — Przeciwnie. Istota rozumna nie może nigdy czuć się zadowolona i szczęśliwa. Stan taki jest nie do osiągnięcia, gdyż potrzeby rodzą potrzeby. Jednak najistotniejsze jest to, co osiąga się samemu. Podsuwanie gotowych rozwiązań nie daje zadowolenia. Dlatego uważam, że wszelkie wspomaganie cywilizacji jest bezcelowe, szczególnie, gdy nic jej nie zagraża i nie hamuje — choćby najwolniejszego — rozwoju. Technika nie jest celem, do którego trzeba dążyć za wszelką cenę. Jest tylko środkiem dla uwolnienia ludzkiej czy nie ludzkiej myśli od spraw walki o byt i przetrwanie. I tylko tam, gdzie ta walka jest ciężka i trudna, rozwój techniki jest konieczny...

Har zamilkł nagle, jakby dopiero teraz uprzytomnił sobie, że nie stoi przed gronem kolegów-naukowców, że ma przed sobą chłopaka, który nie widział nigdy Ziemi.

— Chodźmy stąd. Zarejestrowałem wszystko na taśmach filmowych i dźwiękowych, nie mamy co tu dłużej robić. Nie chcę niczego zmieniać ani niszczyć. Poczekamy na decyzję Rady Naukowej. Sądzę, że będą ze mną zgodni i zostawią wszystko w pierwotnym stanie.

Ted niechętnie oderwał się od eksponatów i powoli szedł za Harem po schodkach w górę szybu. Ewa siedziała na skraju urwiska i lornetowała okolice.

— Tam, nad tym jeziorem, porusza się coś — powiedziała, gdy stanęli za jej plecami. — Zbyt jednak daleko, by można było rozpoznać kształty. Może tam jest

jakieś osiedle Florytów?

Popatrzyli kolejno przez lornetę. Har rozejrzał się po okolicy, by ustalić dogodną drogę zejścia.

— Chyba należałoby zamknąć ten stożek — zastanawiał się Ted. — Nie wiem tylko, czy uda się to zrobić. Spróbuję za pomocą tego samego sposobu, w jaki dał się otworzyć. . .

Z ociąganiem, jakby żał mu było stąd odejść, pokręcił się jeszcze wokół zamkniętego stożka, a potem wrócił do towarzyszy i niezdecydowanie zaczął:

— Te dźwięki, które mają oznaczać w języku Florytów nazwy maszyn i narzędzi. . . Przecież to nie mogły być nazwy. . .

— Oczywiście, że nazwy te nie istniały i nie istnieją dotąd w języku Florytów! — powiedział Har. — Dopóki nie ma przedmiotów, nie ma i nazw. Sądzę, że zostały urobione według zasad języka Florytów przez twórców stożka.

— Nie bardzo rozumiem po co? — wtrąciła Ewa. — Czyżby sądzili, że tubylcy nie potrafią tych rzeczy ponazywać po swojemu? Zrobiliby to najzgodniej z własnym poczuciem językowym!

— Wiem dokładnie tyle, co wy! — mruknął Har, wciąż patrząc przez lornetę. — Wszystko to tylko domysły. Nagraliśmy te dźwięki. Może ułatwią rozszyfrowanie języka Florytów. . . A poza tym stanowczo za dużo dyskutujemy, zamiast zbierać fakty. Od tej chwili koniec rozmów — dodał groźnie. — Podsumowanie zrobimy po powrocie do rakiety, razem z Wera, Adamem i Maxem. Oni też będą mieli dużo do powiedzenia. Może wniosą jakiś nowy element do naszych hipotez.

Tafla jeziora to pojawiała się, to nikała im z oczu, gdy schodzili ku niej fałistym zboczem. Har szedł pierwszy, milcząc zawzięcie. Ewa i Ted początkowo również starali się nie rozmawiać, ale po kilkunastu minutach nie mogli już opowiadać się i wyłączywszy nadajniki osobiste, aby Har ich nie słyszał, pozostali nieco w tyle, by co chwila wymieniać jakieś krótkie spostrzeżenia.

Brzeg jeziora porastały z jednej strony obfite zarośla. Dno było doskonale widoczne poprzez czystą wodę. Cała okolica nie sprawiała wrażenia odwiedzanej przez kogokolwiek. W pewnej chwili Har, który wszedł po kolana w wodę, pochylił się i wydobyl z dna jakiś spory przedmiot.

Było to coś w rodzaju naczynia wykonanego ze skorupy owocu podobnego do tych, które widzieli na ruchomych obrazach w podziemiach stożka. Brzegi były gładko oszlifowane, a zewnętrzną i wewnętrzną powierzchnię pokrywała sieć misternych nacięć.

— Jeszcze jeden przejaw ich skłonności do ozdabiania wszystkiego, czego używają — powiedział Har. — Tylko ich samych ani śladu. Roztapiają się w tej dżungli, znikają. . .

— Zamiast przystosowywać przyrodę do swych potrzeb, sami się do niej przystosowali — zauważyła Ewa.

— Jeśli chodzi o ślady. . . to można by poszukać! — zaproponował Ted, krążąc



nad brzegiem wody. — O, tu na przykład, widzę jakby ścieżkę, wydeptaną wśród porostów.

Ścieżka znaczyła się słabiutko i wiodła do pierwszych drzew. Dalej nie było już żadnego śladu, jakby chodzące nią istoty odrywały się od ziemi. Najprawdopodobniej łatwiej im było posuwać się pośród splecionych gałęzi niż przez gąszcz dolnych pieter roślinności.

— Nie wytropimy ich w ten sposób. Są czujni i nie dadzą się podejść. Nie będziemy przecież urządzać polowania z nagonką! — powiedział Har.

Obeszli jezioro i posuwali się dalej zboczem łańcucha wzgórz, rzadziej zarosniętym i przez to umożliwiającym swobodny marsz. Po godzinie podchodzenia łagodnym zboczem weszli między strome ściany głęboko wciętej doliny. Skały były miejscami silnie rozkruszone i tworzyły niebezpieczne osypiska, idąc więc, rozglądali się bacznie, by uniknąć spadających z góry kamieni.

— Jaskinia! — powiedział nagle Ted, wskazując na prawe zbocze. — Nawet niezbyt wysoko. Możemy tam zajrzeć.

— Spróbujmy — powiedział Har bez przekonania. — Wydaje mi się jednak, że nasza metoda ostrożnej penetracji nie da spodziewanych wyników. Trzeba będzie zastosować radykalniejsze sposoby... Straciliśmy nieco czasu, ale... kto mógł przewidzieć, że oni będą się przed nami kryli i do tego stopnia utrudniali nam pracę!

— No, nie jest tak źle! — zaproponował Ted. — Odkryliśmy przecież niezmiernie ważną rzecz: stożek!

— Tak, ale to nie daje nam w najmniejszym stopniu pojęcia o stanie aktualnym społeczeństwa Florytów ani też o ich historii. Nie daje nam również żadnych nowych informacji o twórcach Starej Bazy... poza tą jedną, że chcieli Florytom pomóc, że byli w stosunku do nich przychylnie nastawieni. Zajrzyjmy do tej jaskini, a potem szybkim marszem wracamy do rakiety. Może nawet użyjemy aparatów lotnych na trudniejszych odcinkach drogi, żeby prędzej się tam dostać. Od jutra zaczniemy mniej ostrożnie, ale za to, mam nadzieję, skuteczniej „polować” na Florytów. Zbyt mało czasu nam pozostało i obawiam się, że wrócimy na Ziemię, nie umiając o nich nic pewnego powiedzieć.

Grota była kręta i gęsto rozgałęziona. Przyświecając sobie latarkami posuwali się powoli, oglądając ściany. Były suche i dość gładkie, miejscami nosiły ślady jakichś przypadkowych pęknięć czy zarysowań.

W pewnej chwili, gdy mieli już zawrócić ku wyjściu, Ewa potknęła się o coś i odruchowo poświeciła pod nogi.

Na środku niewielkiej niszy, wysokiej na cztery metry i szerokiej w tym miejscu na tyleż, leżał niewielki odłam jakby szarego kamienia. Har schylił się i podniósł z ziemi ciężki dość przedmiot kształtem przypominający klin.

— To jest metal! — powiedział, oglądając powierzchnię znaleziska. — Metal, i do tego obrobiony ciepłonie! Dłuto czy coś w tym rodzaju...

— Czyżby jednak... dano Florytom jakieś narzędzia poza tym, co ukryto w stożku? — odezwał się Ted. — A może to jest starsze? Może mieli oni w swojej przeszłości uczciwą epokę brązu, a potem dopiero tak się wyrodzili? To byłoby zgodne z twoją hipotezą, Har!

— Zaraz, powiedziałaś: dłuto! — podchwyciła Ewa i omiotła ściany jaskini snopem światła. — Może więc... Jest! Jest! — krzyknęła radośnie i podbiegła do jednej ze ścian.

Na powierzchni gładkiej i jakby wypolerowanej sztucznie płyty znaczył się wyraźnie barwny rysunek, złożony z wyłobień, w które napuszczono jakichś barwników.

Otoczyli to miejsce i w milczeniu, oświetlając jaskrawym blaskiem rtęciówek wyraźny i doskonale zachowany rysunek, przyglądali mu się przez długą chwilę.

— Więc jednak... mieli swoją epokę jaskiniową! — powiedział cicho Ted.

Rysunek, choć niezbyt dokładnie, przedstawiał jakieś powalone, ogromne cielsko — może upolowane zwierzę? Obok niego leżały wydłużone żerdzie, zapewne broń. Trochę dalej zaznaczony kolorem czerwonożółtym rysował się wydłużony jezor.

— To chyba ogień — powiedziała Ewa. — Musieli znać ogień.

— A więc mogli wytapiać metale! To dłuto jest na pewno ich wytworem!

— Niewątpliwie — zgodził się Har, badając powierzchnię skały pod rysunkiem za pomocą aparatury archeologicznej. — To dłuto i ten rysunek pochodzą na pewno sprzed dziesiątków co najmniej tysiącleci, a więc z okresu znacznie wcześniejszego niż czas pobytu hipotetycznych przybyszów z Kosmosu...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

O KATAKLIZMACH, PREZENTACH,  
METODYCIE NAUCZANIA  
ORAZ NIEWCZESNYCH WYBRYKACH  
CZERWONEGO SŁOŃCA

Biologowie opracowywali komunikat o swych osiągnięciach, a Max śleczął przy radiostacji dalekiego zasięgu i usiłował nawiązać łączność z Orfą.

— Rozmawiać od biedy można — komunikował co pewien czas. — Za jakość przesłanych informacji nie ręczę jednak. Zakłócenia są tak silne, że chyba trzeba będzie kodować wiadomości i przesyłać je wielokrotnie.

— Poczekaj do zmroku — poradził mu Har, ściągając kombinezon. — Na razie mamy do przedyskutowania nasze spostrzeżenia. Trzeba to wszystko jakoś ująć.

Adam, który skończył swój raport, zbliżył się do przybyłych i zaczął wypytywać o szczegóły. Po chwili dołączyła Wera i w piątkę przeglądali teraz filmy i nagrania. Har wspomagany przez Ewę i Teda opowiedział pokrótce o plonie ostatnich dwóch dni.

— Podsumujmy zatem! — powiedział Adam, sadowiac się w fotelu. — Z jednej strony, brak oznak cywilizacji technicznej, zagospodarowania planety i tak dalej. Mieszkańcy żyją w dżungli, nie są jednak na tak niskim poziomie umysłowym, jak wynikałoby z ich trybu życia. Poza tym mają niespodziewanie wysoko ukształtowany zmysł estetyki i poczucie ostrożności wobec nieznanymi im istot... Z drugiej strony, znajdujemy ślady przeszłości tych istot, niezwykle zbieżne z prehistorią gatunku ludzkiego...

— A z trzeciej strony, ślady działalności istot o niezmiernie wysokim poziomie technicznym! — dorzucił Ted.

— Tak, ale zostawmy je na razie na boku, żeby nie komplikować do reszty i tak zagmatwanej sprawy. Wygląda więc na to, że jakiś czynnik nagły i przypadkowy zamącił drogę rozwoju Florytów. Trudno powiedzieć, do jakiego poziomu doszli, zanim to się stało. Fakt, iż natrafiliście tak łatwo na jaskinię z tymi rysunkami, zdaje się świadczyć, że ślady takie nie są rzadkością na tym terenie... Można by przypuszczać, że to był właśnie kulminacyjny punkt w ich rozwoju...

My, badając skorupę planety, wyrobiliśmy sobie pewien pogląd na ten „czynnik zakłócający”. Przyznam, że z wahaniem wysuwam taką tezę, bo prowadzi do dość przykrych wniosków. . .

— Mów, wszystkie tezy musimy bez żadnych skrupułów rozpatrzeć! — zachęcił go Har.

— Wasza opowieść jeszcze bardziej umacnia nas w przekonaniu, iż zaszło tu coś, co zupełnie zmieniło warunki na planecie. Znaczne jej połacie pokryte są nieprzebytą dżunglą, a mimo tej przebogatej szaty roślinnej fauna tutejsza jest niezmiernie uboga i nieliczna. Są to jakieś zupełnie odosobnione gatunki, bez widocznych powiązań systematycznych. . .

Okazuje się jednak — po pobieżnym zbadaniu skorupy planety na niewielkich głębokościach — że dżungla nie króluje tu, jak można by się spodziewać, od pradziejów rozwoju roślinności na planecie. W niektórych rejonach jest ona stosunkowo młoda, wyrosła na podkładzie zupełnie nie zarośniętych przedtem terenów. Wydaje się, że przed niedawnym czasem nastąpiła tu gwałtowna inwazja roślinności na tereny, które mogły być na przykład uprawną glebą czy nawet pustynią. . .

— Kiedy to nastąpiło? — ożywił się Har.

— Ba! — roześmiał się Adam. — Z chronologią wciąż ta sama bieda: mogę powiedzieć, że kilka tysięcy lat temu, ale dokładnie — nie podejmuję się.

Har westchnął z rozczarowaniem i pokiwał głową, a Adam kontynuował:

— Ta niespodziewana inwazja roślinności nie mogła oczywiście nastąpić ot, tak sobie. Przyczyną mogła być tylko jakaś istotna zmiana warunków wegetacji. Tu właśnie przyszedł nam do głowy ten pomysł. . . raczej skojarzenie może. . . Otóż, jak zapewne wiecie, po przeprowadzanych w połowie dwudziestego wieku próbnym wybuchach atomowych na wyspach Pacyfiku okazało się, że już po dwudziestu niespełna latach roślinność rozkrzewiła się tam tak bujnie, iż nie tylko zabiła ubytki spowodowane wybuchem, ale także opanowała tereny uprzednio nie zarośnięte. Jeśli do tego dodać wyniki prac nad odpornością różnych gatunków zwierząt na takie wybuchy, wniosek narzuca się sam. . .

— A jak to jest z tą odpornością? — wtrącił Ted.

— Bardzo dziwnie: kataklizm atomowy są w stanie przetrwać zupełnie różne gatunki. Na przykład karaluchy, szczury. . . Trudno na pierwszy rzut oka określić, co decyduje o odporności. Podobnie mogło być i tu. . . — wyjaśniła Wera.

Zapadło ponure milczenie. Wszyscy, uzupełniwszy w myślach sugestię Adama, rozważali płynące z niej nieodparcie wnioski. Pierwszy odezwał się Har.

— Pomysł wasz nawiązuje do pewnej starej teorii stworzonej bodajże właśnie w okresie prób z bronią jądrową. . . Ktoś powiedział wtedy, że rozwój cywilizacji technicznej może się odbywać tylko do pewnej granicy: do samounicestwienia się. Potem wszystko zaczyna się od nowa. Teoria ta nie jest chyba słuszna. Nasza historia pokazuje, że kryzys cywilizacji można przełamać i uniknąć takiej kata-

strofy. Nie jest jednak niemożliwy taki właśnie koniec rozwoju istot rozumnych. Smutna to hipoteza, ale nie wolno nam pominąć jej w naszych rozważaniach, gdyż pewne fakty mogą być interpretowane zgodnie z jej założeniami. Ja, niestety, nie jestem również w stanie określić dokładnych zależności czasowych, wzajemnych powiązań i kolejności poszczególnych zdarzeń. Wyłania się jednak zupełnie niezła koncepcja dziejów Flory: jakiś kataklizm, mniejsza o jego charakter, zmienił radykalnie oblicze planety, wyniszczył większość gatunków zwierzęcych i zniszczył cywilizację, której zaczątki znajdujemy w grocie. Niedobitki tej cywilizacji, stanawszy wobec inwazji świata roślinnego, nie mogąc przeciwstawić się dynamice tego zalewu siłą, skorzystały z rozumu, który przecież dziedziczyły po przodkach wyrosłych w trudzie walki z przyrodą. Z braku łownej zwierzyny zaczęły odżywiać się pokarmem roślinnym i przystosowali się do życia w dżungli, która okazała się dla nich doskonałym środowiskiem. Rozrost roślinności spowodował złagodzenie klimatu, nie było groźnych drapieżników — słowem, zabrakło bodźca do dalszego rozwoju technicznego.

— Wszystko się zgadza — powiedział Max — z wyjątkiem jednego: przy tak totalnym wyniszczeniu form zwierzęcych przetrwały mimo wszystko istoty rozumne...

— Mogły się schronić przed skutkami kataklizmu, część z nich mogła przetrwać... — podsunęła Ewa.

— Stożek! — wykrzyknął nagle Ted. — Przecież to mógł być schron przeciwatomowy dla Florytów i dla produktów ich cywilizacji... Słyszałem, że na Ziemi budowano takie schrony, dla ludzi, a nawet dla modeli wynalazków i na zapasy żywności...

— No, a Stara Baza? — rzucił Max z powątpiewaniem.

— Może częściowo schronili się na Orfie. Potem zaś wrócili i dali początek nowemu społeczeństwu!

— A ten... człowiek w Starej Bazie? — powiedziała Wera. — Aby wyjaśnić jego obecność, należałoby założyć, że Floryci przed kataklizmem latali poza swój układ... Nie, to już zbyt naciągane hipotezy.

— Dlaczego? — upierał się Ted. — Może katastrofa nastąpiła wtedy, gdy byli w drodze ku Ziemi. Po powrocie zastali ruiny swej cywilizacji i zaczęli od nowa...

— Nie, nie... Daj spokój, Ted, brniesz w fantazje — wtrącił Har. — Nie zaczęliby przecież od zera, mając wszystkie urządzenia techniczne potrzebne do kosmicznej żeglugi. Nie! Ci, których zastaliśmy na Florze, nie mogą być potomkami wysoko rozwiniętej cywilizacji. Kataklizm — zgoda! Ale nie przesadzajmy o jego rodzaju. Powiedzmy, że był... Wszystko wskazuje na to, że miał miejsce w okresie nieco późniejszym niż ten, z którego pochodzą znaleziska w grocie. Nie na tyle jednak, by cywilizacja zdążyła osiągnąć znaczny postęp!

— Przerwijcie na chwilę — rzucił Max, wychodząc z kabiny. — Spróbuję

połączyć się z Orfą.

Nie było go przez kilkanaście minut. Milczeli w tym czasie, by nie powtarzać przebiegu dyskusji, kiedy powróci. Gdy wszedł na powrót do kabiny, na twarzy jego igrał skrywany z trudem uśmiešek.

— Nowy głos w dyskusji — powiedział poważnie. — Tym razem z Orfy. Tam też był gwałtowny kataklizm, przewrót w rozwoju życia. Badania geologiczne i biologiczne w połączeniu z pracami oceanografów są zgodne co do okresu czasu, jaki upłynął od tego przewrotu: określają go na kilka tysięcy lat!

Coś, jakby oddech ulgi wyrwał się ze wszystkich piersi. Zrozumieli, że jeśli ślady kataklizmu biologicznego znaleźć można na obu planetach, oznacza to, iż zjawisko nie miało lokalnego charakteru, lecz dotyczyło całego układu, i spowodowały je nie istoty zamieszkujące Florę, lecz raczej pochodziło z zewnątrz, było spowodowane przez działanie czynników kosmicznych.

— Doskonale! — zawołał Adam. — Bez żalu porzucam myśl o atomowej katastrofie. Mamy kłopot z głowy: niech się kosmolodzy biedą nad wyjaśnieniem przyczyn tych gwałtownych zmian w skali układu planetarnego. Może jakieś ciężkie ciało niebieskie, mijając układ, poplątało tory planet? To nie nasza rzecz. Dla nas ważne, że zmiana, która nastąpiła na Florze, spowodowała zahamowanie cywilizacji, stwarzając, jeśli można tak się wyrazić, „za dobre” warunki bytu istotom rozumnym, jakie uprzednio zdążyły na niej powstać.

— Pozostaje jeszcze umiejscowić w tym przybyszów z Kosmosu! — powiedział Har. — Czy byli tu przed ową zmianą, czy też po niej? Logicznie rzecz biorąc, należałoby sądzić, że przed. Ale po co w takim razie pozostawiali stożek? Dlaczego zależało im na przyspieszeniu prawidłowego wówczas rozwoju Florytów? Musieli wiedzieć, że to nie ma sensu!

— Jeśli natomiast przyjmujemy, że przybyli tu po „przewrocie” — zauważył Adam — to nasunie się wątpliwość, czy celowe było wspomaganie „rozleniwionej” już cywilizacji, i to wbrew jej rzeczywistym potrzebom?

— Wykazaliśmy niezłomność — zaśmiał się Max — że przybysze, kiedykolwiek tu byli, postąpili wbrew zdrowemu rozsądkowi. Zniszczyliśmy ich, jednym słowem, pod względem intelektualnym! Coś tu się jednak nie zgadza! — dodał już poważnie.

— Dobrze byłoby ustalić, do jakiego poziomu doszli Florycy przed zmianą — zauważyła Ewa.

— To będzie trudne. Sądzę jednak, że pod względem technicznym nie była to jakaś olśniewająco genialna epoka. . . — Max urwał nagle, nadsłuchując, a potem pognął do kabiny radiowej. Wybiegli za nim.

— Czujnik zbliżenia zasygnalizował czyjaś obecność koło rakiety — wyjaśnił Max, wpatrując się w ekran wizjera podczerwieni. — Ciemno już zupełnie, nic prawie nie widać. . . O, jest! Tu, na skraju lasu!

Na ciemnym ekranie, na tle czarnej wstęgi lasu widać było oddalającą się

w jego stronę podłużną, jasną sylwetkę poruszającą się dość szybko kołyszącym krokiem. Zaterkotała kamera — to Max zrobił serię zdjęć. . .

— Niewiele z tego widać. . . — mruknął po chwili, wydobywając gotowe odbitki z automatu. — Po pierwsze, za daleko już odszedł, a po drugie, podczerwień daje tylko kontur postaci.

Czego on tu szukał? — zastanawiał się głośno. — Na wszelki wypadek wyjdę i rozejrzę się po polanie.

Wciągnął skafander, wziął w rękę miotacz, lampę i wyszedł z rakiety.

Już po chwili był z powrotem. Niósł tobołek zawinięty w jakąś tkaninę. Podnosząc go do góry, zawołał wesoło:

— Prezent dostaliśmy. On to przyniósł i położył koło wspornika.

Rzucili się do zawiniątka. Kiedy rozsypali rogi niewielkiej płachetki utkanej z cienkich włókien, wysypały się z niej drobne jakieś przedmioty. Były to maleńkie figurki wyrzeźbione z twardej substancji, zapewne z drewna miejscowych roślin, niektóre zaś ulepione z nie wypalanej glinki. Wszystkie pokryte były kolorowymi barwnikami. Przedstawiały dość dobrze uchwycone postacie ludzi w kombinezonach. Jedna, większa, była dokładną miniaturą „Suma”.

— Do licha! — mruknął Har. — Wszystko to bardzo ładne, ale my chcemy wiedzieć, jak o n i wyglądają. . .

— Ciekawe, co chcieli przez to powiedzieć? — zastanawiał się Max.

— To chyba jasne! — powiedziała Ewa. — Chcieli powiedzieć: „Wiemy, jak wyglądacie. Mamy nadzieję, że nie uczynicie nam nic złego, tak jak my staramy się wam nie szkodzić. Zobaczcie, co potrafimy zrobić. Wiedźcie, że patrzymy na otaczający nas świat i staramy się rozumieć to, co widzimy. Nasze sprawy są odmienne od waszych, ale mimo to porozumiemy się na pewno. . .”

— Ho, ho. . . — zaśmiał się Ted. — Sporo wyczytałaś z tego „listu”!

— Mniejsza o to — powiedział Har. — Ważny jest sam fakt będący ponad wszelką wątpliwość wyrażeniem przyjaznych uczuć. Wielka szkoda, że nie możemy im podarować żadnego z wytworów naszej ziemskiej sztuki. Nie pomyśleliśmy o tym. . . A przecież sztuka jest jedynym językiem, który przemawia do wszystkich istot rozumnych. Gotowi pomyśleć, że nie mamy w ogóle czym się pochwalić w tej dziedzinie, a przecież to nieprawda.

— No i jaki wstyd na skalę kosmiczną! — powiedział Max udając wielkie zażenowanie.

— Spróbujmy podarować im coś z naszych narzędzi — zaproponował Ted.

— To na nic. I tak nie zrozumieją, do czego to służy. Dla nich ważna jest forma. . . Zauważyłeś, że wszystko, nawet przedmioty użytkowe, zdobią i upiększają? Nie przysłali nam zresztą żadnego ze swych narzędzi. Nie uważają ich zatem za coś wartego pokazania. Uznają narzędzia za środki do osiągnięcia celu, nieistotne wobec efektów ich działania. Ale wróćmy do naszej poprzedniej

rozmowy. Doszliśmy do wniosku, że obcy przybysze chcieli wspomóc kulejącą cywilizację Florytów. Co dalej?

Har powrócił na swoje miejsce w kabinie ogólnej. Inni poszli za nim i po chwili dyskusja potoczyła się dalej.

— Być może — zauważyła Ewa — w legendach tego ludu pozostały jakieś wzmianki o przybyszach „z nieba”... Musieli to być dobrzy przybysze, skoro Floryci zachowują się wobec nas w tak uprzejmy sposób.

Ted milczał przez długą chwilę i najwyraźniej ważył w myślach jakiś nowy problem, nie słuchając, o czym mowa. Wreszcie, wykorzystując chwilę przerwy w dyskusji, powiedział nagle:

— Zgodzicie się chyba ze mną, gdy powiem, że na ogół nomenklatura wprowadzana dla określenia zjawisk w pewnej dziedzinie jest rzeczą formalną. Nie jest ważne, jak nazwie się dana rzecz, pod warunkiem, że będzie ją się później nazywało konsekwentnie tak samo. Powiedzcie mi więc, dlaczego budowniczowie Srebrnego Stożka potworzyli gotowe nazwy przedmiotów, nazwy nie istniejące w języku Florytów, lecz utworzone, jak przypuszczamy, zgodnie z ich językiem i wymową, nawiązujące, być może, do istniejących już słów?

Nikt jakoś nie kwapił się z odpowiedzią, więc Ted ciągnął dalej, bardzo zadowolony, że to on właśnie zauważył rzecz tak doniosłą.

— Otóż wydaje mi się, że przybyszom chodziło o „sterowanie” rozwojem technicznego języka Florytów! Po co? — tu Ted zrobił pauzę dla wywołania większego efektu. — Po to, aby móc się z nimi później porozumieć!

— Myślisz, że zamierzali powrócić tu, i sprawdzić efekty swej działalności? — spytał Adam.

— Niekoniecznie. Mam inną koncepcję celu takiego postępowania nie znanych nam istot. Nie muszę zapewniać was, że w podziemiach pod stożkiem — oprócz tego, co chciano pokazać Florytom, gdy się tam dostaną — muszą znajdować się urządzenia, których z tych czy innych względów pokazywać nie chciano. Za grubymi ścianami sali z eksponatami ukryto zapewne aparaturę wytwarzającą dźwięki i obrazy. Pod podłogą, w której osadzony jest filar podnoszący stożek, muszą znajdować się urządzenia, które go unoszą i opuszczają. Ukryto je, aby nie uległy uszkodzeniu i aby nie rozpraszały uwagi Florytów, którzy i tak nie potrafiliby od razu pojąć mechanizmu ich działania.

— Oczywiście! — zgodził się Har. — Do czego jednak zmierzasz?

— Aby się dostać do tych urządzeń, musielibyśmy przetapiać ściany, a tego robić nie chcemy — ciągnął Ted. — Chcę jednak zaproponować coś innego: zejdźmy raz jeszcze do podziemi stożka i poszukajmy wejścia do dalszych pomieszczeń!

— Jak to: „wejścia” — zdziwili się chórem Ewa i Har.

— Czy sadzisz, że gdyby istniało, przeoczylibyśmy je dwukrotnie? — dodał Har.



— Nie szukaliśmy go po prostu. A ono musi istnieć! Nie mogę uwierzyć, że tylko tyle chcieli przekazać Florytom przybysze z Kosmosu dysponujący niepomiernie wyższą techniką. Nadanie nazw przedmiotom miało ułatwić przekazanie dalszych wiadomości, miało stworzyć język techniczny, którym przybysze chcieli pouczać Florytów w następnych etapach szkolenia, gdy opanują i rozwiną to, co im pozostawiono. . .

— Zgoda. . . — powiedział Har w zamyśleniu. — Może jednak nie zdążyli doprowadzić do końca swych zamierzeń. Podejrzewamy przecież, że zginęli w katastrofie na Orfie. . .

— To tylko przypuszczenia. Równie dobrze mogli odlecieć szczęśliwie. Wybuch, którego ślady wykryliśmy w kraterze, mógł być spowodowany celowo dla zniszczenia tego, czego pozostawić nie chcieli, a zabrać ze sobą nie mogli: może były to urządzenia startowe, z którymi nie chcieli zapoznać nawet Florytów. . .

— Sądzisz więc, że Starą Bazę pozostawili także dla nich?

— Oczywiście! Przecież tam są zapisy w języku Florytów.

— No, nie tylko! — przypomniał Max. — Ale to nie przeczy twoim wywodom.

— Więc to Orfa miała być następnym etapem szkolenia Florytów? — podjął Har. — Bardzo mi się podoba ta hipoteza kolejnych etapów nauczania! Jest najzupełniej uzasadniona i prawdopodobna, a poza tym zgodna z naszymi pojęciami dydaktycznymi.

— Ostatnim etapem miał być lot na Orfę — ciągnął Ted. — Tam oczekiwały Florytów wiadomości o najbliższych sąsiadach kosmicznych, to znaczy o ludziach.

— A ten zakonserwowany osobnik? — zauważył Max.

— Rola tego człowieka pozostanie nie wyjaśniona do chwili, aż uda się przywrócić go do czynnego życia — powiedział Har. — Wszelkie zgadywanie zamąci nam tylko pogląd na cały problem.

— Brak nam jedynie pośredniego etapu szkolenia. Trudno sobie wyobrazić, by za pomocą tych prostych narzędzi Florycy mieli dotrzeć na Orfę. Dlatego też konieczny był, moim zdaniem, jeszcze jeden etap, jedna jeszcze porcja wiadomości na wyższym poziomie wspomagających florycki postęp. Jej to właśnie, a przynajmniej wskazówki co do sposobu jej odnalezienia, należy szukać w podziemiach stożka. Musi być zabezpieczona tak, aby nie mogli dostać się do niej zbyt wcześnie — zakończył Ted.

— Bardzo mi się podoba ta hipoteza — powtórzył Har. — Odwiedzimy stożek i sprawdzimy rzecz na miejscu.

— Mnie się także podoba — powiedziała Ewa. — Szczególnie dlatego, że nie zakłada ona katastrofy owych kosmicznych gości. Mimo iż nie potrafię sobie wyobrazić ich wyglądu, czuję do nich jakąś niewytłumaczoną sympatię i bardzo bym nie chciała, by spotkało ich coś złego. Musieli być bardzo mądrzy i. . . dobrzy

— dodała cicho.

Postanowiono, że następnego dnia dwie osoby udadzą się raz jeszcze z odpowiednią aparaturą do stożka, a pozostali będą się starać nawiązać bezpośredni kontakt z Florytami, by zdobyć przynajmniej ich zdjęcia i pobieżne choćby informacje o ich życiu.

Przed północą czasu miejscowego Max ponownie uzyskał łączność z bazą na Orfie. Słyszalność była lepsza, lecz wciąż niezbyt zadowalająca. Po wymianie testów kontrolnych przystąpiono do nadawania kodowanych sprawozdań. Procedura była dość skomplikowana, bo na potwierdzenie odbioru każdego fragmentu czekało się kilkanaście minut — tyle bowiem czasu trwało, nim fale dobiegły na Orfę, tam zostały odebrane i wróciły, niosąc potwierdzenie i odpowiedź.

Max, który rozszyfrowywał nadchodzące wiadomości, wyszedł w pewnej chwili z ponurą miną z kabiny radiowej i powiódłszy wzrokiem po twarzach towarzyszy, powiedział:

— Mam dwie wiadomości. Jedna pomyślna, druga dość dla nas przykra.

— Zaczynaj od tej drugiej — zachęcił go Har.

— Panie i panowie! — powiedział Max żałobnym tonem. — Jutro opuszczamy tę planetę!

Porwali się z miejsc, patrząc na niego w niemym przerażeniu.

— Co? Dlaczego? — wykrztusił Ted.

— A nasze plany? . . .

— Zdjęcia Florytów!

Wszyscy z wyrzutem i rozżaleniem spoglądali na Maxa, jakby to on był przyczyną wszystkiego złego.

— W naszym własnym interesie musimy opuścić Florę jutro przed południem. Siła wyższa — powiedział Max z naciskiem.

— Ale o co właściwie chodzi? Kto nas do tego zmusza? Co nam tu grozi? — dopytywali się jeden przez drugiego, aż Max musiał ich uciszyć, by móc mówić dalej.

— Jak wiecie, na Orfie zajmowano się między innymi badaniami Czerwonego Słońca. My, w ferworze badania planet, zapomnieliśmy jakby o jego istnieniu. Tymczasem ono istnieje sobie i, jak każda gwiazda, ma swoje własne „życie”. Nasi obserwatorzy stwierdzili, że w ostatnich dniach powierzchniowa aktywność słońca wzrosła w sposób niepokojący. Ilość plam potroiła się i wzrasta z dnia na dzień. . .

— Cóż nas to może obchodzić? — niecierpliwie przerwał Ted. — Chyba nie wybuchnie?

— Nie. Gdyby wybuchło, byłoby rzeczą zupełnie obojętną, gdzie byśmy spłonęli — wyjaśnił Max rzeczowo. — Chodzi o coś innego: spodziewana jest mianowicie seria rozbłysków wysokiej klasy. Zbliży się maksimum aktywności, rozumiecie? Moglibyśmy zresztą spokojnie przeczekać ten okres tu, na planecie,

gdzie pod osłoną atmosfery nie grozi nam działanie promieniowania towarzyszącego rozbłyskom. Niestety, nie możemy sobie pozwolić na pobyt na Florze przez następne dwa tygodnie, gdyż nasze zasoby energii i żywności nie są obliczone na tak długi okres.

— Kiedy ma nastąpić pierwszy rozbłysk? — zapytał Ted z nadzieją w głosie.

— Za trzy lub cztery dni — Max spojrział na niego karcąco. — Nie wymyślisz niczego mądrzejszego niż dowództwo. Nasz lot trwać będzie przy największym możliwym przyspieszeniu około dwóch dni. Pancierz „Suma” ochroniłby nas tylko częściowo przed skutkami promieniowania w próżni i moglibyśmy zainkasować dużą dawkę, nie znalazłszy się na Orfie przed pierwszym rozbłyskiem.

— A co będzie ze startem z Orfy na orbitę „Cyklopa”? Przecież nie możemy czekać na Orfie przez dwa tygodnie? — zapytała Ewa.

— Rozbłyski powtarzają się co kilkanaście godzin i można ustalić ich przybliżone natężenie i czas na kilka godzin naprzód. Tyle wystarczy nam, by wystartować. Zresztą, nawet gdyby nas rozbłyski zaskoczyły w drodze, to krótki czas lotu i większa odległość od słońca oraz pancierz „Suma” znacznie zredukują sumaryczną dawkę napromieniowania. Pancierz „Cyklopa” osłoni nas przed najsilniejszym nawet rozbłyskiem.

— Innymi słowy — mruknął Ted — gdyby nam się nie udało wydostać stąd jutro przed południem, siedzimy w pułapce!

— O, nie jest aż tak tragicznie! — zapewnił go Max z odcieniem dumy. — Mamy przecież zawsze rezerwowy program ratunkowy! Gdyby nam nie udało się dotrzeć na Orfę, oni przylecą po nas „Cyklopem” i zdejmą nas stąd między jednym a drugim rozbłyskiem. Ale to już byłaby ostatnia ostateczność i dowód naszej nieudolności. A poza tym nie wiem, jak dopięlibyśmy nasz ubogi bilans energetyczny po takich manewrach „Cyklopem”. Nie ma rady, startujemy zgodnie z rozkazem jutro przed południem.

— Usiąść i płakać! — jęknął Ted. — Tyle roboty zostanie nie dokończonych...

— Nie biadol, tylko ubieraj się i lecimy! — powiedział Har zdecydowanie. — Przynajmniej trochę jeszcze uratujemy: spróbujemy dotrzeć wirolotem do stożka.

— Teraz? W nocy?

— Jeśli się boisz, ja polecę! — zgłosiła się Ewa.

— Nie, skądże! Wcale się nie boję, tylko... — Ted usiłował się tłumaczyć, ale Har przerwał mu:

— Lecimy.

— A mnie nie zabierzecie? — dopominała się Ewa, lecz Har rozłożył bezradnie ręce:

— Wirolot zabiera w zasadzie dwóch pasażerów. Prawda, Max?

— No, niby tak. — Max poskrobał się za uchem, a po chwili zastanowienia powiedział: — Lepiej jednak, by poleciały trzy osoby. Jeśli się odłączy jeden

zbiornik, wirolot uniesie całą trójkę. Wystarczy wam połowa zapasu paliwa, odległość jest niewielka. Chciałbym jednak przed świtem mieć załogę w komplecie. Będzie jeszcze trochę pracy przy rakiemie przed startem.

— Ma się rozumieć, że wrócimy! — zapewnił Ted i po chwili wszyscy troje zeszli do luku, w którym spoczywał wirolot.

Po odłączeniu rezerwowego zbiornika maszyna była gotowa do lotu. Ustaliwszy kierunek, Har włączył silnik i zaprogramował autopilota na lot po linii prostej w kierunku szczytu ze stożkiem. Odległość wynoszącą niespełna dwadzieścia kilometrów maszyna zdolna była pokonać w czasie kilkunastu minut. Udzieliwszy wskazówek dotyczących lądowania w trudnych warunkach nocnych na wąskiej platformie szczytu, Max wrócił do rakiety.

Przekraczając próg śluzy przypomniał sobie, że w pośpiechu nie zakomunikował odlatującemu drugiej wiadomości, jaką otrzymał z Orfy. Chciał nawet zawrócić, lecz obejrzawszy się, dostrzegł w ciemności tylne światło pozycyjne wirolotu odrywającego się od ziemi, machnął więc ręką i wszedł do rakiety. Skierował się od razu do radiokabiny i wywołał wirolot. Słyszalność była doskonała.

— Muszę wam zakomunikować o sukcesie lingwistów — powiedział Max.

— Czyżby odczytali zapisy w języku Florytów? — wykrzyknęli równocześnie Ewa i Har.

— Niestety, o tym nic mi nie mówiono. Odczytano natomiast kilka fragmentów języka, który wydał nam się językiem ludzkim. Nie myliliśmy się. Lon i Mais doszukali się pewnych podobieństw tego języka do narzeczy nie istniejących już plemion Indian z Ameryki Południowej. . .

— Język Mayów! — wykrzyknął Har.

— Niezupełnie. . . Nie wiem zresztą dokładnie, jak to określili. Dość, że udało się zrozumieć kilka oderwanych zdań. Jedno z nich brzmi: „nie niszczyć naszych śladów”, czy coś w tym sensie. . .

— To wygląda na apel skierowany do nas — powiedział Har.

— Do nas? — zdziwił się Ted. . — A do kogóż by zwracali się w ziemskim języku? Postąpiliśmy zresztą zgodnie z ich życzeniem — powiedział Har. — Dziękujemy, Max. Po wyjściu z podziemi zameldujemy ci o naszym starcie w drogę powrotną.

— Coraz mocniej wierzę, że ten „drugi etap szkolenia” musi istnieć! — westchnęła Ewa, gdy znaleźli się nad granią.

— O przybyszach i tak niewiele się dowiemy — mruknął Ted z żalem. — Oni niezmiernie starannie zacierali wszelkie ślady, które mogłyby dać pojęcie o ich wyglądzie. . .

— Za to pozostawili wiele rzeczy świadczących o ich rozumie i wiedzy — dodał Har.

— Wniosek stąd, że musieli być niezbyt przystojni nie chcieli się tym zanadto afiszować. Ale słuchajcie! — wykrzyknęła nagle Ewa. — Na czyj wzrost były

właściwie obliczone otwory drzwiowe w Starej Bazie? Przecież nie na nasz ani tym bardziej Florytów... Tam wszystkie drzwi miały niewiele ponad metr wysokości.

— Były przy tym kwadratowe — przypomniał Har. — Możliwe, że odpowiadały wymiarom przybyszów z Kosmosu. Starą Bazę budowali w zasadzie dla siebie. To byłby jedyny szczegół świadczący o ich wyglądzie.

— Nie przesadzajmy sprawy. Może w zapisach, jakie pozostawili w fonotece, znajdzie się więcej szczegółów. Może niektóre zapisy dadzą się odtworzyć w postaci obrazów? Zdaje się, że czyniono jakieś próby w tym kierunku — powiedział Ted.

Chwilę trwali w milczeniu, tylko silnik szumiał, a pojazd, kołysząc się lekko, niósł ich ku stożkowi.

— Przez cały czas jestem pod wrażeniem niezmiernej przenikliwości tych nieznanych istot. Jakże trafnie umiały ocenić możliwości ziemskiej cywilizacji, pozostawiając informacje dla nas tu, w odległości ośmiu lat światła od Ziemi — medytował Har półgłosem. — Z drugiej jednak strony... z tymi Florytami, mimo całego wysiłku i starań, coś im nie wyszło. Jakby nie zdawali sobie sprawy z ich potrzeb...

Przerwał. Nagłe uderzenie pchnęło wirolot w bok. Autopilot natychmiast wyrównał kurs, lecz po sekundzie nowy, silniejszy wstrząs rzucił nimi o ścianę ciasnej kabiny.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

W KTÓRYM SYTUACJA STAJE SIĘ KRYTYCZNA,  
A FLORYCI ZACZYNAJĄ DZIAŁAĆ

Ledwie Max zdążył usiąść nad dziennikiem pokładowym, zabrzmiał głośny dzwonek. W pierwszej chwili spojrzął odruchowo na ekrany podczerwienne, myśląc, że to czujnik sygnalizuje czyjąś obecność w pobliżu „Suma”. Zaraz jednak zorientował się, że to nie to: dzwonek był zbyt wysoki jak na czujnik. To alarm utraty automatycznej łączności z wirolotem!

Od czasu pechowej wyprawy Teda na Orfie wprowadzono ścisłą zasadę ciągłej kontroli łączności radiowej z pojazdami oddalającymi się choćby na niewielką odległość w teren. Kosztowało to nieco więcej energii, ale względy bezpieczeństwa miały zasadnicze znaczenie.

Max podbiegł do rozdzielni i przełączył odbiornik na kanał alarmowy. Wywołał kilka razy, lecz odpowiedzi nie było.

„O zakłóceniach nie może być mowy — ocenił w myślach. — Odległość jest niewielka”.

Spróbował raz jeszcze wywołania, potem jeszcze raz — na fali ogólnego wezwania. I teraz nie było żadnej odpowiedzi. Wybiegł z kabiny, chwytając po drodze kombinezon, maskę i aparat lotny. Na korytarzu wcisnął sygnalizator i po chwili Adam, zbudzony z głębokiego snu, dogonił go przy wyjściu.

— Wirolot nie odpowiada — rzucił Max przez ramię. — Bierz ekwipunek i lecimy.

— Może wyłączyli nadajnik?

— Niemożliwe. Automat jest połączony na stałe, musieliby zdjąć deskę rozdzielczą albo zablokować zasilanie. Nie traćmy czasu.

Wybiegli na polanę. Max przyłożył do oczu lornetę i przez chwilę szukał świateł pozycyjnych wirolotu. Noc była ciemna i bezgwiezdna, w powietrzu wisiała dość gęsta mgiełka.

— Nic nie widać. W normalnych warunkach z tej odległości powinienem dostrzec światła reflektorów.

— Może wylądowali za jakąś skałą — podsunął Adam, zapinając pasy aparatu lotnego.

— Może.., Co za pech! — Max zaklął przez zęby. — Dwa dni łazili piechotą i nic im się nie stało. A teraz, na kilka godzin przed startem, znikają razem z wirolotem, na znanym terenie, dwadzieścia kilometrów od rakiety!

Adam chciał zapytać, dlaczego to Max uważa rejony bliskie miejsca lądowania za bezpieczniejsze od dalszych, ale nic nie powiedział. Włączyli silniki i kierując się tylko busolą, poszybowali nisko nad wierzchołkami lasu.

— Strzelę, może zauważą! — powiedział Adam, sięgając do pasa. Uniósł raketnicę i wystrzelił dwie białe race, a po kilku sekundach czerwoną. Miało to znaczyć: „Nie mamy o was informacji”.

Lecieli przez chwilę w milczeniu, obserwując horyzont. Odpowiedzi nie było. Max powtórzył sygnał: dwie białe — przerwa — czerwona.

— Jest! — krzyknął Adam. — Biała flara!

Spoza skał wystrzeliła biała iskra magnezji i rozpryskując się w powietrzu, wyrwała na chwilę z ciemności strzępiasty zarys skalnego grzbietu.

— Jedna biała? — zdziwił się Adam. — Przecież to nic nie oznacza. . .

Po chwili następna biała flara poszybowała w ślad za pierwszą.

— Nie mają innych kolorów! — stwierdził Max. — To są ładunki oświetlające.

— Powinni przecież mieć przynajmniej jedną alarmową raketnicę z kompletem ładunków. . . — mruknął Adam. — Chyba że. . . nie są razem. . .

Lecieli teraz ukośnie nad coraz stromiej pnącym się zboczem. Dwie następne flary pozwoliły im dokładniej ustalić kierunek. Musieli zwolnić, bo smugi trzymany w dłoniach reflektorów natrafiały co chwila na sterczące zręby skał, które należało ostrożnie omijać.

— Starczy paliwa? — zaniepokoił się Adam.

— W jedną stronę na pewno! — pocieszył go Max złośliwie. — Nie martw się, na powrót uzupełnimy zapas ze zbiorników wirolotu.

— A jeśli go rozbili? — mruknął Adam.

Max nie odpowiedział, lawirując między głazami, które co chwila wynurzały się z ciemności. Lecieli już siedemnaście minut. Szczyt ze stożkiem musiał znajdować się niedaleko.

— Spróbuję wezwać Hara przez nadajnik osobisty. Mamy ich chyba w zasięgu. . . — powiedział Max, włączając miniaturowy aparat zawieszony na piersi. — Har, czy mnie słyszysz, odpowiedz!

W słuchawce dał się słyszeć trzask, a potem głos Hara, nadspodziewanie silny:

— Tu Har, słucham na kanale lokalnym.

— Gdzie jesteście? Przy stożku?

— Jestem dwa lub trzy kilometry od stożka, na południowym stoku, powtarzam, na południowym stoku. Strzelam ostatnią flarą, uważajcie! Przybywajcie natychmiast!

— Jest niedaleko! — powiedział Max do Adama, który nie słyszał rozmowy i dopiero teraz dostroił swój odbiornik. — Zaczekaj, Har. Co się stało? Co z wami?

— Awaria wirolotu. Zderzenie w powietrzu. Przymusowe ostre lądowanie na zboczu. Szukam Ewy i Teda!

— Jak to! Co z nimi?

— Kabina pękła przy uderzeniu o skałę. Wyrzuciło nas. Ciemno, nie wiem, gdzie oni są, nie odpowiadają. . .

Har wyrzucał słowa urywanym, zdyszonym głosem, jakby tłumiąc ból zaciśnięty mu szczęki.

— Jesteś ranny? — krzyknął Adam. — Nie ruszaj się, przestań szukać, bo spadniesz i nie znajdziemy cię. Strzelaj flarę!

Biała smuga wyskoczyła nieco z prawej. Skierowali lot w tamtą stronę.

— Jest na przeciwstoku — powiedział Max, przyspieszając.

Pod nimi ciągnęła się teraz stosunkowo gładka płaszczyzna grzbietu. Max wystrzelił raketę, a Har skorygował przez radio ich kurs. Po chwili, obniżając się nad przeciwnym zboczem, dostrzegli wirolot. Leżał na boku, dziobem w dół stoku. Har podbiegł ku nim, potykając się o kamienie.

— Musieli się zsunąć w dolinę! — wskazywał lewą dłonią kierunek. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie wzdłuż ciała. — Lećcie tam natychmiast, ja tu czekam. . .

— Co ci jest?

— Nic, nic. . . Nie zajmujcie się mną, rękę skręciłem. . . Trzymałem ster. . . Rzuciło prawym bokiem o skałę. Część pokrywy odskoczyła, a potem przechyliło nas w prawo i wylecieliśmy na stok. Maszynę na szczęście poderwało w górę, jeden silnik jeszcze pracował i dlatego upadła dalej. . .

Har osłabł wyraźnie, bo poblądł i usiadł bezwładnie na stoku, podtrzymując lewą dłonią prawy łokieć.

Max i Adam powoli poszybowali w dół stoku, przyświecając reflektorami. Zbocze było niezbyt strome i należało się spodziewać, że zaginieni, nawet jeśli stracili przytomność, nie mogli stoczyć się daleko. O kilkadziesiąt metrów poniżej miejsca katastrofy Adam natrafił na leżącą wśród drobnych kamieni osypiska torbę z raketnicą i kamerą stereofotograficzną. Niżej stok przechodził w płaskie prawie dno dość szerokiej kotlinki, w środku której biło nikłe źródło. Było stąd tylko jedno zejście w dół: wąski żlebik wymyty przez wody strumienia.

— Dalej nie mogli się stoczyć. Muszą być w pobliżu — powiedział Max. — Korytem potoku nie zsunęli się na pewno, bo schodzi w prawo w stosunku do kierunku ich spadania. Przeszukajmy dokładnie dno kotliny, za chwilę będziemy ich mieli. . .

Oddaleni od siebie o kilka kroków przeczesali kamieniste dno, zaglądając za każdy głaz, w każde zagłębienie. Adam zapuścił się nawet na kilkadziesiąt metrów w dół łożyskiem potoku.



— Nie ma... — mruknął Max.

Popatrzyli na siebie bezradnie.

— Może... sami stąd odeszli? — poddał Adam. — Mogli być przytomni po upadku. Har nie stracił przytomności...

— Tak, ale on utrzymał się na stoku, a oni potoczyli się w dół... Gdyby nawet... Nie, znam Teda i wiem, że nie odszedłby, nie wiedząc, co stało się z Harem.

— Może jednak?... Weź pod uwagę szok spowodowany wypadkiem. Zamroczenie, brak orientacji, ciemność...

— Spróbujmy radiem... — powiedział Max, przełączając nadajnik na ogólne wywołanie i wzywając na wszystkich pasmach lokalnych równocześnie. Odpowiedzi nie było.

— Muszą mieć uszkodzone aparaty. Po takim upadku to zupełnie prawdopodobne...

— Więc jednak sądzisz, że próbowali sami się stąd wydostać? Mogli zejść nad potokiem. Chociaż... musieliby być naprawdę oboje porządnie zamroczeni, by decydować się na pieszy powrót na ślepo... Przecież schodząc tędy, nakłada się drogi. Ponadto trzeba by przebyć las i trafić w ciemności na polanę... nie, to zupełnie beznadziejne. Nie sądzę, by podjęli taką decyzję — rozważał Max, obchodząc raz jeszcze polanę. — Szczególnie bez radia... Bo gdyby mieli choć jeden działający aparat, w pierwszym rzędzie próbowaliby wywołać Hara. On był przez cały czas przytomny i odbiornik miał w porządku!

— Zaraz, a skąd wiesz, że był przytomny? Halo, Har? — Adam przełączył się na falę Adlera. — Czy jesteś pewien, że przez cały czas nie straciłeś przytomności? Pamiętasz wszystko?

Har pamiętał wszystko dokładnie. W pierwszej chwili nie mógł, co prawda, podnieść się z ziemi, gdyż padając potłukł się dotkliwie. Później jednak, choć bez ręcznego reflektora, który pozostał w kabinie wirolotu, dotarł do pojazdu i sprawdziwszy, że nikt w nim nie pozostał, zszedł w dół stoku na poszukiwania. Nie zdołał jednak dojść daleko, bo odnaleziony we wnętrzu pojazdu reflektor ledwie się palił, uszkodzony widać podczas katastrofy, a na koniec zgasł zupełnie. Wtedy Har wspinał się raz jeszcze w górę stoku i odszukał raketnicę z ładunkami świetlnymi. Wtedy to na tle nieba nad grzbietem dostrzegł odbłask rakiet wystrzelonych przez Adama...

Usłyszawszy te wyjaśnienia, spojrzeli raz jeszcze po sobie, jakby jeden od drugiego oczekiwał rady, i nic nie mówiąc skierowali się powoli w górę.

— Mieli tylko dwie drogi — powiedział Max. — W dół nad strumieniem albo w górę...

— Może poszli w górę i minęli Hara w ciemności? Ted zgubił torbę z raketnicą...

Max rozłożył bezradnie ręce. Z wysokości kilkunastu metrów objęli raz jeszcze snopem światła kotlinkę, jakby spodziewając się wbrew wszystkiemu, że jed-

nak przeoczyli jakieś zagłębienie czy wykrot. Nagle Adam ścisnął silnie ramię Maxa.

— Cicho. Nie ruszaj się i nie gaś reflektora! Patrz tam, u wylotu żlebu. . .

Na granicy jasnego pola oświetlonego lampą, w miejscu, gdzie potok spływał w gardziel jaru, majaczył jakiś ruchomy cień. Max odruchowo skierował smugę światła w ten punkt. Cień cofnął się gwałtownie za skałę, potrącając kilka kamieni.

Adam syknął niecierpliwie i szarpnął dłoń Maxa, przenosząc światło na środek kotliny.

— Niepotrzebnie go spłoszyłeś! — powiedział z wyrzutem, — Myślałem, że to oni. . . — usprawiedliwił się Max.

— To Floryta. . . Co on tu robi o tej porze? Dałbym głowę, że nikogo tam nie było. . . Musiał nadejść z dołu korytem potoku.

— Ich bezczelność jest zdumiewająca! Przecież słyszał, że tu jesteśmy i widział światło. . . Po co tu włąził?

Ostrożnie zeszli na powrót w kotlinę. Max trzymał przed sobą miotacz, Adam penetrował światłem okoliczne skałki.

— Adam! — powiedział nagle Max. — Nie okłamujmy się! Oni tu byli przedtem. . . Porwali Teda i Ewę! A ten. . . ten wrócił po Hara!

Rzucił się biegiem w stronę, gdzie zniknął Floryta. Za skałką jednak ani też niżej, nad strumieniem, nie było nikogo.

— Wróć, Max! — powiedział Adam. — W ten sposób niczego nie osiągniemy. Jeśli Floryci porwali ich rzeczywiście, to i tak nie odnajdziemy w nocy żadnych śladów. Nie mamy nawet wirolotu i paliwa do aparatów lotnych. Trzeba natychmiast wracać do rakiety i wezwać „Cyklopa”. Będą musieli i tak po nas przylecieć, bo do południa nie zdołamy wystartować. Przylecą z pojazdami i wspólnymi siłami spróbujemy odszukać zaginionych. . .

— Jeśli nie zechcą ich oddać dobrowolnie, niewiele zdziałamy — zauważył Max ponuro, oglądając się ze złością, lecz poszedł za Adamem w stronę wirolotu.

Hara zastali przy wraku. Bez powodzenia usiłował uruchomić radio. Opowiedzieli mu o wyniku poszukiwań.

— Z radia nici — oświadczył Max, rzuciwszy okiem na aparaturę. — O uruchomieniu wirolotu nie ma co marzyć. Całe szczęście, że zbiornik paliwa ocalał. Przetankujemy paliwo do aparatów lotnych. . . Tylko jak my trzej wrócimy przy pomocy dwóch aparatów?

— Polecisz z Harem. Trzeba szybko coś zrobić z jego ręką, bo puchnie w oczach. Potem wrócisz z dwoma aparatami i zabierzesz mnie. . .

— Nie, ja tu zostanę. Lećcie wy dwaj i natychmiast wyślijcie meldunek do bazy — zdecydował Max. — Będę czekał koło wirolotu. Mam flary i reflektor. Za dwadzieścia pięć minut zacznę sygnalizować, znajdziesz mnie bez trudu. Nie czekaj na połączenie z Orfą, niech się tym zajmie Wera. Napełnij zbiorniki aparatów

i wracaj. A nie zapomnij, że drugi aparat trzeba zawiesić na piersi jak zapasowy spadochron. Inaczej będziesz koziołkował w powietrzu. . .

Mówił to szybko, by nie dopuszczać do siebie przykrego uczucia, które czało się jakby za kręgiem światła lampy. Świadomość, że pozostanie tu sam przez kilkadziesiąt minut, nie nastrajała zbyt wesoło. . .

Gdy odlecieli, zgasił reflektor. Wolał siedzieć w ciemności. Wydawało mu się, że światło wokół niego daje przewagę temu nieokreślonemu „czemuś”, co czało się w mroku.

Po omacku wcisnął się do na wpół zmiążdżonej kabiny wirolotu i położywszy miotacz na kolanach, a reflektor w zasięgu dłoni, przycupnął na brzegu pochyło leżącego fotela.

Rzucił okiem na świecącą tarczę zegarka. Dopiero pięć minut upłynęło od startu tamtych, a Maxa już bolały oczy od uporczywego i mimowolnego wypatrywania w ciemności. Przymknął powieki, poczuł ulgę, choć ciemność była ta sama. . .

. . . Spojrzał na zegarek i przestraszył się: musiał chyba zasnąć! Dokoła panowała jednak nadal ta sama cisza i ciemność. Sięgnął po lampę. Lampy nie było! Gorączkowo szukał przez chwilę wokół siebie. Jest! Zsunęła się nieco dalej. Chciał ją zapalić, lecz znieruchomiał nagle.

Tuż obok niego rozległ się słaby, lecz wyraźny dźwięk — jakby lekkie uderzenie w metalowy korpus pojazdu. Całą siłą woli powstrzymywał się od zapalenia lampy. Wytężony słuch nie ułowił nic więcej. Cienka błona maski tłumiła nieco zewnętrzne odgłosy, lecz nie na tyle, by jakiś bliski dźwięk mógł w tej ciszy umknąć jego uwagi.

„To na pewno kamyk, zsuwając się z góry, otarł się o pancierz — pomyślał. — Za cztery minuty trzeba zacząć strzelać”.

Wydobył zza pasa rakiетnicę, szcęknął głośno bezpiecznikiem, załadował. Zdawał sobie sprawę, iż robi zbyt wiele hałasu, ale w tej ciszy spragniony był jakiegokolwiek mocniejszego dźwięku. Z przyjemnością myślał o huku pękającej flary, o furkocie nadlatującego aparatu Adama. . .

Wygramolił się z wirolotu i zrobił dwa kroki w górę stoku. Nagle zamarł przesyty zimnym dreszczem. Tuż za jego plecami rozległ się ten sam dźwięk, tym razem jednak głośniejszy, brzmiący jak skrobnięcie po metalu. Nagłym ruchem odwrócił się, kierując miotacz w stronę, skąd dobiegał dźwięk.

— Kto tam? — krzyknął nie swoim, schrypniętym głosem. Czekał, zupełnie w tej chwili nie zdając sobie sprawy, że jego okrzyk nie ma najmniejszego sensu. Odpowiedzią była cisza.

„Znowu kamień” — pomyślał. Podświadomie jednak nie wierzył w to wyjaśnienie. Zdecydowanym ruchem wyszarpnął zza pasa latarnię i wcisnął wyłącznik.

Struga światła odbiła się od lśniącego pudła pojazdu, oślepiając na moment

przywykłe do ciemności oczy. Równocześnie od głazu, pod którym spoczywał wirołot, oderwało się kilka — pięć, a może sześć — podłużnych cieni i szurnęło z niebywałą szybkością w labirynt głazów na zboczu. Max rzucił się za nimi, lecz zniknęły bez śladu.

Nie spuszczać z oczu miejsca, w którym mignęły mu po raz ostatni, Max strzelił białą flarę. Wisiała przez chwilę jak lampion, oświetlając teren na przestrzeni dobrych kilku tysięcy metrów kwadratowych. Gdy zgasła, Max wystrzelił drugą. Idący z wysoka blask tworzył wokoło kamieni i większych głazów cienie, układające się promieniście i tym dłuższe, im dalsze od miejsca, gdzie stał. Max bacznie śledził oświetlone kolisko zbocza. Nagle — w chwili gdy flara rozbłysła najjaśniej — cały ten regularny nieomal układ cieni zadrgał gwałtownie. Max spojrzął w górę i w ostatnim rozbłysku światła dostrzegł ogromny, szary kłęb z szeroko rozpiętymi błoniastymi skrzydłami, przez które przeświecał płomień gasnącej magnezji.

Pospiesznie wycelował jeszcze raz, lecz rakielnica nie wypaliła. Przeładował nerwowo i strzelił po raz trzeci.

Flara zapłonęła i opadała powoli, oświetlając kawał pustego nieba i krąg kamienistego zbocza, na którym nie zadrgał żaden ruchomy cień. . .

Po odlocie Adama i Maxa Wera ubrała się pospiesznie i przygotowała zestaw pierwszej pomocy. Potem usiadła przed milczącą radiostacją, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Przełączyła aparaturę na lokalne pasmo nadajników osobistych. Głosy oddalających się cichły coraz bardziej, aż umilkły zupełnie. Mogła wprawdzie wywołać ich silną stacją rakiety, lecz odpowiedź i tak nie dotarłaby do niej. Włączyła alarmową aparaturę czujników, by w porę spostrzec ich powrót i wyjść naprzeciw.

Sygnal zadźwięczał po kwadransie. Niemożliwe, by zdążyli w tak krótkim czasie dolecieć na miejsce i wrócić! Może spotkali po drodze wracający wirołot i lecą razem? Uspokojona tą myślą włączyła zewnętrzny mikrofon. Na zewnątrz panowała jednak głucha cisza. Tylko sygnał zbliżenia dźwięczał uporczywie. Z głośnika nie dobiegał nawet odległy szmer nadlatującego wirołotu.

„Ktoś jest na polanie” — pomyślała z lękiem.

Chwyciła maskę, reflektor i wybiegła do śluzy. Gdy zewnętrzny zawór odsunął się, powiodła światłem wzdłuż linii czujników, otaczających kołem rakiety. Potem smuga reflektora powędrowała dalej, aż po skraj zarośli.

Na polanie nie było nikogo. Wera opuściła reflektor i w tej samej chwili ujrzała w dole, tuż koło wspornika rakiety, dwie leżące postacie. Rozpoznała w jasnym,

ostrym świetle blade twarze Ewy i Teda.

Po wystrzeleniu szóstej flary Max mógł już rozmawiać przez radio ze zbliżającym się Adamem. Dlatego nim Adam wylądował, Max wiedział już o niezwykłym wydarzeniu na polanie. Radość z niespodziewanie szybkiego odnalezienia zaginionych wróciła mu równowagę mocno zachwianą przez niezbyt miłe przeżycia ostatnich minut. Na zapytanie Adama, jak spędził czas, odpowiedział niedbale, że bawił się w chowanego z Florytami, co Adam przyjął za dowcip. O tym, jak było naprawdę, Max nie wspominał ani słowem, dopóki nie znaleźli się w rakiecie.

Har miał już nałożony opatrunek usztywniający, a Wera siedziała przy dwojgu pozostałych pacjentach w komorze aseptycznej, skąd podawała co kilka minut wiadomości przez wewnętrzny system łączności. Okazało się, że Ted miał podarty kombinezon, a Ewa — uszkodzoną maskę. Zachodziła więc obawa komplikacji wskutek długiego stosunkowo czasu stykania się ich organizmów z floryjskim powietrzem. Ponadto u obojga stwierdzono wiele stłuczeń i powierzchownych zadrapań. Ted miał pęknięte dwa żebra, Ewa dość skomplikowane złamanie przedramienia, ale wszystko to — jak stwierdziła Wera — było bagatelką wobec nieznanych floryjskich drobnoustrojów. Zaraz też zastosowała całkowitą dezynfekcję i blokadę antybiotyczną, pobierając równocześnie próbki do analizy. Po dwóch dopiero godzinach mogła przystąpić do operacji złamań, które bez trudu udało się zespawać, tak że nie wymagały nawet usztywnień. Pozostali członkowie wyprawy zebrali się w kabinie radiowej, z napięciem oczekując na wyniki analiz.

To, co stało się z zaginionymi, w zestawieniu z opowieścią Maxa o nocnych „strachach”, rozwiało wszelkie wątpliwości.

— Nie wzięliśmy pod uwagę pewnej zasadniczej sprawy: Floryci doskonale widzą po ciemku, prawdopodobnie w podczerwieni — zakonkludował Har. — Możliwe, że życie ich koncentruje się nawet bardziej w porze nocnej niż za dnia. Dlatego tak trudno było nam napotkać ich w naszych wyprawach.

— Wynika stąd — dodał Adam — że obserwowali waszą nocną eskapadę i widząc jej skutki, spontanicznie pospieszyli na pomoc. Wspinając się południowym stokiem, natknęli się na Ewę i Teda. Odniósłszy ich na polanę, powrócili, by sprawdzić, czy na miejscu wypadku nie pozostał jeszcze ktoś potrzebujący pomocy...

— Gdybym wiedział... — mruknął Max z żalem. — Udawałbym chętnie nieboszczyka i dałbym się zanieść... Może udałoby mi się ich zobaczyć...

Nikt jakoś nie podtrzymał żartu, tylko Adam rzucił z lekkim rozdrażnieniem:

— I tak było ciemno. Nie masz czego żałować.

Rozmowa urwała się. Spoglądali z ukosa na drzwi.

— Zdaje się — spróbował znowu Max — że oni zamierzali odnieść nam cały wirolot. Zebrała się ich spora grupka.

— Martwi mnie — powiedział Har, ruszając w niespokojną przechadzkę po kabinie — że za swoją poczciwość i uczynność mogą drogo zapłacić... Przez rozdarcia skafandrów stykali się bezpośrednio z organizmami ofiar wypadku. Ale cóż... Nie mamy żadnej rady! Nie zgłoszą się chyba dobrowolnie na kurację.

— Szczęście chociaż, że nie próbowali leczyć Ewy i Teda swoimi sposobami! — zauważył Adam ze zgrozą.

— Zawsze mówiłem, że nie doceniamy ich inteligencji! — powiedział Har z przekonaniem.

Znowu umilkli.

Na korytarzu zastukały kroki. W uchylonych drzwiach ukazała się blada twarz Wery.

— Już! — powiedziała cicho, przymknawszy zmęczone oczy. — Wszystko w porządku...

Zachwiała się. Adam podbiegł i odprowadził ją do kabiny sypialnej.

— Zasnęła — powiedział, wracając. — Chorzy także śpią...

Radość z pomyślnego zakończenia niebezpiecznej przygody rozwiązała im od razu języki.

— Przyjeliśmy w naszych wnioskach, że Floryci mają tu życie bezpieczne i słodkie — zaczął Max. — Tymczasem ten nocny stwór z jaskini i to okropne „ptaszysko” zdają się świadczyć, że żyją tu wielkie jakieś zwierzęta, niezbyt chyba bezpieczne przy bliższym kontakcie.

— Mój drogi — powiedział Adam. — Ten latający stwór najwyraźniej zwabiony został światłem latarni pozycyjnych wirolotu i blaskiem rakiet. Ciebie przecież nie próbował atakować, choć niewątpliwie doskonale cię widział — podobnie jak Floryci. Przecież nie rozmiary decydują o tym, czy zwierzę jest niebezpieczne...

— Sądzicie, że tutejsze ogromne bestie nie są dla Florytów groźne?

— Czy boisz się wieloryba? — odpowiedział pytaniem Har.

— Nno... — zawahał się Max — po prostu nie wchodzę mu w drogę. On zwykł pływać po oceanie, a ja raczej nie...

— Oto i odpowiedź na twoje wątpliwości — powiedział Har głaszcząc brodę. — To, co nam wydaje się niebezpieczeństwem, dla Florytów może być zwykłą i codzienną rzeczą. Oni są tu u siebie, w warunkach, do których się przystosowali. Nawet w najgłębszej wodzie ryba nie utonie...

— To brzmi jak aforyzm! — zaśmiał się Adam.

— Zapiszcie więc jako złotą myśl Hara Adlera! — zgodził się Har dobroduszenie. — A teraz, zdaje się, czas zabrać się do przygotowania startu. Max, przekazuję ci dowodzenie.

— Przejmuję dowodzenie — powiedział Max, obracając się z fotelem w stronę radiostacji.

Sprawdził czas i włączywszy nadajnik, wysłał w przestrzeń krótki meldunek:

— Tu grupa Flora, do Bazy. Nasz czas czwarta dwadzieścia pięć. Wystartujemy zgodnie z rozkazem dziesiąta zero czasu miejscowego, dziewiętnasta siedemnaście umownego czasu uniwersalnego. Załoga w pełnym składzie gotowa do startu. Dowódca samodzielnego członu międzyplanetarnego — Max Bodin.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Z KTÓREGO WYNIKA NIC PEWNEGO,  
Z WYJĄTKIEM TEGO, CZEGO  
PONIEKĄD MOŻNA BYŁO SIĘ SPODZIEWAĆ

Orfa powitała wracających zamiecią piaskowej burzy. W bazie byli wszyscy z wyjątkiem Lona i Mais, którzy wciąż jeszcze wydzielali tajemnice krystalicznym prętom w fonotece Starej Bazy. Elektronicy dwoili się, by tylko podobać coraz to nowym zachciankom lingwistów: budowali przeróżne dodatkowe urządzenia i „przystawki” do istniejących już elektromózgów, dostosowywali je do zmieniających się co chwila potrzeb tłumaczy. Zespół maszyn znajdujących się na planecie nie wystarczał, trzeba było włączyć do pracy znajdujący się na „Cyklopie” Główny Analizator, zwany pieszczotliwie „kretynkiem”. Maleństwo to zajmowało trzecią część statku. Na radiowe rozkazy z Orfy „kretynek” błyskawicznie analizował setki tysięcy możliwości i podawał kilka możliwych wersji tłumaczenia. Dalej już musieli trudzić się ludzie, odrzucając teksty w sposób oczywisty bzdurne, a spośród tych, które dawały się rozsądnie interpretować, wybierali to, co pasowało w jakiś sposób do całości.

Pierwszym sukcesem było zrozumienie tajemniczego „ludzkiego” języka. Na podstawie przełożonych fragmentów można było zorientować się, że nieznani przybysze liczyli się z możliwością dotarcia ziemskiej wyprawy na Orfę i Florę. Według coraz lepiej potwierdzającej się hipotezy człowiek znaleziony w Starej Bazie miał pochodzić rzeczywiście z Ziemi. Goszcząc na niej przed kilkoma tysiącami lat Kosmici, jak przyjęto ich umownie nazywać, badali dokładnie Ziemię, jej przyrodę i elementy powstającej cywilizacji. Trudno powiedzieć, jak długo trwała ta obserwacja — faktem jest jednak, że Kosmici w sposób zadziwiająco trafny ocenili możliwości dalszego rozwoju cywilizacji technicznej na Ziemi. Niewykluczone jest, że w pewnym stopniu wspomogli ten rozwój poprzez swego rodzaju „szkolenie” wybranych spośród ludzi jednostek. Jednym z takich szkolonych był prawdopodobnie ów brodaty, ciemnoskóry osobnik, którego zabrali ze sobą w dalszą drogę ku układowi Lalande 21185.

W jakim celu tak postąpili? Tu niestety nie było zgodności w poglądach. Jedni — do nich należeli Atros i Geon — skłonni byli przypuszczać, że czło-



wiek ten miał w przyszłości odegrać rolę łącznika dwóch cywilizacji: ziemskiej i floryjskiej. Wyobrażano to sobie tak:

Florycy — którzy według założenia Kosmitów wcześniej czy później skorzystają z pozostawionych im środków technicznych i zastosują je między innymi dla badania Kosmosu — po dotarciu na Orfę znajdą tam dalszy odcinek wiedzy zawarty we wnętrzu Starej Bazy. Najbliższym zamieszkałym układem gwiazdowym jest układ Słońca — Kosmici wyraźnie wskazują to przyszłym floryjskim uczonym na stereo-mapie tego fragmentu Galaktyki. Chodzi oczywiście o wykluczenie niepotrzebnego szukania najbliższych sąsiadów. Szukanie takie pochłania wiele cennego czasu, a przecież Kosmitom chodziło o przyspieszenie postępu na Florze.

Niewykluczone jest także, że — oprócz zanotowanych w języku Florytów instrukcji i opisów technicznych — w fonotece Starej Bazy znajdują się liczne informacje o Ziemi i jej mieszkańcach. Między innymi powinna tam znajdować się także instrukcja dotycząca „zakonserwowanego” człowieka, a przede wszystkim sposób „ożywienia” go. Człowiek ten — prawdopodobnie przeszkolony odpowiednio przez Kosmitów — miał dopomóc Florytom w wyprawie na Ziemię i nawiązaniu kontaktu z ludźmi. Może był to jakiś geniusz swoich czasów, który dobrowolnie podjął się tej misji?

Przeciwnicy powyższej koncepcji — wśród nich Lon Igen — poddawali ją ostrej krytyce.

„Jak to? — mówili oni. — Więc superinteligentni Kosmici, którzy umieli czytać przyszłość cywilizacji na podstawie jej terażniejszości, nie zdołali dojść do prostego wniosku, że Ziemianie zawitają na Orfę wcześniej niż Florycy? A fragmenty zapisów w ludzkim języku? Dla kogo były przeznaczone, jeśli nie dla ludzi?”

Obrońcy pierwszej hipotezy i na to mieli odpowiedź:

„Kosmici byli na tyle mądrzy, że zdawali sobie sprawę, iż plany ich co do Flory mogą się opóźnić albo zgoła zawieść. Zabezpieczyli się na taką ewentualność. Po zbadaniu umysłowych możliwości Florytów ocenili, że z pomocą pozostawionych im środków zdołają oni podciągnąć się technicznie i w pewnej chwili dorównać aktualnemu poziomowi ludzi. Kiedy jednak nastąpiłby ten moment, tego nawet najmądrzejsza istota nie potrafi przewidzieć. Przy zakrojonym na tysiące lat planie rozwoju i pomocy technicznej dla Flory Kosmici nie byli w stanie z całą pewnością stwierdzić, kto pierwszy osiągnie zdolność do lotów międzygwiazdnych. Może zresztą nie docenili tempa rozwoju ludzkości... Gdyby nie szalony wprost skok techniki ziemskiej dokonany w dwudziestym wieku, gdyby nie geniusze nauk ścisłych — to kto wie, jaki byłby wynik tego wyścigu dwóch cywilizacji...”

„W takim razie usiłowania Kosmitów skończyły się sromotnym fiaskiem! — oświadczały adwersarze ze złośliwym uśmiechem. — Według ostatnich donie-

sień z Flory jej mieszkańcy nie palą się do techniki. Nie mogą się palić, nie znając ognia!”

Przeciwnicy mieli w zanadru własną teorię. Według niej człowiek ze Starej Bazy był z góry i wyłącznie przeznaczony jako łącznik, ale nie z Florytami, tylko po prostu. . . między ludźmi a samymi Kosmitami, którzy uważali, że będą mogli coś o sobie opowiedzieć Ziemianom dopiero wtedy, gdy ci będą tego godni i odpowiednio przygotowani. Dowodem tego przygotowania miała być umiejętność dotarcia na Orfę. Instrukcja ożywienia „śpiącej królowy z brodą”, jak najpoważniej w świecie nazwał człowieka ze Starej Bazy doktor Tuo Tai, musiała znajdować się oczywiście w fonotece, ale nie w języku Florytów, lecz w ludzkim. Jej to właśnie szukał uporczywie Lon na poparcie swych twierdzeń. Kosmici — według Lona — nauczyli owego człowieka o tym i owym na swój temat, nie mogli przecież wiedzieć, co nas, ludzi, będzie interesowało. On zaś, jako ich w pewnym stopniu współpracownik i uczeń, przekaże nam wiadomości. Trudno byłoby przecież zapisywać wszystko w fonotece. Uznali widocznie, że taka „konserwa” ludzka nie jest wcale gorszym sposobem utrwalania wiedzy niż na przykład kryształiczny pręt. A jaka oszczędność miejsca! Gdyby chcieli całą wiedzę jednego mózgu zapisać na kryształach, trzeba by chyba specjalnie zbudować dodatkowe pomieszczenia.

Może zresztą taki sposób przedłużania życia i przekazywania wiedzy jest u Kosmitów czymś najzupełniej naturalnym i codziennym? Co się zaś tyczy przyspieszenia ewolucji umysłowej Florytów, mógł to być po prostu eksperyment. Kosmici przybyli na Florę, zastali jej mieszkańców w stanie niezbyt zaawansowanego rozwoju i pozostawili im stożek. Wyniki tego eksperymentu mieliśmy odczytać my. . . Może Kosmici znali z góry ten wynik, a tylko chcieli w ten sposób przekonać nas dobitnie o niemożliwości sterowania postępek i rozwojem cywilizacji poprzez ingerencję z zewnątrz. Negatywny wynik doświadczenia miał być dla nas przestrogą, byśmy nie starali się sami „pomagać” Florytom w sposób, który nam się wyda właściwy. Najlepszą rzeczą, jaką możemy uczynić, jest pozostawienie ich w takim stanie, w jakim ich zastaliśmy, i niezakłócanie ich naturalnego środowiska.

W końcu dyskutanci tak się zagmatwali w gąszczu dociekań, że każdy miał inne zdanie i tyle było teorii, ile dyskutantów. Dla dobra pracy naukowej Atros zamknął sprawę do czasu startu ku Ziemi. Poleciał tylko zebrać wszelkie dostępne materiały i przekopiować wszystkie — zarówno odczytane, jak i nie odczytane dotychczas — zapisy z fonoteki. Postanowiono nie zabierać niczego ze Starej Bazy z wyjątkiem owego „śpiącego” człowieka, który — według słów dowódcy — „pochodząc z Ziemi, miał prawo na nią powrócić”.

Spodziewano się, że tak czy inaczej uda się wreszcie znaleźć sposób na przywrócenie mu świadomości i czynnego życia.

— Nie chcę uprzedzać decyzji Ziemi w sprawie dalszego postępowania wobec

mieszkańców Flory — zabrał głos Atros Lund, kończąc zebranie podsumowujące wyniki badań. — Myślę, że przeważą najstosowniejsza moim zdaniem zasada nieingerowania w sprawy obcej cywilizacji. Zdaję sobie sprawę, że w większości z was, drodzy koledzy, takie postawienie sprawy budzi znaczne opory i wewnętrzny sprzeciw. „Jak to? — myślicie. — Po co w takim razie tak usilnie staraliśmy się o ten wymarzony kontakt z istotami inteligentnymi spoza Ziemi?” Nie chciałbym, abyście opuszczali układ Lalande 21185 pełni takich wątpliwości, przepojeni uczuciem goryczy i niedosytu. Postarajcie się spojrzeć na problem raz jeszcze, rozsądnie i bezstronnie, bez uczuciowego zaangażowania, nie jak odkrywcy, lecz jak przedstawiciele naszej ziemskiej cywilizacji, znający jej złe i dobre strony.

O Florytach wiemy wciąż zbyt mało, by ogarnąć całokształt ich życia społecznego, ich kultury materialnej i sposobu myślenia. Gdy widzimy, jak daleki od naszego jest ich poziom wiedzy i techniki, budzi się w nas nieodparta chęć niesienia im pomocy w tej dziedzinie. Wydaje się nam, że życie ich musi być wielce prymitywne i że udostępnienie im naszych odkryć i wynalazków sprawi, iż będą szczęśliwsi. Czy jednak tak byłoby naprawdę?

Jeszcze w dwudziestym wieku, gdy zainteresowano się bliżej kulturą plemion uważanych za „dzikie” i „prymitywne”, okazało się, iż wbrew pozorom, pomimo bardzo niskiego poziomu wiedzy i wykorzystania możliwości, jakie ona daje, ludy te wytworzyły nadspodziewanie bogatą kulturę i sztukę: poezję, muzykę, taniec, rzeźbę... Dawniej, gdy „wyżej rozwinięte” narody wyzyskiwały tych biedaków na wszystkie możliwe sposoby z niewolnictwem włącznie, nikomu do głowy nie przyszło interesować się ich życiem wewnętrznym. Później zaczęto im pomagać w dościganiu innych, dalej w rozwoju naukowo-technicznym posuniętych narodów. W ziemskich warunkach takie wyrównanie szans było konieczne: wymagał tego przede wszystkim interes otoczonych nowoczesną cywilizacją, wchłanianych przez rozwijający się burzliwie świat... Tu, na Florze, jednak prawowitymi i jedynymi gospodarzami są jej dotychczasowi mieszkańcy. Nic i nikt nie zagraża ich swobodnemu rozwojowi w takim tempie, jakie dyktują łagodne i sprzyjające tutejsze warunki. Nie możemy im mieć za złe tego, że przyroda tutejsza jest dla nich łaskawsza niż dla nas — ziemską. Nie powinniśmy chyba odgrywać roli kolonizatorów, którzy nie zamierzają wprowadzić podporządkować sobie tubylców w sensie gospodarczym, lecz zamierzają narzucić im własny model cywilizacji. Nazywałoby się to oczywiście „podciąganiem w rozwoju”, ale czy to jest naprawdę celowe? Czy oznaczać by to miało stworzenie im potrzeb, które będą musieli w trudzie zaspokajać? Bo tylko taki jest jedyny motor postępu techniki! Kto wie jednak, jaką drogą potoczy się ich rozwój, gdy zechcemy siłą wtłaczać ich w ramy naszego modelu cywilizacyjnego.

Daleki jestem od pochwały prymitywizmu jako najlepszego stanu współżycia społecznego; chcę jednakowoż podkreślić, że pojęcia takie, jak „prymityw” i „wysoki poziom cywilizacji”, są wielce względne i na przestrzeni naszej Galaktyki nie

mają znaczenia w sposób ścisły określonego. Czyż nie jesteśmy skończenie prymitywni wobec Kosmitów, którzy osiągnęli przed tysiącleciami poziom, o jakim dziś jeszcze my nie możemy marzyć?

Moglibyśmy zaszczerpić Florytom ciekawość świata, pasję odkrywczą. Jeśli jednak ich własna, odmiennie od naszej ukształtowana osobowość nie podtrzyma w nich tej ciekawości, wygaśnie ona, zanim zdąży się rozpalić. Cóż z tego, że użyjemy im pewnej ilości posiadanej przez nas wiedzy? Studnia wiedzy nie ma dna. Wszechświat poznawać można dowolnie długo i dowolnie głęboko, mając zawsze przed sobą nieskończony ogrom nieznanego. Cóż więc znaczyłoby dla Florytów odwrócenie przy naszej pomocy tych kilku kart w księdze wiedzy? I tak pozostałoby ich przed nimi wciąż nieskończenie wiele. Czy dałoby im to szczęście, gdyby karmieni przygotowanym przez nas „kleikiem wiedzy” posunęli się o włos naprzód? Twierdzą, że nie! Radość odkrywania, zadowolenie z poznawania tkwi bowiem nie w osiągniętych rezultatach, ale w stawianych sobie celach i w samym procesie poznawania, w walce z błędem i własną niewiedzą.

Czy ktokolwiek z was, zamiast przybyć tu z wyprawą międzygwiazdą, wolałby otrzymać na Ziemi gotowe tomy sprawozdań i zwoje filmów z tej wyprawy? Na pewno nie. Sprawozdanie powędruje do archiwów ludzkiej wiedzy, a człowiek zacznie zapuszczać się jeszcze głębiej w nieogarniętą otchłań czasoprzestrzeni po nowe wciąż zdobycze.

Przykładając do Florytów — tym razem chyba słusznie — naszą, ludzką miarę, sądzę, iż nie powinniśmy pozbawić ich tej radości zawdzięczenia tylko sobie samym wszystkiego, co kiedyś w takim czy innym tempie osiągną. Tym bardziej, że w chwili obecnej nie zagraża ich cywilizacji ani przyroda planety, ani żadne czynniki zewnętrzne, a ich byt nie wymaga innych środków technicznych do walki ze środowiskiem ponad te, które sami sobie wytworzyli. Myślę, że nasze sąsiedztwo w razie potrzeby zabezpieczy ich przed klęskami, których w tej chwili nie umiemy przewidzieć. Pomoc jednak z naszej strony — w jakiegokolwiek formie — uważam obecnie za niewskazaną.

Możemy chyba polegać na doświadczeniach Kosmitów, którzy zapewne znali co najmniej kilka różnych cywilizacji planetarnych. To, co pozostawili Florytom — choć nie bardzo jeszcze rozumiemy, z jakim przeznaczeniem i w myśl jakich planów — pozostawili na pewno w oparciu o swe najlepsze doświadczenia. My, przedstawiciele stosunkowo młodej cywilizacji, nie mogliśmy dać im niczego lepszego przy ich obecnym stanie rozwoju.

Ted i Ewa poszeptali przez chwilę z Harem, poczym Har poprosił o głos.

— Słuchając sprawozdań i referatów — powiedział — żałowaliśmy wielce, że nasza nieobecność uniemożliwiła nam wzięcie udziału w dyskusji. Wydaje nam się, że mielibyśmy do zakomunikowania kilka spostrzeżeń, które rzuciłyby nowe światło na sprawę Kosmitów. Gdyby dowódca zechciał uczynić mały wyjątek i uchylił dla nas swe rozporządzenie, mogliśmy zaproponować pewien nowy

punkt widzenia. . .

— Zgoda — powiedział Atros po krótkim namyśle — pod warunkiem, że informacja

będzie zwięzła i nie da początku nowej kłótni.

Przedstawiciele „walczących” obozów — tym razem zgodnie i z dużym zaciekawieniem — zaaprobowali decyzję dowódcy. Chodziło przecież wreszcie nie o to, kto ma rację, lecz o to, jaka ta racja jest.

— Mam pewną propozycję — rzucił Atros. — W ciągu dnia jutrzejszego zakończymy przygotowania do opuszczenia planety. Start w kierunku „Cyklopa” przewidziany jest na pojutrze rano. Zapraszam więc wszystkich jutro wieczorem na uroczysty bankiet w dawnej siedzibie Kosmitów, Starej Bazy! Co wy na to?

W Starej Bazy, którą w czasie nieobecności grupy floryjskiej zbadano dokładnie, ludzie czuli się jak u siebie: nieznaczne wzbogacenie w azot zawartego w niej powietrza pozwoliło na swobodne oddychanie, cała budowla okazała się idealnie hermetyczna, a wewnątrz jeszcze przez budowniczych dokładnie wysterylizowane. Każda osoba i przedmiot przedostające się przez służbę do jej wnętrza podlegały skrupulatnej „kąpieli” w strumieniu fal elektromagnetycznych i ultradźwięków, pochodzących z ukrytych w ścianach radiatorów. Zapobiegało to zakażeniu wnętrza drobnoustrojami przywleczonymi z zewnątrz.

Powszechny podziw budziła sprawność wszystkich tych urządzeń. . . Gdy się pomyślało, że budowano je i uruchomiono tysiące lat temu, nie chciało się wprost wierzyć, iż mogą one pracować bez konserwacji i kontroli aż do tej pory. Pracowały jednak, jakby dopiero co je zbudowano. . .

Sercem i mózgiem Starej Bazy były: centralny węzeł sterujący i główny zasobnik energii. Pierwszy budził zdumienie wśród cybernetyków, drugi — wśród energetyków. Ani jedni, ani drudzy nie potrafili sobie wyjaśnić, w jaki sposób w niewielkiej objętości pancernych pudłach Kosmici zdołali pomieścić tak niezmiernie skomplikowane urządzenia sterujące i tak ogromny, wystarczający na tysiąclecia, zasób energii dla ich zasilania. Edi zakonkludował wreszcie, że jedynym wytłumaczeniem tego fenomenu mogłaby być obecność ukrytego we wnętrzu rozdzielni Kosmity, który — zakonserwowany podobnie jak ów człowiek w przejrzystej skrzyni — budzi się na powitanie przybyszów i kieruje całym systemem Bazy. Był to oczywiście żart i na tym się skończyły próby wyjaśnienia tej technicznej zagadki, postanowiono bowiem dokładne jej zbadanie pozostawić następnej wyprawie z Ziemi.

Ładowali na dnie wąwozu w niewielkiej odległości od wejścia do Starej Bazy. Dalej poszli pieszo. Przed Bazą powitali ich Mais i Lon, dziwnie jakoś uroczyści

i poważni.

Przyczyna tego wyszła na jaw, gdy tylko zasiedli przy zaimprovizowanym z jakichś płyt stole. Otóż po prostu Mais i Lon ogłosili oficjalnie swe zaręczyny.

Prawdę powiedziawszy, nie było to dla nikogo zaskoczeniem ani niespodzianką. Wszyscy oczekiwali tego od dawna, mówiono nawet po cichu, że dzielnemu astronautcie brak tylko odwagi na zdecydowane oświadczenia.

Wiadomość przyjęto oklaskami, nastąpiły gratulacje i życzenia.

— Niektórzy oszczercy — powiedział Max wstając — twierdzili, że Lonowi brak odwagi... Nieprawda! On po prostu jak przystało na zdobywcę Kosmosu chciał, aby oświadczenia wypadły jak najoryginalniej i na miarę kosmiczną: powstrzymał się z wyrażeniem swych uczuć do chwili, gdy oboje poznali jako tako język Florytów i... oświadczył się po floryjsku... (Tu Max wydał kilka dźwięków, do złudzenia przypominających język mieszkańców Flory).

W atmosferze ogólnego rozbawienia Tuo Tai wydobył skądś chowaną na tę wielką okazję butelkę prawdziwego białego wina, którą konspiracyjnie przemycił z Ziemi. Nawet piloci wypili po lampce, zastrzegając się jednak, że pierwsza to i ostatnia w tej podróży, i prosząc dowódcę, aby na ten moment przymknął jedno oko.

— Czas chyba, żebyśmy wam zakomunikował wyniki naszych prac nad językiem Florytów — powiedział uroczyście Lon, chcąc usunąć z centrum zainteresowania sprawę swych zaręczyn.

Odezwały się głosy protestu.

— Dzisiaj miał mówić tylko Har, nie zaczynajcie całej kłótni od nowa.

— Ale my mamy rewelacyjne wyniki — bronił się Lon. — Za pomocą przywiezionych z Flory nagrań współczesnego języka Florytów, w zestawieniu z sytuacjami, w jakich zarejestrowano poszczególne fragmenty, udało nam się posunąć naprzód sprawę przekładu. Chcemy wam właśnie o tym powiedzieć.

— To miał być przecież bankiet, a nie dyskusja naukowa!

— Niech mówią, może mają naprawdę coś ciekawego!

— Będzie na to czas w trakcie powrotu!

Ponad ogólny harmider wybił się głos Atrosa:

— Będziecie żalowali, jak nie posłuchacie. Lon i Mais mówili mi już, co im się udało zrobić. To jest naprawdę pasjonujące. Mów dalej, Lon,

— Otóż z tym językiem Florytów sprawa nie jest tak prosta, jak wydawało się nam na początku — zaczął Lon z lekka obrażonym tonem. — Zasada jego opiera się na modulacji częstotliwości i składu harmonicznym dźwięków, a więc jest to w pewnym sensie „muzyka” czy też „śpiew”, a nie mowa w naszym rozumieniu. Nasuwa to uzasadnione przypuszczenia, że Floryci z natury swej posiadają to, co my nazywamy „absolutnym słuchem”, a więc zdolność bezwzględnego określania wysokości dźwięków. Nie o to jednak w tej chwili chodzi. Mamy dla was małą niespodziankę: dwa krótkie fragmenty tłumaczenia!

Sprawa nie była prosta z jednego jeszcze powodu: język, którego użyli Kosmici, był oczywiście archaicznym językiem Florytów. Język, którym posługują się oni obecnie, różni się nieco od tego, jakim porozumiewali się w czasie wizyty Kosmitów. Całe szczęście, że zmiany ich cywilizacji, jakie nastąpiły na przestrzeni ostatnich tysiącleci, nie były zbyt wielkie, a co za tym idzie, język dawny nie uległ znaczniejszemu wzbogaceniu. Mieliśmy do dyspozycji nagrania współczesne i przy ich pomocy rozszyfrowaliśmy pewne fragmenty z fonoteki Starej Bazy. Zakładając, że opracowany fragment dotyczy naszej Ziemi, wyzyskaliśmy pewne pojęcia wspólne wszystkim planetom i oto rezultat.

Mais wydobyła z, teczki arkusz papieru i zwracając się do słuchaczy, wyjaśniła:

— Fragment, który usłyszycie, stanowi prawdopodobnie urywek z czegoś w rodzaju dziennika pokładowego Kosmitów. Odnosimy wrażenie, że pozostawili go Florytom jako źródło wiedzy o Ziemi i ludziach. Nie mając widać czasu na dobór i opracowanie materiału, przetłumaczyli i nagrali kronikę swej wyprawy. Uprzedzam jednak — szczególnie biologów — że to, co usłyszycie, stanowić będzie nie lada zaskoczenie.

Oto tekst:

Trzecia Żółtego Słońca... w sześćdziesiątym siódmym obrocie po lądowaniu na największej wyspie południowej półkuli... zbiegło kilka sztuk naszych zwierząt doświadczalnych. Poszukiwań zaniechano. Istnieje możliwość aklimatyzacji i rozmnażania... Dalej kronikarz, nie pozbawiony widać poczucia humoru, notuje: ... w wypadku rozmnożenia się ich, przyszli badacze będą mieli kłopoty.

Nastąpiła chwila konsternacji. Adam niepewnie poskrobał się w głowę.

— A cóż to znowu ma oznaczać? — zapytał, spoglądając na pozostałych.

— Aha, wzięło cię! — wykrzyknął Lon, kryjąc uśmiech satysfakcji, — Przecież to jasne, że chodzi o kolczatkę i dziobaka, przedstawicieli australijskiej fauny, które nie posiadają kopalnych przodków i stanowią wybryk ziemskiej ewolucji. Tymczasem okazuje się, że to produkty zupełnie innego łańcucha ewolucyjnego, zwierzęta z innej planety! Ale na tym nie koniec niespodzianki. Odnaleźliśmy także instrukcję żywienia naszej „śpiącej królowej"! Moja hipoteza góra! Instrukcja była zapisana w języku ziemskim! Tak więc osobnik ów znalazł się tu dla nas, a nie dla Florytów.

Lon przeczekał pomruk zaciekawienia i bez dalszych wyjaśnień odczytał:

— ... zbudzenie — człowiek — działanie — ciało — sto... To wszystko, mam nadzieję, że zrozumieliście? Czy są pytania? — zaśmiał się, spoglądając na osłupiałych słuchaczy.

— Do licha! — mruknął Adler. — To mi przypomina pewien przepis kulinarny: wziąć kurę, skrócić przez maszynkę...

— Niezbyt to jasne, ale można pomyśleć... — powiedział zarozumiale Ted. — Trzeba tylko odgadnąć, czym na co należy działać.

- Właśnie: „tylko”!
- Ciało — to chyba ten człowiek. Albo...
- Nie, ja uważam, że tu chodzi o ciało chemiczne.
- Albo fizyczne!

Dyskusja rozgorzała natychmiast. Po kilkunastu minutach dopiero ktoś wpadł na prosty pomysł, że cały tekst, jeśli ma być zrozumiały przez ludzi, musi się prosto wyklądać, a jego pozornie logogryficzna forma spowodowana jest brakiem nazw pewnych pojęć w dawnym języku ziemskim, którym operowali autorzy.

— Jakie działanie może wchodzić w grę w stosunku do tego przeźroczystego pudła? Chyba nie młotek ani kwas fluorowodorowy. To rzecz precyzyjna... Może jakieś promieniowanie? — zastanawiał się Geon.

- Rentgenowskie nie, próbowaliśmy to już przeświecić.
- Może jądrowe?

— Bardzo możliwe! — zgodził się Igen. — Tylko jakiego rodzaju?

— Zaraz! — wykrzyknął nagle Edi. — Przecież podanie liczby protonów w jądrze określa jednoznacznie... Tak! „Ciało sto” — to przecież pierwiastek, ciało proste o liczbie atomowej sto!

— Sztuczny pierwiastek promieniotwórczy, ferm! — odpowiedział Ted, który tablicę układu okresowego wykuł był na pamięć.

— Macie chyba rację — rzekł Atros, wstając. — Przypominam jednak, że fermu nie posiadamy tutaj w zapasie i ze sprawdzeniem tego przypuszczenia trzeba się wstrzymać do powrotu na Ziemię. Nie należy zresztą i tak budzić tego pana, nie potrzebuję nowego członka załogi. Pewnie objadłby nas ze szczętem, nie odżywał się przecież przez ostatnie parę tysięcy lat. Niech sobie śpi spokojnie. A wam przypominam — dodał ze złośliwym uśmiechem — że to ma być bankiet, a nie seminarium naukowe.

— Jeszcze tylko ja... — powiedział Har prosząco jak uczeń, aż wszyscy się roześmiali.

— Jestem co prawda historykiem — zastrzegł się swoim zwyczajem Har — lecz ośmielę się zabrać głos w nieco ogólniejszej materii. Otóż na podstawie bezpośrednich wrażeń z pobytu na Florze, jak też z obserwacji poczynionych tu i we wnętrzu stożka, wysnuliśmy następującą teorię, nie wiemy, czy słuszną, lecz w pewnej mierze uzasadnioną. Kosmici, będąc na Ziemi, poznawali nas nie tylko od strony naszych umiejętności i możliwości. Mając na pewno obszerny materiał do porównań, Kosmici mogli w mniejszym lub większym zakresie przewidzieć nasze dalsze postępowanie. Badając jednak te niezbyt piękne cechy natury ludzkiej, których nie będę wymieniał, a które dały znać o sobie już w zamierzchłych czasach naszej historii, Kosmici mogli sobie wyobrazić wszystkie bezceństwa, których dopuścić się może człowiek — posiadający władzę i odpowiednie środki — w stosunku do innego człowieka. Cóż jednak mieli robić? Przyjęli już wcześniej zasadę nieingerencji w sprawy odwiedzanych planet. Odlecieli więc, pędzeni



tą samą żądzą wiedzy o przestrzeni, która i nas przygnała tutaj.

Po przybyciu na Florę odkryli jej mieszkańców.

Nie przesądzam, czy stało się to przed czy po hipotetycznym „kataklizmie” — tak czy inaczej znaleźli ich na dość niskim szczeblu rozwojowym. Wtedy to poraziła Kosmitów straszna myśl. Co będzie, jeśli dnia pewnego w świat Florytów wkroczy nagle ów nieopanowany, szarpany przeróżnymi sprzecznościami ludek z trzeciej planety Żółtego Słońca? Kosmici zdawali sobie przecież sprawę z ogromnej różnicy szans między nami i Florytami.

To, co zastaliśmy tu, na obu planetach, to ślady rozpaczliwego wysiłku, ogromnego aktu miłosierdzia ze strony Kosmitów w stosunku do tych biedaków narażonych na sąsiedztwo gwałtownie rozwijającej się rasy ludzkiej. Istniało pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że dotrą tu żądni zdobywcy kolonizatorzy, chcący podporządkować sobie lub wytepić prawowitych gospodarzy. . .

Kosmici pomylili się. Podjęta przez nich próba ratowania pięknej cywilizacji floryjskiej nie powiodła się. . . Na szczęście Kosmici pomylili się także w drugim przypadku: co do nas, ludzi. . . To uratowało Florę i jej mieszkańców. Te dwie pomyłki nie umniejszają w niczym znaczenia pięknego gestu nieznanymi istot. Oni odlecieli w głąbie Galaktyki. To, co zostawili, świadczy, iż byli oni „ludscy” w najlepszym znaczeniu tego słowa. A to, jak wyglądali — czy byli niscy i grubi, jak zdawałyby się świadczyć niskie i kwadratowe drzwi ich pomieszczeń, czy też poruszali się w pozycji poziomej, jak wynikałoby z długości komór śluz w Starej Bazie — to chyba nie jest najważniejsze.

Har przerwał na chwilę, jakby w obawie, że znużył słuchaczy, lecz oni siedzieli poważni i zasłuchani. Ciągnął więc dalej:

— Pozostał jeszcze ten uśpiony człowiek. Muszę i jego zmieścić w ramach moich przypuszczeń. Według mnie zabrano go z Ziemi na jego życzenie. Pozostawiono go na Orfie na wypadek, gdyby wszelkie usiłowania spełzły na niczym i gdyby nie udało się spowodować szybszego rozwoju Florytów. Miał powstrzymać ludzi przed czynieniem zła. . . To był rozpaczliwy odruch ratowania dobrego imienia ludzi przez jednego człowieka. Nikła to była szansa, ale i to mogło coś dać. . . Gdyby zaś Floryci zdążyli tu przed nami, wtedy on mógłby być pośrednikiem, parlamentariuszem. . .

Dlaczego Kosmici zniszczyli urządzenia startowe swego kosmoportu? Sądzę, że chodziło im o to, by nikt nie korzystał z ich wynalazków. Nie chcieli oddawać ich w niewiadome, a przez to niepewne ręce. Nie chcieli też, aby Floryci zbyt wcześnie próbowali do nas dotrzeć. Nie mieli do nas zaufania, może słusznie. . . Walka dobra ze złem nie musi zawsze być rozstrzygana na rzecz dobra.

Osobiście jednak przekonany jestem, że statystyczne prawdopodobieństwo zwycięstwa dobra jest znacznie większe, bliskie jedności. . . Jeśli źle się wyraziłem, niech mi to matematycy wybaczą — jestem tylko historykiem.

— Widzę — zakończył Har — że wprowadziłem was w nastrój zadumy. Dziś

jednak nie należy się poddawać takim nastrojom. Mamy wiele powodów do radości: wracamy przecież na Ziemię, wszyscy cali i zdrowi. Jeśli uważacie, że to za mało, dodam jeszcze jedną przyczynę: cieszymy się, że jesteśmy tacy właśnie, jacy jesteśmy, nie zaś tacy, jakimi w swych przewidywaniach widzieli nas Kosmici. Nie miejmy im jednak za złe, że chcieli kogoś chronić przed nami!

To, co powiedziałem, jest tylko domysłem opartym na skąpych wiadomościach, które udało się nam zebrać. Możecie potraktować to jako bajkę czy przypowieść, ale możecie również pomyśleć na ten temat. . . Nie dziś jednak, bardzo was proszę. Dzień dzisiejszy jest ważny i uroczysty — ostatni dzień na tej planecie. Jutro rozpoczniemy powrót. Ruszymy w stronę naszej starej Ojczyzny, Ziemi, by zanieść ludziom wiadomość: nie jesteśmy sami, są blisko nas istoty myślące. Jedne z nich są zaledwie na początku drogi swego rozwoju, inne — osiągają szczyty doskonałości technicznej. Żadne jednak z nich nie są ani lepsze, ani gorsze od nas przez to, że są inne.

Wspaniałości kulinarne przygotowane przez Tuo Tai szybko oderwały uwagę siedzących przy stole od naukowych dociekań. Myśli wszystkich rozbiegły się teraz zupełnie prywatnymi ścieżkami. Każdy przecież wracał do czegoś pozostawionego tam, na Ziemi.

Ted, siedząc w końcu zaimprovizowanego stołu, przyglądał się kolejno twarzom współtowarzyszy. Rozmawiali swobodnie, wesoło się śmiejąc i przypominając sobie nawzajem zdarzenia sprzed kilkunastu lat. Z jaką łatwością powracali teraz do tych tak odległych w czasie, a jednak bliskich spraw! Wydawało się, że na chwilę tylko odłożyli je na margines pamięci, by sięgnąć po nie w odpowiednim czasie. . .

„Czym poza swą ukochaną pracą naukową zajmować się będą tam, na Ziemi? — myślał Ted. — Pomimo tylu spędzonych razem lat, tak mało znam tych ludzi”.

Rodzice Teda na pewno nie skorzystają z przysługującego im po powrocie wieloletniego „urlopu” i powrócą od razu do pracy w ośrodku badań kosmicznych. Z radością wybiorą się przy pierwszej okazji na swą ulubioną wspinaczkę wysokogórską. . .

Stary Tuo Tai będzie hodował róże, o których czasem wspominał. . . Ciemnoskóry Hindus Lon Rahme i piękna Mais zamieszkają gdzieś na południu. . . Atros Lund z pewnością będzie nadal uprawiał narciarstwo w swej rodzinnej Skandynawii. Mimo starszego wieku jest wciąż pełen energii i życia. Max Bodin? Podobno — tak mówi Ewa, ona skądś wie o tych rzeczach — na Maxa oczekuje na Ziemi jakaś dziewczyna. Miała poddać się anabiozie na czas jego nieobecności. . . Maskotka, którą Max ma przy kluczu do rozdzielni „Suma”, jest właśnie od niej.

A inni? O innych Ted zupełnie nic nie wie. . . Wróca, wmieszają się w wielomiliardowy tłum Ziemiaków, nie będą się niczym różnić od innych. Tu, z dala od

Ziemi, każdy był kimś niezmiernie ważnym, specjalistą we własnej dziedzinie. Tam będą tylko postaciami z tłumu. Wystarczy jednak hasło, wezwanie skierowane do nich, by znów w razie potrzeby wyodrębnili się z masy ludzkiej i stanęli gotowi do nowych trudów, do dalszych jeszcze wypraw — prawie nieśmiertelni, bo przeżywający współczesne sobie pokolenia, zwyciężający nawet nieubłagany upływ czasu...

A on, Ted? Do czego on wróci, co będzie robił tam, na Ziemi? On zawsze będzie się różnił od innych jej mieszkańców... Miejsce urodzenia? Próżnia! Data urodzenia? Aby ją ustalić, trzeba użyć wzoru z teorii względności... Słowem, zyciorys wprost nieprzyzwoity!

Jak rozmawiać z tymi, którzy z Ziemią zrosnięci są od pierwszych chwil życia? Czy rozumieją go?

Poszukał oczyma Ewy, jakby od niej wyglądając pomocy. Nie było jej przy stole. Wymknął się na korytarz.

Na korytarzu było pusto. Ted zajrzał do pomieszczenia, gdzie wszyscy zostawili skafandry. Przeliczył leżące wzdłuż ściany kuliste hełmy. Brakowało jednego.

Szybko wciągnął kombinezon, założył hełm i poszedł w kierunku windy. Gdy wyszedł na powierzchnię, w pierwszej chwili nie widział nic, oślepiony jeszcze jaskrawą bielą wewnętrznych światel. Po chwili dopiero mógł dostrzec, że niebo nie jest czarne. Jak przez rzednącą mgłę przebierały gwiazdy — początkowo tylko te jaśniejsze, potem coraz więcej drobnych, słabych punkcików. Jasne pasmo Drogi Mlecznej niknęło za bliskimi skałami ścian wąwozu.

Ted rozejrzał się, obszedł dokoła sześcienny blok i już włączył nadajnik osobisty, by zawołać Ewę, gdy odnalazł ją — ciemniejszą plamę na tle skały. Siedziała oparta plecami o kamień, dłońmi obejmując podkurczone kolana. Głowę miała przechyloną do tyłu, — jakby patrzyła w niebo. Dostrzegł jednak, że ma zamknięte oczy.

— Co tutaj robisz? — zapytał cicho.

— Czekam na ciebie — powiedziała, nie otwierając oczu.

— Jak to?

— Wiedziałam, że przyjdiesz. Usiądź.

Ted przysiadł obok niej, ramiona ich stykały się. Mimo woli uniósł głowę w ten sam, co ona, sposób i przez chwilę patrzył w roje gwiazd, odnajdując urojone kontury gwiazdozbiorów.

— Ile ich jest... — powiedział na wpół do siebie. — Tych, które widać bez przyrządów optycznych, jest chyba paręset tysięcy...

— Mylisz się — powiedziała Ewa niespodziewanie rzeczowym tonem. — Nieuzbrojonym okiem widać z Ziemi najwyżej trzy tysiące gwiazd. Tu jest nieco gęstsza optycznie atmosfera, więcej aerozoli i pyłu, widać więc jeszcze mniej. Spróbuj zresztą policzyć. Ty lubisz liczyć.

— Wierzę na słowo! — roześmiał się. — Jeśli chodzi o to, co widać z Ziemi, całkowicie polegam na twoich informacjach.

Milczeli długo, ona z przymkniętymi powiekami, on — szukając wciąż czegoś na niebie.

— Ono jest tam... Widzę je. Niedaleko tej jasnej, białej gwiazdy. Wygląda dość nagle wśród tych wszystkich karłów i olbrzymów nieba. To nasze Słońce.

Ewa otworzyła oczy.

— Ta jasna gwiazda obok to Fomalhaut — ciągnął Ted. — A tuż koło Słońca, prawie na przedłużeniu tego kierunku, powinna być ta maleńka, niedostrzegalna stąd Lacaile 9352. Har mówił, że była ona brana pod uwagę jako ewentualny cel wyprawy „Cyklopa”. Niewiele brakowało, a siedzielibyśmy teraz na jednej z jej planet i patrzyli na Słońce z przeciwnej strony!

— Te trzy gwiazdy leżą prawie na jednej prostej w przestrzeni — odezwała się Ewa. — Fomalhaut także niewiele od tej linii odbiega. Lecąc z Fomalhaut tutaj, nie sposób po prostu ominąć Lacaile 9352 i Słońca.

— Sądzisz, że Kosmici odbyli taki... rajd gwiazdowy?

— To nie mój pomysł. Atros mówił o tym kilka dni temu. Możliwe, że przybyli stamtąd albo z jeszcze dalszych głębi Galaktyki. Trudno ustalić, czy wracali tą samą drogą, czy zmienili kurs. Na przedłużeniu tej linii prostej nie leży żadna bliska gwiazda. Może zbiegli w stronę Sześćdziesiątej Pierwszej Łabędzia albo w zupełnie inną stronę. Istnieją przypuszczenia, że musieli co pewien czas uzupełniać zapas materii napędowej, lądując na planetach. Pokonanie w jednym etapie odległości przekraczającej dwadzieścia kilka lat światła nawet dla nich byłoby trudne.

— Musieli być bardzo długowieczni albo... posiadali statek o szybkości podświetlonej... Gdy wrócili do siebie, zastali na pewno zupełnie nowy świat!

— My także zastaniemy nowy... — powiedziała Ewa.

Ted pokiwał głową. Ona to przynajmniej wie, dokąd przybędzie. Ale on? Cóż z tego, że wbito mu do głowy pewną ilość wiedzy o Ziemi — to były tylko mgliste pojęcia. Ale jak żyć, jak wrosnąć w ten nowy i prawie obcy świat?

— Jesteśmy niemożliwi — powiedział nagle. — Jeśli tylko zaczniemy o czymś mówić, to zaraz zjeżdżamy na tematy kosmiczne. Nie chciałem o tym myśleć, wyszedłem za tobą, by się trochę od tego oderwać... Chciałem mówić o zupełnie innych rzeczach...

— O czym? — spytała, patrząc w bok.

— O nas, o Ziemi, o powrocie... Chciałem cię prosić o coś. Przecież ja czuję się teraz po prostu tak, jakbym miał lecieć odkrywać nową, trzecią z kolei planetę! Nie wiem, czy potrafię sobie z tym poradzić. Proszę, pomóż mi. Ty lepiej ją znasz...

Spojrzała na niego, potem poszukała jego dłoni i uścisnęła ją mocno. Spojrzania ich spotkały się na chwilę, potem pobiegły równocześnie ku niebu.

— Dobrze — powiedziała Ewa. — Pod warunkiem, że na Ziemi pójdziemy razem na ryby i na wycieczkę w góry, z plecakami, ale bez aparatów lotnych, i do muzeów, i nad morze, na słoneczną plażę, i... i w ogóle wszędzie...

Potakiwał głową, zgadzając się na wszystkie warunki.

— A poza tym — dodała — nie będziesz sobie ze mnie kpił i nazywał mnie dzieckiem dlatego tylko, że staram się być bardziej ziemską niż kosmiczną dziewczyną...

— Obiecuję! — powiedział uroczyście unosząc prawą dłoń.

— I jeszcze jedno — ciągnęła, sięgając do kieszeni skafandra. — Ktoś tu dopomina się o satysfakcję.

W wyciągniętej dłoni trzymała maleńkiego, pluszowego misia.

— On jest mały, ale honorowy. Został bardzo nieuprzejmie potraktowany i musisz go przeprosić.

— Ależ on jest przeuroczy! — zawołał Ted. — Jakże mogłem źle się o nim wyrazić! Przepraszam cię, misiu — wyrecytował uroczyście i pogłaskał palcem kosmate futerko.

— Powiem ci w sekrecie, że jeśli chcesz, by cię polubił, musisz mu podarować duży plaster miodu. Jedyne to ma dla niego niezaprzeczalną wartość. W jego świecie obowiązuje inna skala wartości...

— Niestety... — zakłopotał się Ted. — Nasz genialny Tai nie hoduje pszczół. Ale po powrocie niedźwiadek dostanie swoje.

— Teraz to on mówi, że bardzo cię lubi. — Ewa posadziła misia na kamieniu obok siebie.

Znów w milczeniu spoglądali w stronę niepozornej gwiazdki, która była mimo odległości i c h gwiazdą, choć nie zawsze o tym pamiętali.

— Kiedy będziemy tam i usiądziemy jak teraz, by patrzeć w niebo — powiedział Ted — będzie ono wyglądało zupełnie identycznie. Odległość ośmiu lat światła nic prawie nie znaczy w bezmiarze Galaktyki. Tylko gdy spojrzymy w kierunku gwiazdozbioru Ryby Południowej, obok jasnej Fomalhaut nie będzie tej jednej małej gwiazdki...

Spojrzał na Ewę. Ona już od dłuższej chwili patrzyła na niego z uśmiechem. Objął ją mocno i chciał pocałować, ale tylko przejrzyste kule hełmów zderzyły się dźwięcznie.

— Tam nie będziemy musieli już nosić tych okropnych hełmów! — powiedział ze złością Ted.

— Bardzo mnie to cieszy! — powiedziała szczerze.

Pluszowy miś — jedyny świadek tej sceny — zamruczał z zadowoleniem i aprobatą, ale tak cicho, że nie mogli tego usłyszeć...